

12  
2/2

WYDANIE ZBIOROWE  
DZIEŁ  
GABRJEŁI ZAPOLSKIEJ

„ONE”



DZIEŁA GABRJELI ZAPOLSKIEJ  
WYDANE PRZEZ INSTYTUT LITERACKI „LEKTOR”

---

---

A GDY W GŁĘB DUSZY WNIKNIEMY  
ANTYSEMITNIK  
CÓRKA TUŚKI  
FIN DE SIECLE'ISTKA  
I TACY BYWAJĄ  
JAK TĘCZA  
JANKA  
JEDEN DZIEŃ Z ŻYCIA RÓŻY  
KAŚKA KARJATYDA  
KOBIETA BEZ SKAZY  
KRZYŻ PAŃSKI  
MAŁASZKA  
MENAŻERJA LUDZKA  
MODLITWA PAŃSKA  
O CZEM SIĘ NIE MÓWI  
O CZEM SIĘ NAWET MYŚLEĆ NIE CHCE  
O N E  
PAN POLICMAJSTER TAGIEJEW  
PANI DULSKA PRZED SĄDEM  
PRZEDPIEKLE  
PRZEZ MOJE OKNO  
RAJSKI PTAK  
SEZONOWA MIŁOŚĆ  
ŚMIERĆ FELICJANA DULSKIEGO  
STAŚKA  
SZALEŃSTWO  
SZMAT ŻYCIA  
WE KRWI  
WIECZORY TEATRALNE  
WODZIREJ  
W ZAMYŚLENIU  
ZASZUMI LAS  
Z PAMIĘTNIKÓW MŁODEJ MĘŻATKI  
ZNAK ZAPYTANIA



WSZELKIE PRAWA AUTORSKIE I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE  
Copyright by „Lektor” nineteen hundred twenty three

No 277



268953



H. NEUMANA

13864

OKŁADKĘ RYSOWAŁ EDMUND JOHN W WARSZAWIE

SKŁADY GŁÓWNE:

WE LWOWIE:

„LEKTOR”, MIKOŁAJA 23  
(d. własny) Tel. 525

□□

W WARSZAWIE:

„LEKTOR”, SIENKIEWICZA 5  
Tel. 253-99

□□

W POZNANIU:

„LEKTOR”, RATAJCZAKA 33  
Tel. 39-23

□□

W KRAKOWIE

„LEKTOR”, RYNEK Gł. 22

□□

W LUBLINIE:

„LEKTOR”, SZOPENA 5

□□

ONA  
SZKIC

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA  
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0145762

G. Zapolska „One” (Lektor)

W/162/03



ten motyl różnobarwny, opiewany przez miliony pieśniarzy, krążący w legendach, bielejący w posągach, śmiejący się okrągłemi kształty z arcydzieł Rubensa, lub promieniejący boskością w Madonnach Rafaela, ta Fornarina i Beatrycze, ta Małgorzata Gauthier i bohaterka Gyp'a, ten ideał czysty, promienny nawet w swych błędach, ta ćma wiecznie koło światła krążąca, ten kwiat zawsze drżący nad przepaścią, ta jasność lub smutek życia, ten uśmiech lub łza, ta duma lub hańba mężczyzny, ten geniusz lub demon poety, ta poezja i proza, to szczęście i cierpienie, ta najwyższa doskonałość i ostatnie słowo Stwórcy — to „ona“.

Powiesz pan: to... apoteoza „jej“. Zważ przecież, że słowo „lub“ powtarza się przy każdym przymiotniku. Jestem sprawiedliwą. Mówię, że „ona“ jest uśmiechem lub łzą, i tak jest w rzeczywistości.

„Ona“, o której w tej chwili piszę, jest piękna i młoda. „Ona“ stara nie istnieje. Zapewne, jest to istota bardzo godna szacunku ze względu na siwe włosy, jeżeli ma dobry smak i ich nie farbuję, ale „ona“ stara to nie „ona“ rzeczywista. Dla mnie „ona“ to wiotka i wysmukła dziewczyna, lub promienna pięknoscią i urokiem kobieta, Frou-frou biegnąca z szelestem jedwabiu, lub Kleopatra płynąca na wyślacanej galerze. Czyż

można sobie przedstawić Frou-frou lub Kleopatę starą? — Och! nie — to byłoby nadto brzydkie.

„Ona“ w dzieciństwie jest zwykle okrągłuchną i milutką laleczką. Grymasi bezustannie i skarży się w nocy, że spać „nie umie“. Bawi się chętnie z chłopczykami i lubi się bić z nimi ukradkiem, czerwieniąc się przytem jak mały kogucik. Walki te odbywają się tylko w dzień, w których „ona“ ma sukienkę starą lub zgniecioną. Skoro włoży nowe ubranie, nie wdaje się już z chłopcami, chodzi wolno, naśladowując ruchy mamy, patrzy z góry na towarzyszków zabawy, a na wszystkie zaczepki wydyma maluchne usteczka z nieokreśloną pogardą. Kocha swe nowe sukienki na równi z mamą i choruje z boleści, gdy przyszedłszy ze spaceru, rozbierać się musi. Na ulicy chwytą chętnie każde pochlebne o sobie zdanie, nadyma się wtedy jak mały balonik i stawia nóżki z góry, kręcąc śmiesznie główką. „Ona“ malutka jest „nią“ rzeczywistą.

„Ona“ pensjonarka — jest to śmieszny okaz bociana, ubranego w sukienkę wiecznie zakrótką, z powypychanemi łokciami. Pretensje do stroju znikają, i „ona“ zagłębia się po sam nos w nauce, której najczęściej nie rozumie. Po całych dniach skurczona nad książką, zatapia swe czerwone ręce w źle uczesane włosy i studjuje wewnątrz Sahary, lub rozwiązuje zadanie algebraicznie z gorliwością,

godną lepszej sprawy. Jest to stworzenie płaskie, żywiące się prawie powietrzem i rzeczami niejądalnymi, jako to: kredą, wapnem, piaskiem, węglem lub ołówkami. Jest wtedy nadzwyczaj obraźliwą i szuka bezustannych sprzeczek ze swymi braćmi, którym pragnie dowieść jak na dłoni, że umie więcej od nich i że ich greka i łacina nie znaczą w porównaniu z ogromem wiedzy, nabytej przez nią.

Powoli „ona“ się przetwarza. Zaczyna się rumienić bez istotniej przyczyny i więcej zwraca się ku nauce literatury niż fizyki lub geometrii. Nie jada już kredy i od czasu do czasu spogląda w niebo lub sufit, stosownie do miejsca, w którym się znajduje. Kształty jej się zaokrągłają, a łokcie przestają wypychać rękawy. Pod szyją zjawiają się niepokojące kokardy, a włosy przybierają melancholijny układ. Jest to zwykle czas obcięcia sakramentalnej grzywki. Powoli „ona“ przestaje się uczyć, pracuje niechętnie i szepce po kątach z koleżankami. „Ona“ jest wtedy zakochana — zwykle w profesorze botaniki lub historii. Naciera wtedy ręce gliceryną i sypia w rękawiczkach. Próbuje pisać dziennik, a do spowiedzi przygotowuje się z trwogą zbrodniarki, wątpliwej o otrzymaniu rozgrzeszenia. Jada mało i płacze często po kątach; lubi marzyć przedewszystkiem. Taka „ona“ to najmiłsze i najbardziej niewinne stwo-

wienie pod słońcem. Jest to kwiat rzeczywiście czysty, drzący, niezbrudzony. Domyśla się wiele, przeczuwa, układa zasłyszane przypadkowo zdania i wytwarza najdziwniejsze nieraz pojęcia o życiu i świecie.

Jest wiele rozrzucającego w tej śmieszności, coś, co nas ogarnia na widok ślepego, błędzącego wśród nieznanego mu przestrzeni, lub w obecności chorego, niewiedzącego o swym bliskim zgonie. „Ona“ wtedy błądzi niepewna, wyciągając ręce do życia, uśmiechając się przez łzy, śpiesząc jak ćma do świecy. Gdy „ona“ włoży długą suknię, traci woń i barwę; zakwita wprawdzie i błyszczy, ale nie wabi śnieżną białością konwalji; pewną nogą stoi w przedsionku życia i śmiało wyciąga rękę, aby uchylić zamknięte podwoje. „Ona“ wie już wtedy, co jest pocałunek, co zdrada, co kłamana miłość. „Ona“ sama zawodzi, kłamie, zdradza... Gdybym była mężczyzną, kochałabym tylko pensjonarkę w drugiej fazie jej istnienia. „Ona“ na wydaniu przerażałaby mnie trochę.

Panna na wydaniu to rzeczywiście królowa stworzenia. Gdy piękna i bogata, a zna fałsz i obłudę świata, jest nielitościwie sarkastyczną i zrozumiła nad wyraz wszelki. Wybiera sobie męża według woli i dysponuje materiałem, z którego będzie zrobiona suknia ślubna. Czasy Halszki z Ostroga minęły dawno, dziś „ona“ sama sta-

nowi o swym losie, głośno, z głową podniesioną wysoko, nieomylna w swym wyborze, pewna swego szczęścia. Czasem rodzice sprzeciwiają się — i „ona“ odbiera sobie życie.

Jest jedno miasto piękne, wesołe, pełne tonów walca i szumu błękitnych fal rzecznych; w tem mieście „one“ specjalnie odbierają sobie życie przez wyskoczenie z okna lub w inny równie zajmujący sposób. Tem miastem jest... Wiedeń. Jest to jego właściwość, tak jak pierwszego maja *Praterfahrt*. Czy melodia walca kołysze do tego stopnia rozmarzone głowy? czy błękit Dunaju ciągnie tak ku sobie? Nie można się dopytać, bo te „one“ śpią już spokojnie i żadna nie odkryje, co ją skusiło.

„Ona“ zakochana!

Już widzę, jak się pan uśmiechasz. Przypominam sobie mój własny wykrzyknik: „on zakochany!“

A przecież tu i tam zachodzi wielka różnica.

„Ona“ kocha często naprawdę. I rzecz dziwna, ta „ona“, której nikt nie podejrzewa o istotne uczucie, przywiązuje się istotnie, głęboko, kryjąc swą miłość z całą zazdrością skąpca, dając raj ukochanemu, a śmiejąc się maską obojętności dla obcych. Czy to mąż, czy kochanek, staje się dla niej świętością, a wdzięczność jej za pozwolenie tej niewolniczej miłości jest długotrwałą. „On“

pozwala się kochać, „ona“ korzysta z tego pozwolenia. Od dziecka potrzebuje miłości jak kwiat słońca, inaczej schnie i zamiera. Dzieckiem kocha matkę, lalkę, królika, sztuczną myszkę; pensjonarką przywiązuje się do nauczycielki i ulubionych ołówków lub książek; później kocha się w profesorach, braciach swych koleżanek, nakoniec w rozmaitych spotykanych mężczyznach, później w swych dzieciach; kocha wszędzie i zawsze, kocha pomimo przeświadczenia, że kochać nie ma prawa; tonie w tej miłości, rzucając się bez pamięci w przepaść; pali swe skrzydła, płacząc z bólu; a gdy odrosną, biegnie znów do płomienia, aby cierpieć za jeden uśmiech, by płacić tysiącem łez za jedną jaśniejszą chwilę.

„Ona“ i miłość — to synonim. Jej bez miłości przedstawić sobie nie można. Nawet stara panna kocha zwierzęta — i to jest najlepszym dowodem, że „ona“ bez miłości istnieć nie może. „Ona“ przez to jedno rzewne, serdeczne uczucie jest w stanie wszystko poświęcić, złamać swą przyszłość, zgnieść się samą, wyrzec się swego „ja“ — przestać być sobą.

Mężczyzna ma inne namiętności, które kierują jego postępkami, — „ona“ oprócz miłości nie ma innych czynników. Duma, pycha, chęć wywyższenia się, skąpstwo, honor — wszystko to



niknie wobec jednego kochania, które ogarnia całe jej jestestwo.

I ta wielka potrzeba miłości, ten ogrom uczucia, wlanego w pierś kobiety, czyni z niej demona lub anioła, hańbę lub chlubę mężczyzny.

Miłość źle skierowana, źle odplacona, wybuchając niszczącym płomieniem i przetwarza ten kwiat promienny w ziejącą złem pochodnię. Złej „onej“ od kołyski niema, wszystkie błędy i zdrożności, które „ona“ popelnia, przyszły z braku rzeczywistego uczucia, a naprawić się dadzą jednym, serdecznym słowem, wyszeptanem w dobrej chwili, gdy łza drży w oku, a głowa oparcia szuka. Magdalenę zawiódł na pokutę łagodny głos Chrystusa i promienne jego spojrzenie. Gdyby nie ten głos, nie błękitne oczy, Magdalena błędziłaby bez końca, potrącana i pogardzana przez wszystkich. Brak miłości ją zgubił — a miłość ją zbawiła. Każda zbrodnia, popełniona przez kobietę, ma źródło w miłości. Gdy kocha, jakże wykwintną, poetyczną, pomimo namiętności, jest jej cała miłość! Ileż pieszczot! ileż słów miłych jak echo ludowej piosenki szepcą jej koralowe wargi! A gdy przestaje mówić i patrzy się tylko w twe oczy, jakże wymowną jest wtedy w tem milczeniu, ileż obietnic, wspomnień ogarnia cię pod urokiem tego spojrzenia!.. Wtedy masz „ją“ rzeczywistą, łagodną, prawdziwie anielską. Uchwycić tę chwilę

szczęśliwą, przemów do „niej“ serdecznie, a „ona“ stanie przed tobą w całym swym uroku i promiennej piękności. Kokieterję, nerwy, chęć błyszczczenia — wszystko otrząśnie ze siebie jak jabłonka kwiecie — i poda ci rękę, pójdzie z tobą, gdzie zechcesz, nie pytając się o cel i koniec tej uroczej chwili, zasłaniając nawet przed tobą samym cierpienia, mogące wyniknąć z tej wspólnej wędrówki. Jeśli „ona“ nie dopatrzy w twem oku odpowiedniego uczucia, jeśli ta dobra chwila, w której mogłeś pochwycić za skrzydła anioła, przejdzie bez wrażenia, „ona“ stanie się wtedy udręczeniem twojego życia i może być twą hańbą, wstydem, cierpieniem, zamiast dumą, rozkoszą, uśmiechem.

„Ona“ błędząca bez miłości w sercu, a raczej bez przedmiotu, na któryby tę miłość skierować mogła, staje się rodzajem złej, trującej rośliny, której piękne purpurowe kwiaty mają we wnętrzu swoim jad zabójczy. „Ona“ odepchnięta lub zdradzona, jeśli ma duszę z hartowniejszego materiału ukutą, staje się złą i szkodliwą sceptyczką, a przynajmniej za taką uchodzić pragnie. Gdy zaś „ona“ jest dobrem, poczciwym dzieckiem, — płacze, dostaje spazmów, zużywa masę wody kolońskiej lub eteru, pudruje co chwila zaczerwioną od płaczu twarzyczkę i posila się ukradkiem, aby otaczający ją sądzić mogli z braku apetytu o rozmiarze jej zmartwienia.

„Ona“ ma trzy wielkie wady.

Jest zazdrosną, nerwową i kokietką. Wszystkie te wady rodzą się wskutek miłości lub potrzeby tejże.

„Ona“ zazdrosna nigdy nie działa dla tych samych przyczyn, jakie pobudzają zazdrosnego mężczyznę. Podczas gdy w „nim“ gra głównie rolę obrażona miłość własna, „ona“ szaleje na myśl, że inna odbiera te same pocałunki i miłosne przysięgi, które dla niej samej są przeznaczone. „Ona“ w zazdrosnem cierpieniu nie czuje nigdy tej myśli, będącej główną podstawą zazdrości mężczyzny: „co świat na to powie?“ ale dręczy się wspomnieniem chwil rozkoszy, które przeżyła, a które jej ta druga wydziera. Dlatego „ona“ zazdrosna nie lęka się skandalu. Obdarta wyrobnica, czy wielka dama, z pyszną obojętnością na śmiech lub żarty ludzi, robi „scenę“ zdrajcy, czując tylko w swem sercu ból, jaki czuć może tylko skąpiec, któremu zbrodniarze zbierane w pocie czoła skarby zabierają. Czerwona fala zasłania jej oczy; bez względu na miejsce, czas, niewłaściwość sytuacji, wybucha groźna, straszna jak rozjuszona lwica, broniąca wstępu do legdwiśka. Nieubłagana dla swej rywalki, piorunuje ją wejrzaniem, pełnem niewystowionej pogardy, i rozszalała, nieprzytomna, nie czuje rzeczywistej śmieszności, w jaką sama popada.

Niestety! „ona“ zdradzona nigdy nie wzbudza współczucia, chyba gdy umrze z nadmiaru boleści. Czasem się to zdarza — jak mówiłam, — najczęściej w Wiedniu, ale i wtedy jeszcze następuje tradycyjne wzruszenie ramionami. — „Umarła z zazdrości!“ nie, to nigdy nie sprawia efektu.

Zresztą, pan możesz nie obawiać się następstw swej znanej donżuanerji. Żyjesz wśród „towarzystwa“, a tam nie zdarzają się nigdy podobne melodramaty, zakończone śmiercią. Tam kończy się wszystko na mniejszej lub większej „scenie“, zabawnej dla widzów, a sprowadzającej pioruny na głowę wiarołomcy. Nawet dla mężczyzny jest to rzecz dość korzystna, gdy dwie „one“ walczą o jego osobę, prostując się w swych jedwabnych lub atlasowych stanikach i podnosząc wysoko drżące od wzruszenia główki, strojne w strusie pióra i brylanty. Wówczas tracą „one“ cały swój „cachet aristocratique“ — coś z usposobienia „Dames de la Halle“ odzywa się w drzeniu rąk, okrytych długą balową rękawiczką...

Achl „*du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas!*“

„Ona“ z najwyższem wysileniem walczy, aby wydrzeć ukochanego swej rywalce; używa wszelkiej broni — obmowy, kłamstwa, anonimów, wymyśla najpotworniejsze historie, wszystko w chwalebny cel utrzymania się w pozycji. Gdy nie

poradzić nie może, usuwa się — i wtedy następuje w niej przemiana, o której wspomniałam przed chwilą. Staje się złą, niedowierzającą, mściwą; wabi, aby odepchnąć; popelnia nielogiczne okrucieństwa, karząc za cudze winy najniewinniejszych pod słońcem, lub płacze, spazmuje, chudnie, pudruje się do chwili, w której nagle ubiera się z największą kokieterją i wesołą, uśmiechniętą, zjawia się wśród świata, pytając prawie szeroko rozwartemi oczyma:

— „Co się stało? Dlaczego tak na mnie patrzycie?“

Z całą swobodą wita szczęśliwą rywalkę, z uśmiechem podaje rękę człowiekowi, za którym przed tygodniem wydzierała sobie całe pęki włosów, i prędko zaciera niekorzystne wrażenie, jakie wskutek swego braku taktu zrobić mogła. „Ona“ czasem zwycięża i na czas jakiś przykuwa powtórnie ulatującego ptaszka. Mówię „na czas jakiś“, i mam rację. „Ona“ nigdy nie zapomni uczynionej zniewagi, nie przez podrażnioną próżność, gdyż uśmiechów szyderych nigdy nie bierze w rachubę, ale ten ból serdeczny nie może jej wyjść z pamięci. Czuje go ciągle, pali on, jak rana niezabliźniona, dlatego sama się odsuwa i odchodzi, pozostawiając swobodę człowiekowi, który lekkomyślnością swoją udręczył ją tak bardzo.

Czasem „ona“ w fazie takiej rozpaczy rzuca

się z zapalem do praktyk religijnych. Chodzi do spowiedzi, nudzi księdza swemi wątpliwościami. Z szelestem jedwabiu pada na kolana w oświetlonej kaplicy, i zakrywając upudrowaną twarz eleganckimi rękami, szepce „*mon Dieu!*“ na rozmaite tony. Modlitwy te mają na celu ukaranie przeniwiercy i rywalki, a specjalnie tej ostatniej, i bywają przerywane brzękiem kluczy kościelnego, pragnącego zamknąć świątynię i udać się na piwo. Gdy przeniwierca nie wróci, a „ona“ nie znajdzie nowego, godniejszego przedmiotu swej miłości, może stać się fanatyczką i zachorować na tak zwaną „*mania religiosa*.“ Ubiera się wtedy czarno i szczypie się w rękę, aby nie zasnąć na konferencjach OO. Jezuitów. Mówi do grubej wędliniarki, należącej do bractwa „siostró“ i chodzi na procesje, trzymając ogromną świecę, kapiącą woskiem na podłogę kościoła. Zasusza się wtedy, traci cały urok kobiecości, przybiera postawę zakrytjanską i przestaje być „nią“.

Oto do czego miłość doprowadza kobietę — rekrutuje całe oddziały dewotek i spotrzebuje wielką ilość czarnego kaszmiru. Winnam dodać, że dewotka zwykle nie przestaje się... pudrować.

Ach! ten puder! ta Veloutina tak delikatna, biała lub różowa! Według mnie, Afrodyta nie ocknęła się z piany morskiej, ona wyszła z obło-

ków Veloutiny z puszką w ręku — cała wonna od pokrywającego ją pyłku.

„Ona“, wiecznie obłana tym śnieżnym potokiem, nie pojmuje życia bez pudru; wyrzecz się prędzej pożywienia, niż ulubionego *article de toilette*. Prosta sługa pomiędzy patelnią i moździerzem trzyma żółty papierek z etykietą aptekarską „Puder czysty, ryżowy“ — a kawałek waty świadczy, że blada cera Hani lub Kaśki jest wytworem sztuki, a nie natury.

Maluchne dziewczynki z najwyższym wysiłkiem drapają się na krzesła w chwalebny cel dostania się do wysokości matczynej toalety i umaczania tam noska w puszcze z Veloutiną.

Przejdźmy teraz do drugiej wady.

„Ona“ nerwowa!

Rzeczywiście, jest to plaga społeczeństwa. Gdybyś pan mógł zrozumieć, na ile nieszczęście, na ile łez, na ile niepokojów narażony bywa dom, w którym główna „ona“ cierpi na tę urojoną chorobę nerwów, — ile eteru, ile białych negliży, ile chustek do nosa, ile nadludzkich krzyków, spazmów, ile nadzwyczajnych śmiechów i łkań wydobywa się i zużytkowuje bezpotrzebnie wśród ścian takiego apartamentu, — wątpię, czy spoglądałbyś z takim upodobaniem na swój pierścionek zaręczynowy. Szczęściem, narzeczona twoja jest zdrową, rumianą dziewczynką, ściskającą się do

przesady gorsetem, co jedno tylko może spowodzić „bicie serca“ i t. p. przypadłości. Radzę stanowczo gorsety z domu usunąć, jeśli pan lubisz spokój, a nie pragniesz odbywać podróży do Fürstenhofu i tym podobnych miłych zakładów kuracyjnych. Wytlómacz pan swej żonie, że Wenus, która dostała jabłko od Parysa, nie miała gorsetu i nie czyniła wrażenia osy. Greczynki kształtowały swe draperje według ciała. Jakże można poprawiać to, co piękne, to, co doskonałe, to, co jest najwyższą harmonią form?

Wątpię wszakże, czy cały ten wykład estetyki odniesie pożądaną skuteczną. „Ona“ ściska się gorsetem z jakąś dziwną zaciekłością. Dręczy się, przechodząc istne tortury, mdleje, zabija w sobie matkę i wydaje na świat istoty blade, chorowite, ze ściśniętą klatką piersiową, prawie zgniecione wśród tych stalowych obręczy, któremi się „ona“ otacza. Ale to trudno, *c'est plus fort qu'elle* — „ona“ jest najczęściej nerwowa z braku zajęcia, z egzaltacji, zacierpniętej z odurzających silnie perfum lub angielskich romansów, z mistycznej ciżmy kościołów lub pełnych wykrzykników modlitw, które czyta wśród gorącej atmosfery majowego nabożeństwa.

Gdyby mężczyźni zechcieli obserwować, jak nieśmiało, z niepewnością dobrego przyjęcia, urzą-

G. Zapolska „One“ (Lektor)



dza „ona“ pierwszy atak nerwowy, a rozzuchwalona powodzeniem ośmiela się coraz więcej, spełniając powietrze krzykami i wonią otrzewiających środków! Gdyby za pierwszym występem efekt pozostał chybiony, z pewnością nie byłoby dalszego ciągu i pani nie miałaby „swych nerwów“, czyniących dla męża domowe ognisko najnieznośniejszą instytucją pod słońcem, a dla kochanka miłosne ekstazy rodzajem odwiedzin w Kulparkowie. Zdaje mi się przecież, że gdybym była mężczyzną, znalazłabym środek przeciw owej smutnej epidemii, goszczącej w buduarach kobiet, a nawet w *dortoir'ach* pensjonarek.

Tym prostym środkiem byłoby.. lusterko.

Rozszlochanej, rozspazmowanej, wykrzywionej, zeszpeconej kobiecie podsunąć pod oczy... zwierciadło. Niech spojrzy na te oczy nabrzmiałe, na tę twarz zmarszczoną konwulsyjnie, na grzywkę w nieładzie, a z pewnością przestanie wołać o pomstę do nieba. Zresztą, czy uważałeś pan, że wszystkie kobiety spazmujące ukrywają starannie twarz swoją? Wrodzona kokieterja nakazuje odwracać im się w chwili zszpeconia. Masz pan najlepszy dowód, że owe „cierpienia“ nie wykluczają chęci podobania się. Ja nie znam się na podobnych atakach, nie „cierpiałam“ nigdy w ten sposób, ale sędzę, że to nie boli tak bardzo, gdy można myśleć równocześnie o swej piękności nad-

wereżonej. Gdy kobieta cierpi naprawdę — kryje się jak zwierz zraniony i obojętnieje dla swej powierzchowności. Nerwowe choroby nie wykluczają apetytu i... kokieterji. Ach! widzę, że pan oddychasz z zadowoleniem. Stoimy więc w obliczu tej najstraszniejszej zbrodni kobiecej, nieobjętej wprawdzie w siedmiu grzechach głównych, ani zakazanej przez Jehowę, gdy dawał Mojżeszowi instrukcje co do rodzaju niedozwolonych postępów wśród śmiertelników, wyprowadzonych z niewoli egipskiej.

Nie będę wszakże sprzeczać się, że kokieterja jest rzeczą bardzo zdrożną, ale zarazem... konieczną. Cóż warta „ona“ bez kokieterji? czyż nie jest raczej dowodem estetycznego poczucia to ciągle dążenie do upiększania samej siebie? Każda kobieta przychodzi na świat kokietką — i ręczę, że Pallas Atene, wyskakująca z głowy Zeusa, musiała mieć hełm równie dobrany „do twarzy“ — jak obecna „ona“ kapelusz, strojny w pęki kwiatów, piór i motyli. „Ona“ kokietuje wszystko i wszystkich dokoła — mężczyzn, dzieci, zwierzęta, drugie „one,“ nawet samą siebie.

Zalotność staje się drugą nią, dąży jej śladami, owija się w fałdy jej balowej szaty, wsuwa się w czerwoną harasówkę, zdobiącą świtkę wiejskiej młodycy, uśmiecha się z obnażonych nówek malutkiej dziewczynki, kryje się wstydliwie w za-

słonie panny młodej, drga w lekkich spódniczkach tancerek i zasypia na batystem krytych poduszkach umierającej suchotnicy.

Widziałam raz w klasztorze siostrę Marję Kalikstę, piękną, wysoką brunetkę, pochyloną nad cebrem wody i upinającą swój czarny kaszmirowy welon.

Zakonnica ta, której surowa reguła klasztorna zabraniała widoku zwierciadła, uśmiechała się do swego odbicia w przezroczu wody, przepelniającej ceberek. Nie wychodziła przecież nigdzie, nawet do parlatorjum, szła wprost do chóru na adorację. W chórze kłęzały tylko siostry, posługaczki i neofitki. Czy dla nich siostra Kaliksta układała tak starannie swój welon?

Widocznie, że dla nich, bo ta zakonnica była pomimo grubej bielizny i niemodnej odzieży „nią“ w całym słowa tego znaczeniu. Kokietowała siostry spojrzeniem swych wielkich czarnych oczu i regularnymi fałdami welonu. Kobieta bez kokieteryj traci cały powab, cały urok i staje się istotą bezpłciową.

Czasem kokieteryja przybiera zatrwajające rozmiary, przechodzi w stan chorobliwy. Objawia się zwykle nadzwyczajnem wpatrywaniem się w lustro, bezmiernem poprawianiem natury i prawie konwulsyjnym przewracaniem oczu.

Jeśli „ona“ jest rozumną i dowcipną, to cała komedja kokieteryj jest bardzo miłym „flirtowa-

niem“, wiodącym do ołtarza, lub odwodzącem od niego. Kokietka ograniczona jest śmieszna, a czasem staje się nieznośna, nie umiejąc wyzyskać odpowiedniej chwili.

„Ona“ — umiejąca używać półświatła, półcieniów, półuśmiechów, półspojrzeń, półsłów, jest czemś dziwnie pociągającym, tak jak ten kwiat, którego nie widzimy, a woń nas drażni i upaja. Taka „ona“ przykuwa nierozzerwalnymi węzły nie serce, lecz fantazję mężczyzny. Przejdą lata, wiele innych kobiet przesunie się pomiędzy tymi dwójgim, a „ona“ wiecznie stać będzie przed nim z całym urokiem kobiecości i ciągnąć wspomnieniem ku sobie. Silniejsze to węzły, niż przysięgi, składane u stóp ołtarza! Gdyby żony to wiedziały i chciały zrozumieć, czem przykuć można nie-stałe stworzenie, „mężczyzną“ nazwane!.. Ale, na nieszczęście, „ona“ zamężna ekspensuje tyle kokieteryj za domem — na balach, rautach, gonitwach, kursach, spacerach, a nawet w kościołach, że wraca do domu znużona, pragnąc spoczynku po tej ciężkiej pracy. Mężczyzna zaś chce bezustannie kąpać się w kokieteryj kobiecej, na którą tak narzeka; nie znajdując jej w domu, śpieszy szukać jej po manowcach i stąd wytwarza się tak zwana „zaniedbana żona“ — łup dla seduktorów, próżniaków salonowych, wnoszących do rodziny niepokój, a często zniszczenie.

Kokieterja kobieca, w gruncie rzeczy wada powszednia, grzech nie nazbyt ciężki, ma czasem fatalne konsekwencje. Już w mitologii widzimy Herkulesa, gnuśniejącego u stóp zalotnej Omfali, a w Biblii — biednego Samsona, ostrzyżonego po żołniersku ręką kokietki Dalili. Księżna Falconieri gubi Andrzeja Rosveina. Choć, właściwie mówiąc, Herkules musiał być zmęczony, Samson śpiący, a Rosvein przyszedł na świat z zarodem suchot, które rozwinęły się podczas jego romansu z piękną księżną. Ileż to w zamian arcydzieł stworzyła ręka mistrzów, drżąca nerwowo pod wpływem zalotności kobiecej! Czyż mielibyśmy „Dziady“, gdyby panna Wereszczakówna nie kokietowała Mickiewicza? Jakkolwiek Dante przedstawia tak idealnie swoją Beatrycę, ręczę, że niejeden zalotny uśmieszek przesunął się po ustach białej Monny Bice! Wszystkie „one“, te ideały poetów, rzeźbiarzy, malarzy, te natchnienia, płynące na szarych skrzydłach wieczoru, te czyste, klasyczne postacie, zakute snem w marmury, lub rzucone jaskrawą tęczą na płótno, te melodie, dźwięczące w pieśniach muzyków, wszystkie te „one“ promienne zjawiskiem, bogate w artystyczne pomysły, pełne fantazji i genialnych bezwiednych błysków — to kokietki doskonałe, wykształcone w szkole życia, lub naiwne w swej nieświadomości, to „Kleopatry“ lub „Małgorzaty“, to pięknie rozwinięte

kobiety, lub smukłe, młodziuchne dziewczeczki. Cicha, spokojna gosposia, Werterowski ideał miał nawet swą kokieteryję, specjalną, ciężką, niemiecką, ale zawsze kokieteryję. Zalotność jest bronią kobiety, ona nią walczy i zawsze zwycięża. Jest kokieterja szkodliwa, tak zwana „na zimno“ — wystudjowana, obmyślana. Ta rzeczywiście prowadzi za sobą złe następstwa, ale... pocóż ptaszki łowią się w tak sztucznie poplątane sieci? Czyż to trudno odróżnić zalotność, biorącą początek w uczuciu serdecznem, od kokieteryji, osnutej na tle rachuby lub zemsty?

Są jeszcze drobne wady, które „ona“ obnosi po świecie z całą dezinwolturą doskonałej istoty. „Ona“ bywa złośliwą, lubi plotki, pisze anonimy, zjada masy cukierków, psujących jej ząbki, lubi czytać romanse i Heinego, nie rozumie nic a nie polityki, wtrąca się do rzeczy, które do niej nie należą, nosi obrzynie tiurniury; często obiecuje kotyljona czterem danserom naraz, a wstaje rano z łóżka przez dwie lub trzy godziny, zamyślając się co chwila i kładąc napowrót. Są inne „one“, które pracują, zrywają się prawie ze świtem, naprawiają bieliznę dzieciom, idą na targ i pilnują obiadu. Takie „one“ się nie liczą. Mają ręce czerwone i noszą rękawiczki na trzy guziki. Te nie chorują na nerwy i nie sprowadzają zaburzeń

kotyłjonowych. Natomiast niosą spokój i pomoc męzowi i zajmują się wychowaniem dzieci.

Nie o te „one“ pytałeś się pan, wszak prawda? Chciałeś, bym ci dała sylwetkę „onej“, do której przywykłeś od kołyski, tej istoty strojnej w jedwab, adamaszek i koronki, owianej wonią fiołków lub japońskiego „Coryplopsisu“.

Takie „one“ nie cerują bielizny, nie chodzą na targ i nie noszą podzielowanych bucików, ale za to dzieci tych kobiet chowają się pod okiem płatnych sług i zadziwiają przechodniów przedwczesnem rozwinięciem zmysłu krytycznego i dezynwolturą, z jaką obnoszą zbyt krótkie sukienki. „Ona“ z towarzystwa stanowi zwykle krój płaszczyka swej córki lub kolor pończoszek syna, asystuje przy wieczornym pacierzu i sądzi, że w ten sposób wypełnia ważne obowiązki matki.

Później, gdy zmarszczka przybędzie, a świat odsunie od berła i prawa korony — „ona“ zaczyna baczniej spoglądać na drobne istotki, kręcące się po dzieciennym pokoju. Zapóźno, niestety! — dziecko to wosk, na którym odbijają się pierwsze wrażenia, i te wrażenia stanowią często o charakterze i późniejszych jego postępkach. Przysłowie o „skorupce“ zbyt często znajduje zastosowanie...

Ale dosyć! — nie prosisz mnie pan o morały; żadasz szkicu, nie chcesz cieni. Niechże więc będzie szkic — życie samo cienie doda.

Niestety! oprócz drobnych wad, które wymieniłam, „ona“ swą wieczną potrzebą kochania, swą nieposkromioną fantazją, wreszcie burzliwą namiętnością staje się często występna, bardzo występna!

Czy pamiętasz pan, że kilka miesięcy temu, odpisując twej obecnej narzeczonej, radziłam jej, by brała „jego“ z lekkiej, nie tragicznej strony?

Co do kobiet, rzecz się ma przeciwnie.

Najpocziwsza „ona“, traktowana lekko, staje się mimo woli i wiedzy tak zwaną „lekką kobietą“.

„One“ są tak dziwaczne, kapryśne, fantastyczne, że częstokroć romansik, rozpoczynany żartem, staje się namiętnością, wiodącą za sobą niepokój, a często... zbrodnię. Z „nią“ trudno trafić do ładu — nigdy nie wiadomo, co jutro przyniesie; opuszcza cię rozkochana do szaleństwa, a nazajutrz wita oziębłe, dziwiąc się, że ją tak mocno za rękę ściskasz. Czasem wręcz przeciwnie. W kilka godzin „ona“ namyśla się i dochodzi do przekonania, że nie może żyć bez człowieka, z którym wczoraj zamieniła kilka kokieteryjnych spojrzeń. I pod wpływem jakiejś szalonej, niewytłumaczonej gorączki, rwie wszystkie węzły, druzgoce szczęście drugich, staje się przyczyną pojedynków, skandalicznych rozwodów lub potajemnych małżeństw.



Tak jest, niestety! „Ona“, ta doskonałość form, ten najpiękniejszy kwiat, to promienne zjawisko, niepowściągniętą namiętnością lub chorobliwą fantazją obala najsilniejsze zapory, łamie zuchwale przysięgi i z dziwną lekkomyślnością naraża życie i honor drugich. Co do honoru, ona ma dziwne pojęcie. Gdy mężczyzna potrzebuje szanować istotę, której swą przyszłość powierza, lub z którą choćby chwilowo serdecznie się łączy, „ona“ wyklucza potrzebę szacunku. Dla niej ideałem może być nawet kryminalista, — w szale miłości nie uważa na nieskazyłość honoru wybranego. Jednej rzeczy nie daruje nigdy, to jest... śmieszności.

Znałam jedną „onę“, która ginęła z miłości za człowiekiem, nienależącym do swej sfery. Rodzice stawiali zapory połączeniu się dwojga kochanków, „ona“ mdlała i chodziła z twarzą spuchniętą od płaczu. Po kątach szeptano już o wykradzeniu, tajemnym ślubie i różnych innych środkach, używanych zwykle w romansidłach angielskich, gdy nagle nastąpiła w uczuciach panny zmiana. On przyszedł na schadzkę w krawacie szafirowym w białe grochy! Nie — stanowczo, był tak śmiesznym w tym dziwnym krawacie, że o małżeństwie mowy być nie mogło. „Ona“ przestała zupełnie marzyć o zaślubieniu współwłaściciela wielce zresztą obiecującej firmy, a ro-

dzina uniknęła mezaliansu wskutek owej nadzwyczajnej krawatkil „Ona“ jest nadzwyczajnie wrażliwa; źle dobrane suknie, zły fason kołnierzyka, niewłaściwe wyrażenie, śmieszne zachowanie się, nieumiejętność jeżdżenia konno, brak muzycznego ucha, bigoterja, użycie złych perfum, matowe paznokcie, zależność, niewłaściwie użyta lza, zazdrość, zresztą tyle tysięcy drobnostek, działają na „nią“ w sposób zadziwiający. Są to szklanki zimnej wody, wylane na jej rozgorączkowaną główkę. Gdy mężczyzna staje się śmiesznym w jej oczach, przegrywa partję; nie pozostaje mu nic innego, jak usunąć się czempredzej. „Ona“ przebaczy zbrodnię, nie waha się ująć rękę zbroczoną krwią zamordowanego, ale odwróci się z pogardą od człowieka okrytego śmiesznością. Jest wtedy niełitościwą, głuchą na wszystkie prośby, a chęć zemsty nurtuje jej piękną postać, zemsty za część śmieszności, która z jego osoby spada na jej ramiona. Pomimo wstrętu do owej śmieszności, sama okrywa się nią często i z dziwną lekkomyślnością, zwłaszcza w scenach zazdrości.

Mówiłam przed chwilą, że nie radzę panu zapatrywać się na kobietę z lekkiej strony. Przy najmniej nie na wszystkie i nie w każdej chwili. Często „ona“ z pozoru zawodzi; to, co rano stanowi delikatną piankę, pod wieczór staje się huraganem. Trzeba umieć rozróżniać gatunki „onych“,

klasyfikować, dzielić na grupy, a przede wszystkim umieć czytać między linjami. Czasem jeden *tour* walca może zgubić rodzinę, często znów nadzwyczajne niby uczucia prowadzą do spokojnego, cichego rozejścia, zakończonego przyjacielskim uściśnieniem dłoni. Chwilowe rozdrażnienie nerwów, spowodowane odmówieniem przez męża nowego ekipażu, może spowodować obietnicę pierwszej miłosnej schadzki, która ma stanowić rodzaj cichej zemsty nad skąpstwem mężowskim.

„Ona“ — dźwigająca na swych alabastrowych ramionach tak wielką odpowiedzialność, jaką jest nieskażoność nazwiska, upada często pod tym ciężarem, nie dla braku sił wszakże, ale dla nieświadomości, którą udać się drogą, by nie zbłądzić wśród manowców.

„Ona“ idzie do ołtarza, wsłuchując się z upodobaniem w szelest jedwabnego trenu, wlokącego się za nią po zniszczonych dywanach kościelnych. Gdy wymawia słowa przysięgi, płacze dla zwyczajności, lub wpatruje się w złote nici, połyskujące na kapie schylonego nad nią kapłana. Czasem liczy świece na ołtarzu, lub odczytuje monogram, wyszyty na antypedjum. Powtarza słowa przysięgi cienkim głosem jak mała papużka, a gdy jest panną, powstrzymuje lekkie wzruszenie ramion przy zapytaniu: „nie ślubowałaś komu innemu wiary małżeńskiej?“

Jeśli sobie wyobraża, że kocha się w swym mężu, głos jej zniża się cokolwiek i brzmi głośniejszy przy obietnicy owej „wiary, miłości i posłuszeństwa“ aż do śmierci.

Czasem przy „posłuszeństwie“ „ona“ polyka ślinę, lub udaje z wielką przebiegłością kaszel dlatego, aby opuścić ten przykry wyraz, którego zastosować w życiu nie ma ochoty. Nie rozumie całej odpowiedzialności, jaką przyjmuje na siebie w tej chwili; nie wie, ile walk ze swymi nerwami, namiętnością wrodzoną, fantazją i skłonnością do bezustannej miłości staczać się zobowiązuje.

Wśród wysokich murów świątyni, w tej atmosferze wilgotnej, przesąkłej zapachem płonącego wosku, w tych dźwiękach *Veni creator*, płynących pod ciemne łuki sklepienia — „ona“ stoi pozornie wzruszona; nieposzlakowana elegancją swej ślubnej toalety, wiążąca się na całe życie z nieznanym sobie człowiekiem, obowiązująca się przed Bogiem i ludźmi do najcięższych obowiązków, których łamać nie wolno bezkarnie, obiecująca to, czego dotrzymać często nie może, a czasem nie chce.

I oto „ona“ staje na straży domowego ogniska, odpowiedzialna za przyszłość swych dzieci; w sukni białego anioła wchodzi w próg domu, nad którego dachem widnieje napis, godny potępieńców „*Lasciate ogni speranza voi che v'entrare*“.

A przecież ona nie wyrzeka się tej nadziei, i jeśli w mężu lub dzieciach nie znajdzie zadowolenia wiekuistej potrzeby miłości, idzie jej szukać poza domem, wlokąc za sobą nazwisko, które razem z wieńcem ślubnym włożono na jej głowę, szarpiąc w szmaty swą przysięgę wierności, oszalała, bezprzytomna, ginąc często w błotnistej przepaści, ściągana coraz niżej i niżej w pogoni za uczuciem serdecznem.

Są „one“, przeznaczone na zatrącenie, jak ómy ginące w płomieniach; te „one“ są zwykle najweselsze, pomimo przeświadczenia o swem przeznaczeniu. Walcząc, spadają w otchłań, a po nich zostaje pamięć jakiegoś przelotnego zjawiska. Czasem, spadając, pociągają za sobą całą rodzinę, ale mimo to nie zatrzymują się nad brzegiem mogiły. *Fatalité, rien de plus!*

„Ona“ czasem dla najdziwniejszych powodów idzie do ołtarza. Jedna z moich przyjaciółek wyszła za mąż w siedemnastym roku życia jedynie dla picia czarnej kawy i czytania *Paul de Kock'a*.

Tydzień miodowy przepędziła głównie na pochłanianiu niezliczonej ilości kawy i czytaniu rozrzuwającego romansu pod tytułem: „Żona, mąż i kochanek.“

Gdy zrozumiała wreszcie smak kawy i romansów *Kock'a*, żalowała bardzo, że została mę-

W trakcie tego paroksyzmu ucina zwykle włosy i kupuje nadzwyczajne biurko. Staje się literatką, filozofką i poetką.

Jeśli ubiera się dobrze i pomimo atramentu zachowuje wdzięk kobiecy, przebacza się jej nieszkodliwą chorobę; jeśli suknie jej cofają się co do mody, a forma ich przybiera zastraszający krój, zbliżający się luźnością fałdów do paltotów męskich, jeśli „ona“, dotknięta tą manją, zaczyna przybierać ton profesora i jego śpiczaste kształty, jeśli w jej alkwie nie płonie błękitnawe światełko lampy, przy której zwykle śpią rzeczywiste „one“ — och! wtedy uciekaj pan czempredzej. To nie jest kobieta, to mieszaniec, zatracający dobrowolnie najpiękniejszy dar nieba — tę nieświadomość kobiecą, tak miłą dla mężczyzny, gdy drobna, kształtna główka nachyla się w pokorze przed jego wyższością umysłową, a oczy pytają, proszą co chwila o wytłumaczenie zanadto zawitych kwestji.

Mężczyzna jest próżny, nie lubi, aby go upokarzano, pragnie, aby go podziwiano, dlatego tak często przywiązuje się do tak zwanych „gęsi“, to jest kobiet, czytających mało, a nie piszących prawie nigdy. Zresztą, cóż zbuduje „ona“, zrzekająca się dobrowolnie praw, od kołyski jej nadanych?

Czyż „ona“ była kiedy geniuszem? Ach! niestety, nigdy!

„Ona“ może mieć talent, talencik — mówiąc właściwie, ale do potęgi męskiego geniuszu nie wzniesie się nigdy. Mężczyzna ma lepszą głowę — wyznajmy to szczerze, kobieta ma za to głowę stanowczo.. piękniejszą. Nie pomoże nauka, zaniedbanie w ubiorze, zadziwiające okulary i pale nie papierosów.

Ach, bo „ona“ często pali papierosy!

Czy możesz pan sobie wyobrazić ideał piękności kobiecej, ten najdoskonalszy akord w hymnie, ogarniającym świat cały, słowem, Afrodytę grecką, płynącą na falach morza z papierosem w ustach?

Lub wejdźmy wyżej — błękitnooka Gretchen, siedząc przy kołowrotku, puszcza kłęby dymu z dezynwolturą studenta z piątej gimnazjalnej; przedstaw pan sobie idealną Ofelję, dobywającą eleganckie portecigarres, prosząc cię o „ogień“. Więcej nie dodam. To wystarcza.

Chcesz pan, ażebyśmy teraz uporządkowali trochę zdanie o „niej“ z tego bezładnego szkicu, z którego niewiele zapewne zrozumiałeś? Ale przypomnij sobie, że masz do czynienia właśnie z taką „oną“ i daruj brak porządku w opisywaniu innych „onych.“

Kobiecy rozum to ta latarnia magiczna w bajce,

w której mała pokazuje swym zgromadzonym gościom najcudowniejsze krajobrazy, przesuwane się na płótnie. Wszyscy się zachwycają, — jeden indyk wyznaje otwarcie, że nic nie widzi. Przyczyna? — oto mała zapomniała „oświecić latarkę“.

Spodziewam się, że przez to pokorne przyznanie się do braku światła uzyskam pobłażanie i że pan wzamian zacytujesz mi zdanie „*chez elle le désordre est un effet de l'art*“. Co przyjąwszy z uśmiechem, przejdźmy do porządku dziennego.

„Ona“ — istotą doskonałą w swej niedoskonałości, stała w niestałości i piękna istotną pięknnością, jest stworzeniem najczęściej wzrostu średniego i hardzo tkliwego serca. Jest bardzo złośliwą lub apatyczną na wady drugich, woli jedwab niż wełnę i wody zagraniczne niż krajowe zakłady kąpielowe, w czem zresztą ma zupełną rację. Od młodości przeznaczona do spełniania ofiar i poświęceń, podejmuje się z chęcią roli anioła, jak również chętnie przybiera postać djabła. Kocha się zawsze i wszędzie, a miłość jej ma częściej rzewny, serdeczny charakter, a działa jako żywioł dobroczynny częściej niż destrukcyjny. Jest zwykle zarozumiałą, zwłaszcza na punkcie umiejętności ubierania się, i przepędza większą część dnia na wpatrywaniu się w lustro. Lubi słodczyce i małe, skrzeczące pieski, kocha namiętnie swe dzieci, ale czasem w przystępie rozpaczy

dusi je lub porzuca. Pokrzywdzona rzeczywiście przez ustrój społeczny, rzuca się jak lwica w klatce. Odważna do zadziwienia w niebezpieczeństwach, na które się naraża, prowadząc wiarołomną intrygę, drży na chrzęst odwodzonego kurka i wydaje krzyki na odgłos wystrzału. Żąda równouprawnienia z mężczyzną, niepomna o powinności wojskowej. Proszę sobie przedstawić robiącego plotki porucznika lub spazmującego dobosza!

„Ona“ nie lubi pamiątek i ma zawsze pełno kolizji, wynikłych wskutek porozrzucania miłosnych listów. Gdy „ona“ przejdzie straszliwą trzydziestkę, nie lubi światła dziennego i pokazuje się zwykle w sztucznym oświetleniu. Czuje piękno i rozumie artystyczny układ draperji, co nie przeszkadza jej nosić olbrzymiej tiurniury i dwupiętrowych obcasów. Na widok wspaniałego dzieła sztuki znajduje tylko jedno słowo: „ach, jakież to piękne“, i nie wdając się w rozprawę estetyczną, pojmuje czystość linii lepiej niż niejeden estetyk. Ma zwykle czarne lub niebieskie oczy, w których tkwi główne siedlisko jej kokieterji. Czasem te oczy bywają siwe lub piwne, ale kokieterja pozostaje ta sama.

Chętnie przebacza urazy, ale nie zapomina krzywd nigdy. Często mści się, wyrządzając sobie więcej krzywdy niż swej ofierze. Woli pisać listy niż telegrafować, i boi się strachów, o których

rozmawia z dziwną pasją, zadowolając tem swą ciekawość i chęć poznania nieznanego. Zdradza często, ale starannie ukrywa tę zdradę, a w chwili wykrycia całą jej miłość posiada zwykle oszukiwany przez nią człowiek. Lubi dobre wychowanie i ogładę towarzyską, a mimo to potrzebuje być maltretowaną, i brutalność mężczyzny wprowadza ją w rodzaj ekstazy. Woli donżuanów, niż ludzi, niemających w swem życiu głośnych spraw miłosnych; jest w jej usposobieniu coś z natury owcy, biegnącej w przepaść dla tej logicznej przyczyny, że przed nią biegnie cały szereg innych.

Lubi kwiaty, ale niechętnie je pielęgnuje; choruje często, ale na balach i rautach jest niezmordowanie zdrową. Jest cierpliwą i wyrozumiałą, ale tylko dla siebie samej lub istot, które kocha. Umie doprowadzać mężczyznę do szaleństwa, ale często strąca go jednym słowem w przepaść. Nie lubi się fotografować, a mimo to fotografuje się bardzo często. Lubi widzieć kochanka, padającego na kolana lub całującego kraj jej szaty, ale przepada za człowiekiem, który udaje, że jej nie spostrzega.

Ma większe zaufanie do Matki Boskiej, niż do Pana Jezusa, i w alkwie najgorszej jawnogrzeszniczy płonie maluchna, elegancka lampeczka przed obrazkiem Marji. W maju „ona“ uczęszcza gorliwie na majowe nabożeństwa i zaczyna równocześnie w tym miesiącu wiosenne romansiki, przybie-

rające często zatrważające rozmiary. Boi się umarłych, ale przepada za pogrzebami. Po stracie drogich osób elegancka żałoba jest dla niej źródłem wielkiej pociechy.

Mówi nieraz bardzo dużo, ale z brakiem logiki. Słońce marcowe przeraża ją jak potwór, czyhający na jej płeć alabastrową, a piegi, występujące na scenę w lipcu, sprawiają boleść jej życia. Jeździ konno, pomimo dotkliwych męczarni, jakie jej podobne wstrząsanie sprawia.

Nie lubi kłusa, ale się do tego przyznać nie chce. Na koniach i winie nie zna się wcale, mimo to udaje, że sąd jej jest jednym z wytrawniejszych. Lubi, gdy piszą wiersze na jej cześć, co nie przeszkadza wyśmiewać się z autora i dowodzić, że właśnie w tym poemacie niema najmniejszego sensu.

Jest bardzo niedyskretną i nie umie dochować własnej tajemnicy. Lubi odbierać mężczyznę innej „onej“, ale sama nie oddaje swej zdobyczy tak łatwo i walczy o nią *unguibus et rostro*. Jest zazdrosną, kokietką, kłamie często i bez potrzeby; łakoma jak małe dziecko, pycha się łakociami do niestrawności; namiętna, pełna nadzwyczajnych pomysłów i niczem niepowściągniętej fantazji, ma w sercu nieprzebrane skarby poezji, miłości, poświęcenia i poczucia piękna.

Postawiona odrazu na piedestale, przeznaczono-

nym na ołtarz uwielbienia, żąda tego uwielbienia, a w zamian daje serdeczność uczucia, które ogarnia świat cały. Miłość ta splywa z białych ramion kobiety i łagodnymi promieniami rozświetla ciemnicę życia. „Jej“ wady nikną w tym srebrnym blasku, przy którym schną łzy, milkną troski, a to, co boli, goi się tak szybko pod wpływem „jej“ słów, „jej“ spojrzenia, pod dotknięciem „jej“ miękkiej dłoni.

Dlatego, choć „ona“ ma wad tyle, choć nieraz zbrodnie powstają z jej przyczyny, choć sama przykładą rękę do zniszczenia i wali niebacznie szczęście i spokój całych rodzin, co mówię... krajów całych, pozostanie zawsze i wszędzie ideałem, rozsiewającym piękno w swej szkaradzie, spokój w niepokoju, który stwarza.

Przez Ewę ród ludzki z raj u wygnany, przez „nią“ samą wchodzi do raj u, który „ona“ w nagrodę wygnańcom otwiera. Złożywszy głowę na „jej“ piersi, zapomina się o reszcie świata, i cisza, niewysłowiony spokój ogarnia zmęczoną duszę. Bez „niej“ świat byłby pustynią, zniknęłoby słońce, ogrzewające ludzkość całą, zamarłby kwiat najpiękniejszy, wznoszący wysoko królewską koronę. Bez „niej“ — bez jej miłości, jej plotek, szelestu jej szaty, czystych linii jej ciała, woni używanych przez nią perfum, jej namiętności, ciszy jej alkowy, bez jej słodkiego głosu, jej nie-

przebranego poświęcenia, nawet jej nerwów — zniknąłby geniusz, natchnienie poetów, bezczelność zbrodni i urok odpoczynku po pracy.

„Ona,“ pomimo ekscentrycznych mód i dążenia jej do emancypacji, pozostała zawsze najpiękniejszym tworem Stwórcy, zachowując wzdłuż bioder Hogartowską linię, bielejąca marmurem swych ramion, wysmukła, z pogodnym czołem, pokrytem ufryzowaną grzywką.

Dlatego zechciej pan przebaczyć „jej“ wiele, przynajmniej te przewiny, które ona tobie przebacza; uwielbiaj „jej“ piękność i otaczaj bezustanną miłością. — Wprawdzie „on“ kochać nie umie, ale „ona“ poprzestanie chętnie na dobrem udaniu tego uczucia. Inaczej, gdy, wprowadzając pod swój dach kobietę, nie dasz jej cieplarnianej atmosfery, w której „ona“ oddychać powinna, zamiast Anioła Stróża domowego ogniska, zamiast twej chluby i szczęścia, zamiast spokoju i łagodnej pieczyoty, w żonie swej, w matce swych dzieci, znajdziesz demona, niszczącego cię bezwiednie i wlokącego nieskazitelność twego nazwiska po bezdrożach, z których, niestety, powrót. . . niemożliwy.

Jeśli ci zbyt ciężka komedja miłosna, pamiętaj, jak potężnego sprzymierzeńca zsyła ci Bóg w twem dziecku.

Łagodnie, powoli, z rozsądkiem prowadź „ją“

do kołyski i tam wskaż „jej“ miejsce, które zajmować powinna. — „Ona“ kocha swe dzieci namiętnie, może tylko chwilowo zapomnieć o swych obowiązkach. Jakkolwiek efekt ten zużyto w wielu dramatach i nowelach, a przecież rzecz ta wiecznie nową zostanie. Dziecko ratuje nieraz matkę, zwłaszcza jeśli „on“ to dziecko z zapomnienia wydobywa.

Pamiętaj pan o tym niezawodnym środku i niech syn twój lub córka dopomogą ci do „jej“ a względnie twego ratunku.

Jeśli „ona“ miłości w domu nie znajdzie, pobiegnie jej szukać, obwołując wielkim głosem hańbę waszą wspólną. Gdy „ona“ jest tylko twoją kochanką, łatwiej ci przyjdzie powstrzymać ją od zdrady, gdy żoną — to sama myśl, że jest do ciebie na wieki przykutą, będzie ją skłaniać do zerwania pęt, w których stygnie jej gorąca dusza. Dlatego powinienes pan być ciągle na straży i zdawać sobie przymus w udawaniu uczucia, którego „ona“ domaga się gwałtem od ciebie. Jeśli nie przez wzgląd na twe nazwisko, to choć przez wysokość cyfry jej posagu. Separacja to rzecz rujnująca!.. *A bon entendeur salut!*

Lwów, dnia 15 czerwca 1885 r.

.....

HELENKA

OBRAZEK





padała, ku wielkiej pociesze uliczników, a gdy wstawiała po to, aby upaść powtórnie, radość chłopców nie miała granic. Konewka, którą nosiła wodę, była niewiele co mniejsza od niej samej, a przez dziurawe dno lała się woda strumieniem. Dlatego to można było spotkać Helenkę najczęściej koło rezerwoaru, pochyloną nad kamienną balustradą lub niosącą z największym wysiłkiem nigdy nienapełnioną konewkę. Zimna, zlodowaciała woda płynęła strugą na jej drobne, sine od mrozu nogi, siekąc je nielitościwie, jak uderzenie ostrego bicia. Helenka szła dalej, nie zważając ani na ból, ani na zimno.

Wiedziała, że musi dostarczyć dziennie tyle a tyle konewek wody i przynieść węgle i drzewo z pobliskiego sklepiku. Inaczej nie dostanie obiadu.

Była to niezmiernie wrażliwa natura, a mimo to skupiona i zamknięta w sobie. Odczuwała instynktownie piękność słonecznego ranka, a noc księżycowa nie pozwalała jej zamknąć powiek. Często zatrzymywała się na środku ulicy, patrząc wielkimi, ciemnymi oczami w słońce; nie czyniła tego dla prostej zabawki — wiodła nią ciekawość wielka: „co też tam w górze tak błyszczy?“ Raz jeden widziała w kościele u Jezuitów takie same promienne widziadło, tylko o wiele mniejsze, i oczy od patrzenia na nie napływały łzami. Słońce to błyszczało w ręku księdza, strojnego w czerwony

ornat i białe musliny. Ludzie schylali dokoła głowy, a chłopcy dzwonili w srebrne dzwonki. Helenka patrzyła na to złote zjawisko, od którego były promienie, i porównywała jasne słońce, ujrzone wśród szarego ranka, do tej świetlanej gwiazdy, którą ksiądz w ręku trzymał.

Mówiono jej, że to Pan Jezus zeszedł na ziemię, aby błogosławić spracowanym ludziom. Chętnie temu wierzyła, bo według niej najwspanialszym dotąd ujrzanym przedmiotem było... słońce. Pan Jezus w kościele był niejako tem samem słońcem, błyszczącym wśród chmur wonego kadzidla. To słońce w górze, całe w złocie, zdawało się zstępować na ziemię i uśmiechać się do schyłego tłumu. Było wtedy tak blisko Helenki, że serduszko jej biło mocno na ten dźwięk srebrnych dzwonek, zwiastujących chwilę błogosławieństwa. Klęcząc wśród olbrzymiej świątyni, zasluchana cała w poważną pieśń, płynącą pod sklepienie kościoła, przyciskała zmarznięte ręce do piersi i wpatrywała się całą siłą w monstrancję, którą siwy ksiądz wznosił wysoko ponad głowy ludzi.

Tak, bezwątpienia, to było słońce, to samo słońce, co w lecie wlatywało purpurowym ptakiem ponad domów szczyty, a w zimie wstawało wolno, smutnie świecąc nad zamarzlą ziemią. Gdy ksiądz po błogosławieństwie chował mon-

strancję do złoconej kapliczki, która na ołtarzu stała, Helenka czuła się tak nieszczęśliwą, jak w dniu, w którym chmury słońce zasłaniały. Tak samo gasły jej rozpromienione oczy, a znędziała postać kulila się do ziemi. Razem ze zniknięciem promiennych widziadeł zamierało w niej to, co stanowiło duchową stronę jej istoty. Stawała się znów biedną maszyną, nędznie odzianą, przeznaczoną do noszenia wody i drzewa.

Od chwili przyjścia na świat nie zaznała nigdy lepszej doli. Nad kołyską Helenki nie zawisła nigdy serdeczna matuli piosenka. Ciepła pieśczoła nie zamknęła jej oczu do snu, ani nie utuliła płaczu dzieciny. Gdy przyszła na tę ziemię, otwiera szeroko ciemne źrenice i spozrzała dokoła. Zobaczyła tyle nędzy, smutku i biedy, że przerażona zamknęła czemprędzej oczęta i nawet płakać przestała. I leżała cichutko w swej nędznej pościółce, znosząc głód i zimno z dziwną cierpliwością. Biedne dziecko instynktem przeczuło, że płacz na nie się nie przyda i nikt nie użali się nad jej biedą. Czasem tylko dwie duże łzy toczyły się po tej drobnej twarzyczce, młodością swą porannej, a smutkiem podobnej do nocy.

Nie była przecież sierotą, ale przyszła na świat nie w porę i sprawiła wiele kłopotu swej matce. Niosła z sobą zamiast radości i wesela wstyd i smutek tylko. Biedna praczka, nie mając sama do-

statecznych środków do życia, powitała córkę przekleństwem i nazwała ją „utrapieniem.“ Gdy podniosła się z łóżka i napowrót do balji stanęła, dziecko stało się zawadą wielką. Mimowoli wiązało ją ono z domem i krępowało zarobek dzienny. Praczka musiała kilkakrotnie biec do domu, a choć doglądanie córki niewiele jej zajmowało czasu, zawsze to nie podnosiło jej w oczach jej chlebobdawców.

Nakoniec pewnego jesiennego ranka wiejska baba zabrała Helenkę. Praczka dała za wychowanie córki umówioną kwotę trzech reńskich i pół funta skradzionego cukru. W wiejskiej, dusznej i brudnej chacie wzrosło to biedne dziecko, mając za całą rozrywkę złote słońko, świecące nad jego smutną główką. Do słońka tego dążyła siłami całemi, uciekając z chałupy i chowając się za rozwalone przybudówki. Gdy jasny, ciepły promień oblał ciało dzieciny, ona podnosiła bladą i jakby spuchniętą twarzyczkę, a przymrużając oczki, rozkoszowała się w tem ciepłe jak kot grzejący się w popiele. Mirjady muszek tańczyły w tej złotej strudze, płynącej z wysoka, a Helenka wyciągała ku nim rączęta i starała się uchwycić te drobne, drgające rozbawieniem stworzonka. Nie umiała sobie zdać sprawy z tego, co zsyłało jej ciepło i światło. Była za maluchna, aby patrzeć prosto

w górę i widzieć złotą tarczę słoneczną. Czuła, że jej dobrze i niewypowiedzianie błogo, i dlatego, przewracając się po niezliczone razy, sunęła ku przybudówkom. Gdy później we Lwowie ujrzała złotą monstrancję w rękach księdza i usłyszała, że to jest Pan Jezus, schodzący na ziemię, — Bóg i słońce złało się dla niej w jedno. Nie umiała rozłączyć jednego od drugiego, a świetna, błyszcząca monstrancja była według niej tem samem słońkiem, co jej ciepło i światło zsyłało. W milczeniu stworzyła sobie własną religję, opartą na oddawaniu czci Bogu w świetlanej, słonecznej aureoli, i dobrze jej było z tą wiarą i z tym pacierzem, szepcanym wśród purpurowych blasków.

Helenka była bezwiednie poganką, ochrzczoneą według ceremonjału katolickiego kościoła, ale wątpię, czy Bóg gniewał się za to zestawienie Go z cudowną gwiazdą, świecącą wśród dnia białego.

Na złotym słońca promieniu wzlatywała w niebo czysta modlitwa drobnej, wybladłej dziewczyny. Modlitwa ta składała się ze słów: „Boziu! Boziu!“ — i byłaby dla ludzi niezrozumiałą. Aniołowie przecież tłumaczyli Stwórcy tę skargę dziewczynki, smutną prośbę o chleb, skargę na zimno lub spiekotę i hymn uwielbienia dla złotego Boga.

Przybrana matka Helenki nie troszczyła się o nią wcale. Dawała jej trochę ciemnego chleba, a czasem odrobinę mleka, i zostawiała jej zupełną

swobodę. Że Helenka nie została zjedzoną przez trzodę chlewną, lub nie oblażała ze skóry, oblawszy się ukropem, winna tylko przychylności losu, bo trzeba jej oddać sprawiedliwość, że czyniła wszystko, co można, by zginąć jedną z tych dwóch rodzajów śmierci.

Rosła bardzo powoli i rozwijała się bardzo tępo. Opiekunka nie biła jej nigdy, ale nie rozmawiała z nią wcale. Dlatego dziecko nierychło zaczęło mówić, a zaciśnięte usteczka nie wydały prawie nigdy radosnego okrzyku.

Gdy doszło do lat trzech, nastąpiła zmiana w jego życiu.

Rodzona matka Helenki zaprzysięgła dozgonną wiarę stróżowi kamienicznemu, Maciejowi Olejarek. Zamieszkała odtąd z mężem i prowadziła pralnię na własną rękę. Maciej słyszał coś o błędach młodości nadobnej Marysi, ale zapowiedział, że skutków ich na swych barkach nosić nie myśli. Jakież więc przykre wrażenie sprawiła Helenka, ukazując się nagle na progu pralni, prowadzona przez swoją dotychczasową opiekunkę. Powracając pod skrzydło matki dziecinę powitało przekleństwo i słodkie miano „utrapienca“. Chłopka energicznie zrzekła się praw prowadzenia dalszego wychowania Helenki, motywując to zrzeczenie się brakiem funduszów. Trzy reńskie i pół funta

cykru znikły przez trzy lata, a praczka nie śpieszyła się z uiszczeniem następnej zapłaty.

Helenska pozostała u matki pomimo oznak niezadowolenia ze strony Macieja i przekleństw praczki. Zaczęło się więc życie smutne i pełne przerażającej jednostajności dla biednej dzieciny.

Poniewierana od samego ranka, czuła bezwiednie niewłaściwość swego w domu istnienia i niemal wstydziła się samej siebie. Dnie całe przepędzała skulona w kąciaku koło okna, nie śmiąc przemówić, a w chwilach utarczek małżeńskich odetchnąć prawie.

Często podczas obiadu zapominano o niej. Nie odzywała się wtedy, tłumiąc łzy, cisnące się jej do oczu. Gdy praczki parzyły bieliznę, Helenska kaszlała cichutko, zasłaniając sobie usta brudnym flanelowym kaftanikiem. Gorąca para, unosząca się dokoła, gniotła delikatne płuca źle odżywianej dzieciny. Na blade-zielonem tle wilgotnej ściany rysowała się jej mała jasna główka, wcisnięta w drobne i wychudłe ramiona. Podarta spódniczka okrywała wychudłe i bose nóżki, a przez źle zapięty kaftanik widać było wąską klatkę piersiową, na której skóra nosiła często ciemnosinawe pręgi. Bito ją niejednokrotnie bez żadnego powodu, otl poprostu dlatego, że na świat przyszła.

Najczęściej biła ją matka w przystępie złego

humoru, co się zdarzało kilka razy w ciągu doby. Powoli stało się to zwyczajem, że, ile razy praczka przeszła koło skulonego pod ścianą dziecka, uderzała ją w głowę, życząc jej śmierci. Życzenia Helenka rozumieć nie mogła, szturchańce przecież rozumiała dobrze. Główka jej, uderzona silną dłonią, odbijała się o ścianę z głuchym łoskotem, a czerwona fala zalewała jej oczy. Cierpiała potem silny ból i zawrót głowy, a myśli jakoś trudno wiązały się ze sobą.

Nazwa „utrapieniec“ przyrosła do niej razem z flanelową spódniczyzną i kaftanem. Tak nazywała ją matka, przybrany ojciec i pomocnice, zgodzone na dnie do prania lub prasowania bielizny.

Te czerwone i tęgie kobiety, z rękawami zawiniętymi po łokieć, a mięśniami jak u tragarzy, przerażały Helenkę i rosły w jej wyobraźni do nadludzkiej potęgi. Gdy, stojąc przy balji, z rozpustnym żartem na ustach wyciskały wodę z prześcieradeł, lub chwyciły całe stosy koszul, wrzucając je do wanienek, z trwogą tuliła się do wilgotną okrytej ściany.

W wyobraźni dziecka tylko złe duchy mogły mieć tak wielką siłę, — ona przecież była tak słabą, że garnuszka unieść nie mogła. Często w nocy majaczyła, widząc poza obłokami z pary twarze

Magdaleny lub Jacentowej — groźne, sine od gorąca i zaduchu.

Całą rozrywkę Helenki stanowił duży biały kot, który od czasu do czasu wskakiwał przez okno i kładł się na stosach brudnej bielizny. Helenka, przyzwyczajona do zwierząt, wyciągała doń rączki, ale kot nie zwracał uwagi na małą dziewczynkę. Helenka postanowiła w inny sposób pozyskać względy kota. Z obiadu schowała kawałek zimnego kartofla i z biciem serca wyczekiwała przybycia zwierzęcia. Dwa dni nie zjawił się kot wcale, a Helenka z trwogą ukrywała kartofel, drżąc co chwila, aby matka lub która z praczek nie odebrały jej przynęty. Gdy wreszcie kot pokazał się na oknie, Helenka zarumieniła się z radości i przysiadła na ziemi. Kot zeskoczył z okna i szedł w kierunku porozrzucanej bielizny. Helenka, o ile można najciszej, zawołała „Kici!“ i pokazała mu kartofel. Kot stanął, obejrzał się, a dziecko powtórzyło wołanie i wychyliło się z kącika, pragnąc podać kotkowi zimny i twardy kartofel.

Na nieszczęście, matka dostrzegła tę występłą zabawkę i jednym uderzeniem w głowę dziecka przerwała długo obmyślany efekt. Kot uciekł i nie pokazał się więcej, a Helenka, przytulona do ściany, połykała łzy, patrząc na leżący na ziemi kartofel.

Niedziela i święta były najgorszymi dniami w życiu Helenki.

Państwo Maciejostwo zamykali zwykle stancję i szli na spacer. Helenka zostawała sama i kładła się najczęściej na ziemi, lub siadała koło okna. Drzemała, lub patrzyła przed siebie, oczekując zmroku. Razem z tym zmrokiem wchodzili do izby jej rodzice, zwykle podchmieleni, nierzadko prowadząc za sobą również podchmielonych gości.

Helenka uciekała wtedy w najciemniejszy kącik, a gdy na długim stole zjawily się flaszki, dziecko wiedziało z doświadczenia, co je czeka. Gdy goście po tym traktamencie opuszczali izbę, małżeństwo rozpoczynało zwykle kłótnię, w której istnienie Helenki główną grało rolę. Matka zaprzysięgała się, że „urwie temu utrapieńcowi głowę, aby już raz z oczów zesza“, — a Maciej w gorzkich wyrazach wypowiadał jej błędy i zdrożności, których Helenka była wymownym dowodem.

Raz pośród najgwałtowniejszej utarczki Maciejowa porwała dziecko i chciała mu głowę o mur roztrzaskać, ale skończyło się na kopnięciu nogą i wyrzuceniu dziewczynki do sieni.

Gdy Helenka siedziała tak pociemku, opierając rozpalone czoło o kamienne słupy przedsionka, w umyśle jej powstała nagle rozpacz wielka. Zrozumiała nareszcie, że jej zawiele na świecie, i że dla niej niema spokojnego kątku. Była taka

mała, a zajmowała tyle potrzebnego miejsca! Ale któż na tem miejscu mógłby się pomieścić? kot albo pies najwięcej

Gdy podrosła, zrozumiała jeszcze bardziej niedolę swoją. Wykradała się na wąski i brudny dziedziniec i tam siadała, przytulona koło rynny, z której płynęły białe szumiące mydliny. Gromada bosych, obdartych dzieci tańczyła po nierównych brukowych kamieniach, śpiewając cienkimi głosami dzikie i niezrozumiałe melodje. Dokoła nich wznosiły się szare, brudne mury kamienicy o wąskich ciemnych oknach. Okna te, pootwierane, wyrzucały z siebie gwar rozmów lub zapachy potraw, a zamknięte błyszcząły niepewnym, niezdrówym blaskiem jak oko suchotnika.

Siedząca pod ścianą dziewczynka patrzyła zwykle przed siebie smutnie, prawie bezmyślnie, a drobne jej rączki wisiały bezwładnie po obu stronach wychudłego ciała. Nie łączyła się nigdy z gromadą tańczących dzieci, nie zazdrościła im swobody, z jaką wybiegały na ulicę, aby tam obrzucac kamieniami przechodniów. Od czasu do czasu podnosiła swe wielkie ciemne oczy i patrzyła na kawałek błękitnego nieba, oprawionego w zezerniałe dachy domów. Przypominało jej to wieś, przybudówki, słońce...

Podwórko było wiecznie ciemne i smutne; na drugim piętrze kłócono się bezustannie, a krzyk

i hałas wpadał nagle w tę ciemność i smutek jak zgrzyt noża lub skrzyp karawanu.

Czasem zjawiał się kataryniarz, ale grał smutne melodje; skarga umierającej Violetty lub Donny Sol płynęła wzdłuż szarych murów, zlewając się z wilgocią, pokrywającą ściany, i zaglądając do wpółotwartych okien. Często ktoś umierał, zwłaszcza w poprzecznej oficynie, postawionej niedawno bez asfaltowego podkładu.

Gdy w mieście panowała ospa lub dyfterja, wnoszono stamtąd małe trumienki jedne za drugą. Helenka zrozumiała wtedy, co jest śmieć, ta śmierć, której matka życzy jej codziennie, i z zazdrością spoglądała na te czarne, małe trumienki, które napół pijani ludzie nieśli pod pachą lub na ramionach.

Pragnęła szczyrze, by i ją zamknięto w takim pudełku. Spałaby tam spokojnie na poduszeczce z białego perkalu i na prześcieradłku, pokrywającym trochę wiórów stolarskich. Byłoby jej tam dobrze, błogo nad wyraz. Uniknęłaby szturchańców matki i prześladowań praczek.

Szczęśliwi umarli! — oni tak śpią spokojnie, nie wiedząc nawet o tej zazdrości, którą budzą wśród żywych. Ileż to westchnień zazdrości płynie z naszych piersi na widok wolno posuwającego się karawanu! — Tam cisza i spokój wieczny...

Gdy Helenka trochę podrosła, zaczęto ją uży-

wać do rozmaitych posług. Spełniała je z początku z chęcią wielką. Dozwalano jej wychodzić po chleb i krochmal do pobliskiego sklepiku. Była tak mała, że wspinała się na palce, aby położyć trzymane w ręku pieniądze i wziąć paczkę, podawaną jej przez otyłą sklepiczarkę. Wnętrze sklepiku nappełniało dziecko dziwnem uszanowaniem.

Te wiązki drzewa, te rzędy mioteł, te stoiki, pełne rozmaitych, dziwacznych przedmiotów, ten krochmal, zsypany do skrzyni z rozrzutnością najwyższą, wszystko to, spowite w półcieniu, miało urok dostatku i bogactwa.

Głównym przedmiotem jej zachwyty był jednak rycerz cukrowy, rozplaszczający swój zielony mundur o brudne ściany szklanego słoika. Rycerz ten siedział na koniu i śmiał się połową twarzy o zakręconym, czarnym jak smoła wąsie. Koń miał również zieloną grzywę i ogon, a wspinała trawa, po której deptały cieniuchne nóżki rumaka, zieleniła się piękną seledynową barwą, przystrojona czerwonymi centkami. Helenka nigdy nie widziała nic podobnie pięknego. Nawet żywi oficerowie nie wydawali się nigdy tak pięknymi, jak ten rycerz w zielonym spencerku.

Stała więc przed rycerzem pełna zachwyty. Był to inny rodzaj niemej ekstazy, niż ten, który ją ogarniał wobec promieni słonecznych.

Pod gorącym blaskiem słońca dusza dziewczynki budziła się nagle z pragnieniem dla niej niezrozumiałem. Mimowoli wspinała się na paluszki, pragnąc ulecieć w powietrze; było jej źle na ziemi, a ludzie zdawali się brudni i nad wyraz wstrętnei. Te złote promienie miały dla niej siłę atrakcyjną, podnosząc ją ponad tłum i przemawiającą do niej niezrównaną harmonją.

Wobec rycerza w zielonym spencerku Helenka doznawała zupełnie innego uczucia. Usta jej mimowoli składały się do uśmiechu, ręce cisnęła do piersi i stała tak długo, wpatrzona w zieloną końską grzywę, z uwielbieniem dla człowieka, który stworzył to arcydzieło z mąki i farby.

Zachwyty, spowodowany widokiem zielonej kurtki, był więcej zmysłowy, jeśli porównania tego godzi się użyć w tym razie.

Och! jakże byłaby uszczęśliwiona, gdyby ten rycerz należał do niej do niej wyłącznie! I rozdziła się w jej serduszkach miłość dla tego farbowanego cukierka, pragnęła go, marzyła o nim wśród nocy bezsennych.

Złote słońce nie budziło w niej tych pragnień gorących, — ono błyszczało cudowniej, lejąc złote promienie na jej drobną główkę, i nappełniało ją uczuciem słodkiego rozrzwienia. Lzy mimowoli cisnęły się do jej ocząt, a piers przepelniał nadmiar oddechu. Na widok rycerza Helenka dozna-



wała zawrotu głowy, a w piersi uczuwała szczególne ściśnienie. Nie umiała sobie zdać sprawy z tego, co się w niej działo, czuła przecież, że coś niezwykłego.

Powoli w życiu Helenki nastaly zmiany.

Miała już lat siedem i używano ją do cięższych posług: poruczono jej noszenie wody w niewielkim zielonym dzbanku i węgli w starym posutym koszu.

Dnie mijały szybko, ale dziewczynie nie przybywało wzrostu. Rosła powoli, a głowę bezustannie chyliła ku ziemi. Plecy miała zaokrąglone, jakby wiecznie w pogotowiu do odbierania kula-ków. Włosy obcięte krótko, niemal ostrzyżone, nadawały jej postać chłopca, przebranego w podartą spódniczkę. Było to uosobienie nędzy i smutku.

Dzień cały nosiła wodę, a wieczorem zasypiała zmęczona na brudnym podartym sienniku. Powoli dzbanek, którym wodę nosiła, zamienił się na konewkę, niemal tak dużą jak ona sama. Ciężko jej było nad wszelki wyraz, ale nie skarżyła się nigdy, bo i komuż miała się poskarżyć?

Nagle w życiu Helenki zaszła wielka zmiana. W ciasnej izdebce stróża rozległ się żaloszny płacz dziecka. Wśród chmurnej listopadowej nocy zesłał Bóg jedną więcej na świat niedolę.

Helenka szeroko rozwartemi oczyma patrzyła

na nowonarodzoną siostrzyczkę. Skąd przyszła ta drobna istota, płacząca tak żałosnie wśród ci-szy nocnej? Helenka nie umiała rozwikłać tej zagadki, patrzyła tylko na małą dziecinę i czuła, że oczy jej łzami zachodzą, a w sercu rodzi się nagle miłość wielka, o! stokroć razy większa, niż ta, którą czuła pod gorącym słońca promieniem lub na widok cukrowego rycerza.

W tem drobnem znędzniatym dziecku zbudziła się kobieta z całą miłością i pełnią uczucia. Nie-szczęście i opuszczenie przygotowały to przebudzenie, zbyt wczesne, nieprawidłowe zapewne. Przed doznaniem miłości kochanki serce dziewczę-cia drgało uczuciem macierzyńskim. W ciemnym kąci-ku kuchni, gdzie Helenka zwykle sypiała, dało się słyszeć jakieś przyciszone łkanie, wtórujące płaczowi dziecka. Powoli Helenka podniosła się ze swego posłania i szła prosto do trzciniowej ko-łyski, w której złożono nowonarodzone.

Była sama z dzieckiem, spowiniętem już i wy-kapanem. Wszyscy krzatali się w drugim pokoju i częstowali suto, pijąc zdrowie z nieba zesłanego gościa.

Helenka cichutko zbliżyła się do kołyski i spoj-rzała do wnętrza. Na grubem białem prześciera-delku leżało maluchne stworzonko, różowe, śmie-szne, krzywiące bezzębną buzią na wszystkie strony. Słabe światło naftowej lampki migotało na

przeciwległej ścianie, a rzędem pozawieszane obrazki świętych zdawały się drzeć w półcieniu. Helenka stała chwilę zafrasowana, dziecko płakało ciągle od zimna. Helenka zdjęła ze siebie podartą spódniczykę i otuliła siostrzyczkę. Otulając, dotknęła drobnej, maluchnej twarzyczki — i znów ogarnęło ją rozrzewnienie wielkie.

— Jaka ona mała! jaka ona biedna! — myślała, patrząc na dziecinę, — ona biedniejsza ode mnie.

I pochylila się nad kołyską, składając na czole siostry serdeczny, długi pocałunek.

Ach! całe lata nieokreślonej tęsknoty, całe skarby miłości, jakie dziecko na świat ze sobą przynosi, całą miłość zlała w tym jednym pocałunku!

Był on tak smutny jak skarga sieroty, tak gorący jak łza opuszczonej kobiety.

Dziecko pod wpływem tej pieczyoty uspokoiło się bezwiednie i zasnęło cichutko. Helenka ujęła jedną ręką brzeg kołyski i poruszała ją lekko. Dziecię spało ciągle spokojne, bez troski, nieświadome o swem własnym istnieniu.

Deszcz bił w szyby z zaciętością wielką, a głuchy szmer wody, spadającej z rynny, mieszał się do gwaru, wychodzącego z drugiej izdebki. Helenka stała wciąż przy kołysce dziecka, tamując oddech i patrząc ciągle w uspijoną siostrzyczkę.

Drobna jej postać urosła prawie pod wpływem tej radości, jakiej doznała, uspokajając dziecinę. W jednej koszulce zgrzebnej, polatanej, chuda, zbiedzona, nie jaśniała wprawdzie pięknnością anioła, ale miała w sobie tyle uroku i wdzięku niewieściego, że szlachetniała i piękniała wśród ciemnej izdebki. Na bladym czole dziewczątka osiadła powoli troska macierzyńska i zarysowała się wśród płowych brwi cieniuchną zmarszczką. Przyszła ta zmarszczka przedwcześnie i rozpoczęła królowanie swoje; ale Helenka nie odganiała jej, ani gniewała się na przedwczesnego gościa. Owszem, było jej niewypowiedzianie dobrze i błogo z tą troską w myśli i dzieciną w kołysce. Uśmiechała się i pochylała główkę.

W piersi czuła jakieś ciepło spokojne, pocziwe, które przepełniło powoli ją całą. Stała zasłuchana, zapatrzona w oddech dziecięcia, a w słabym świetle lampy św. Katarzyna uśmiechała się do niej z przeciwległej ściany.

Święta miała długą białą suknię i jasne blond loki. Był to ulubiony obrazek Helenki; nieraz godzinami całymi wpatrywała się w tę piękną kobietę, wybiegającą z czarnych politurowanych ramek. Było to najczęściej podczas długich dni niedzielnych, gdy Helenkę zostawiono samą w izdebkach stróża. Św. Katarzyna stała się miłowoli powiernicą biednego dziecka, dzieliła jego

nudę, smutek i trwogę przed nadejściem rodziców. Teraz patrzy przyjaźnie na uśmiechniętą dziewczynkę i przy dogorywających blaskach lampki gore złocistą aureolą.

Gdy Maciej wszedł do izby, był dzień prawie; w rękę trzymał próżną flaszkę i zataczał się, nie mogąc trafić do tapczana. Błędny wzrok jego zatrzymał się chwilę na stojącej koło kołyski dziewczynce.

— Kołysz, bestjo jedna! — zamruczał gniewnie, padając jak kłoda na posłanie.

Helenka nawet się nie obejrzała. Ona nie potrzebowała ani groźby, ani nakazu. Przyszła przecież dobrowolnie i objęła swój obowiązek z ochotą wielką, idąc za jakimś tajemniczym głosem, który w jej serduszkę grał piosnkę nieznaną.

Szary jesienny poranek, pełny deszczu i zimna, pukał do szyby, wsuwając zwolna swe szare, niepewne światło do wnętrza izdebki. Helenka stała ciągle przy kołysce, wpatrzona w śpiącą dziecinę, a zsiniałemi od zimna ustami szeptała cichutko:

— Moja siostrzyczka.

\* \* \*

I od tej chwili zaczęły się dla Helenki dni jaśniejsze, pełne złotych blasków jak majowy poranek. Miłość dla siostry wypełniła jej życie

i rozbudziła, wprawdzie zbyt wcześnie, całą duszę tej drobnej istotki. Każdą powierzoną sobie robotę wypełniała z wielkim pośpiechem, pragnąc czemprędzej stanąć u kołyski i czuwać nad siostrzyczką. Nie wychodziła więcej na smutny i ponury dziedziniec, nie spoglądała z zazdrością na czarne wieka trumienek; cały jej świat zamknął się w obrębie małej izdebki, w której rozlegał się od czasu do czasu przenikliwy płacz dziecka. Pośród klątw praczek i szumu zlewanych mydlin dźwięczała smutna Helenki piosenka, którą ona siostrzyczkę do snu kołysała:

O gwiazdeczko, coś błyszczała,  
Gdym ja ujrzał świat...

nuciła bosa dziewczynka drżącym i niepewnym głosem. Piosenkę tę zasłyszała na dziedzińcu, gdy ślepa kobieta przyszła śpiewać celem uzyskania jałmużny.

Helenka nauczyła się dwóch zwrotek i śpiewała je teraz, schylona nad śpiącą siostrzyczką:

O gwiazdeczko moja mała  
Wiodłaś ty mnie źle!

Jakaś serdeczna tkliwość drżała w tej prostej skardze dziewczęcia.

Śpiące dziecko nie rozumiało słów, które brzęczały koło kołyski jak roje skrzydlatych owadów i wzbijały się pod wilgocią zasnuty sufit iz-

debki. W kłębach gorącej pary nikła piosenka dziewczyny i osiadała w formie łez na zbrudzonych szybach lub spoconych czołach praczek.

Helenką nuciła piosenkę o gwiazdce ze smutną, monotonością zakonnicy, śpiewającej w politurowanej stalli psalmy niesporne. Dziecko przecież przywykło do tego cieniowego, przytłumionego głosu, nierównego jak sznurek wysortowanych pereł.

Helenka objęła powoli zupełną opiekę nad drobną swą siostrzyczką; ona układała ją do snu, przemieniała bieliznę, kładła kaftanik i dawała pożywienie, składające się z bułki z mlekiem z niewielkim dodatkiem cukru. Gdy Maciejowa kładła dziecko do kąpieli, Helenka z oczyma łez pełnymi słuchała przeraźliwego krzyku małej i groźnych łajdań matki.

Maciejowa przecież nie była surową dla swej drugiej córki. Owszem, kochała ją o wiele więcej niż Helenkę i bezwiednie zrobiła tę ostatnią służką i piastunką jej siostry. Helenka nie skarżyła się na ten nowy ciężar, przeciwnie, czuła się najszczęśliwszą, gdy ją zostawiono samą przy kołysce siostrzyczki. Siadała wtedy dumna, z poważną miną i wstawiała co chwila, aby otulać kołderką drobne ciało dziewczynki. Uśmiechała się do św. Katarzyny, spoglądającej na nią z zakurzonych ramek, i prosiła świętą, aby jej siostrzyczka miała

kiedys taką samą białą sukienkę i zielone liście na głowie, a włosy złote i długie, och! długie aż do ziemi. Potem marzyła o pięknej karecie ze szklaną szybą, w której jej siostra przejeżdżałaby ulicę miasta, niby jaka dama, a ludzie stawaliby na chodnikach i patrzyli z podziwem na tyle świetności.

Ona sama nie brała nigdy udziału w tych wyrojonych przygodach; występowała na scenę tylko wtedy, gdy potrzeba było zmienić suknię atlasową na jedwabną, lub zasznurować trzewiki. Siostra jej była tak bogatą jak ta pani hrabina, mieszkająca na pierwszym piętrze, i potrzebowała ciągłej usługi. Otóż ona, Helenka, miała zająć się tą usługą i pilnować, aby jej pani nie brakło ptasiego mleka.

Godziny całe upływały na tem rojeniu, wysnuwanem z nieprzebranego bogactwa miłości, nagromadzonej w sercu dziewczęcia. Gdy rodzice szli na zwykłą hulankę niedzielną, Helenka uszczęśliwiona zamykała drzwi i śpieszyła do dziecka, leżącego zwykle w kołysce i przykrytego mnóstwem podartych chustek i szmat. Porządkowała jak mogła owo nakrycie i zajmowała się przyrządzaniem jadła w małym, na ten cel przeznaczonym garnuszku.

Gdy dziecko się niecierpliwiło, uspokajała je, przemawiając do niego pieszczotliwie i obiecując

nadzwyczajne przyjemności, których punktem kulminacyjnym miała być owa bułka, rozrobiona mlekiem i zaprawiona cukrem i małemi okruszynami węgla lub popiołu. Gdy dziecę najedzone usnęło, siadała Helenka na małym stołeczku przy kołysce i, poruszając kolebką, snuła owe marzenia, owijające się jak pajęczyna koło śpiącej dzieciny.

Mról na szybach malował fantastyczne kwiaty, strojne w imitacje lśniących brylantów; pobudzona miłością imaginacja dziewczęcia tworzyła jeszcze piękniejsze kwiaty, któremi zdobiła skronie śpiącego dziecka. Na ulicach roily się tłumy przechodniów, setki ludzi staczały bój krwawy, starając się swoje „ja“ postawić nad wszystkich; każdy z tych dążących gdzieś ludzi potraçał w egoizmie swoim słabszych i rozpierał się na zdruzgotanem szczęściu innych; każdy wreszcie marzył o szczęściu, które miało być „jego“ udziałem, a w lichej izdebce, wśród mroku zimowego dzionka, snuje się z głowy biednego dziewczęcia bajka, w której zaczarowaną królewną nie ona przecież sama, nie jej to ręka zgarniła błoto i perły, nie jej szyja lśni djamentową rosą!

Nie, — onaby rada wszystkie skarby świata złożyć u stóp tej kołyski, w której śpi jej ukochanie serdeczne, koronę z promieni słonecznych zawiesić nad tą drobną główką, w snop światła

księżycowego jak w sukienkę dziecko owinać, a kobierzec z gwiazd utkany rzucić pod nogi.

I Helenka mimowoli staje się poetką, z główki swej cichutko, bez trudu, snuje poemat, pelen czarownych blasków, a rozjaśniony miłością jak ciemna noc gwiazdą poranną. Pochyla się nad kołyską; — o szczęście! dziecę uśmiecha się przez sen, uśmiecha się tym jasnym, przejrzystym uśmiechem, który zakwita tylko na ustach niewinnych. Helenka jest w tej chwili bardzo szczęśliwa; — wydaje jej się, że śpiące dziecko słyszy jej marzenia, że i ono pragnie mieć strojne suknie, karety i roje sług na rozkazy, — klęka więc przy kołysce, a głowę na krawędź pochyla. Lzy gorące spływają po jej zbiedzonej twarzyćce. Gdyby wszakże zapytano: „Czego płacze?“ nie umiałaby odpowiedzieć.

Wie tylko, że dawniej płakała z bólu i szarpiającej ją tęsknoty za czemś nieznanem, — dziś te lzy jej nie bołą i nie tęskni już za niczem. Wśród chmurnej nocy listopadowej zesłał jej Bóg tę drobną dziecinę i zamknął w tem dziecku cały jej świat marzeń, miłości i pragnień. Od tego dnia żyje ona tylko życiem swej siostry i oddycha jej piersią, cierpi jej cierpieniem, cieszy się jej uśmiechem. Ona dla siebie samej nie istnieje, nie pragnie dla siebie nic i nie troszczy się o przyszłość swoją. Całą nadzieję, miłość i szczęście złożyła

ta mała mateczka u stóp tej kołyski i drży o los swej przybranej córki, i pragnie ukraść szczęsną dolę, aby ustroić w nią przyszłość dziecka. Pracuje teraz z podwójną ochotą i nosi konewki wody z pilnością wielką.

Nawet blade zimowe słonko straciło swój urok w oczach Helenki; — dla niej słonkiem promiennem jasna główka siostry, do niej więc dąży po uśmiech, pieszczotę. Nadeszła wiosna, strojna w kwiaty jak dziewczyna, na bal śpiesząca.

Do wilgocią przesiąkniętych ścian mieszkania praczki wpadł nagle powiew ciepłego, ożywczego tchnienia i zatrzymał się na progu, zdziwiony duszną, niezdrową atmosferą pralni.

Czyste, pełne tajemniczego uroku tchnienie wiosenne zmieszano się powoli z wonią mydlin i gorących wyziewów, tak jak strojna i pachnąca dziedziczka miesza się w tańczącym kole z parobkami, przynoszącymi jej wianek w dniu dożynek.

Ponure podwórze ożyło pod wpływem wiosennego ciepła. Powoli otwierały się okna z trzaskiem odrywanego kitu i wypuszczały z wnętrza mieszkań cały ponury smutek zimowy.

Bose, nawpół odziane sługi stały w oknach, myjąc szyby i wycierając je kawałkami szarej bibuły. Z całą niedbałością życia przechylały się nad kilkopiętrową przepaścią, starając się oczyścić czerniałe ramy. Nawet wybuchy śmiechu wybie-

gały z piersi tych kobiet, które w jednej chwili nierozważnym posunięciem nogi mogły stanąć w królestwie śmierci. Pod ich stopami nierówne, śpiczaste kamienie wyciągały się rzędami jak olbrzymie zęby przedpotopowych zwierząt. Rzecz można, że bruk ten prosił o świeże, młode ciało dziewczyny, pragnąc nasysić swe kamienie ciepłą krwią, pełną ożywienia wiosennego.

Szare mury kamienicy stały przecież niewzruszone, ciemne, smutne nawet wobec tej wiosny, której rozkoszny płaszcz sphywał na ziemię. Z otwartych okien lały się powoli strugi brudnej wody, wsiąkając w szczeliny ścian i zostawiając chwilowo lśniące pasy na ciemnym tle.

Z pierwszego piętra wyrzucono nagle sporą ilość żółtłego mchu, schorowanego w zimowej wilgoci i pomieszanego ze zwiędłymi jagodami ponsowej jarzębiny. Mech ten rozpostarł się na bruku, śmiejąc się smutną, wyniszczoną zielonością, — niezdolny do dalszego użytku, wyrzucony przed spodziewaną świeżością roślinną.

Koło tego mchu stała gromadka dzieci, brudnych, wynędzniałych, z wyrazem rozpusty na pobladłych twarzach. Były one dziwnie podobne do zwiędłych jagód jarzębiny, do których wyciągały ręce. Wśród zacieśnionego podwórka, otoczonego dokoła wilgotnymi murami, wyglądały jak suchotnicze roślinki, wyrosłe na dnie wielkiej studni.

Nad niemi rozpościerał się szmat nieba, czysty, pełen obietnic wiosennych. Chwilami w tę głęboką studzienną przepaść wpadał gwar uliczny, cała poezja i proza życia, pełna turkotu dorożek; dźwięków katarynki i tego nieokreślonego szumu, wynikającego z ruchu setek przechodniów. Z otwartego okna pralni wybiegały od czasu do czasu kłęby białej pary, gorącej i przesiąkłej wyziewami bielizny. Para ta nikła w ciemnej i wąskiej przestrzeni wraz z wybuchami śmiechu myjących okna służących lub z turkotem przejeżdżającej dorożki. Otwarta brama świeciła jak oko cyklopa na ciemnym tle sieni i słała gruby promień światła na chropawę deski, zalane potokami wody.

W bramie stała drobna postać dziewczęcia i oparła się chwilę o ścianę. W rękę trzymała wielką konewkę i szła napełnić ją wodą. Ciemne włosy, krótko przystrzyżone, spadały jej na czoło, kryjąc brwi i wielkie, ciemne oczy. Całe ciało drobne, płaskie, nierozwinięte raziło wobec tego rozkosznego rozkwitu wiosny i powietrza pełnego obietnic. Stała w bramie jak czarna plama na tle jasnych promieni, które przez otwarte drzwi słały się pod jej drobne stopy.

W tym złotym blasku wydawała się jeszcze nędzniejsza, pełna smutku i sierociej tęsknoty. Nagle do bramy weszła piękna i wysoka kobieta, strojna w jedwabie i koronki. Szła wesółą,

uśmiechnięta, niosąc w fałdach swej sukni szum uliczny i ciepło młodości. Musiała być zakochana, bo całe jej ciało drgało nerwowo, a z oczu były prądy, dla wzroku nieuchwytnie, a tylko rozbudzonej duszy zrozumiałe. Przejście z dziennego światła do ciemnej i ponurej bramy uderzyło ją niemiło. Wstrząsnęła główką i zmrużyła oczy; pozwoli jednak przysła do siebie i zaczęła rozglądać się dokoła, jakby szukając kogoś lub czegoś. Nagle wzrok jej padł na stojącą przed nią Helenkę, która, zdziwiona widokiem tej pięknej kobiety, stała nieruchoma, z ręką opartą o krawędź konewki. Było to dla niej zjawisko niezwykle, zwłaszcza w bramie tej kamienicy. Na ulicy chodziło wiele pięknie ubranych kobiet, ale takiego przepychu, a zwłaszcza z tak bliska, Helenka nie widziała nigdy. Mimowolną czią przejęta, usunęła się w najciemniejszy kąt sieni, wlokąc za sobą konewkę i patrząc z pod oka na zgrabne nóżki owej damy, obute w śliczne buciki ze złotawej skórki. Jednak nieznaną postąpiła kilka kroków i, pochylając swą wdzięczną postać, zapytała miłym, słodkim głosem:

— Czy nie wiesz, moje dziecko, gdzie mieszka adwokat S...? Mówiono mi, że w tym domu.

Helenka wiedziała dobrze, gdzie mieszka adwokat. Wszak matka jej prała dla niego bieliznę, a ona często pomagała jej nosić kosze, pełne

gładko wyprasowanych koszul, sztywnych jak mumie, a lśniących jak powierzchnia zwierciadła. Pan adwokat nie mieszkał przecież w tej kamienicy, — o! nie.

Był to piękny mężczyzna o rudawych gęstych wąsach i chodzący w zimie w długim szarem palcie. Mieszkał naprzeciwko, w ślicznym trzypiętrowym domu z wielkimi oknami i jasnym, czystym podwórkiem. Wchodziło się do mieszkania pana adwokata po woskowanym schodach z kolorowemi szybami, zupełnie tak jak w kościele.

Helenka wiedziała o tem bardzo dobrze i chciała to wszystko opowiedzieć stojącej przed nią pani, ale.. nie mogła.

Zabrakło jej głosu, a w gardle doznała dziwnego ścisnienia, które jej nie dozwoliło przemówić słowa. Przytem te złociste buciki, lśniące zielonawym blaskiem wśród promieni słonecznych, onieśmiały ją najwięcej. Zdawało się jej, że to dwie muszki, które wpadły wśród wiosennego ranka i teraz migocą w jasnym blasku, urągając jej bosym, zczerniałym stopom, kryjącym się w cieniu.

Milczała więc, tuląc do zapadłej piersi brudne ręce, i, przyciśnięta do ściany, pragnęła zrobić się coraz mniejsza w celu zniknięcia z przed oczu pięknej pani.

Ale ta ostatnia pragnęła widocznie dowiedzieć

się koniecznie o mieszkaniu adwokata, bo tak samo łagodnym i słodkim głosem powtórzyła swe zapytanie, a wyjąwszy z eleganckiej portmonetki nowy srebrny pieniążek, wyciągnęła rękę, strojną w piękną, cienką rękawiczkę.

— Weź to, mała — dodała, wsuwając w zacisniętą rękę Helenki dwadzieścia centów, — i powiedz, czy tu mieszka pan adwokat?

Gdy zimna moneta dotknęła dłoni dziewczynki, nastąpiła w Helence reakcja, i mimowoli ciśnienie, jakie czuła w gardle, ustąpiło. Przytem buciki złociste zniknęły, piękna pani stała teraz w cieniu i czekała cierpliwie na odpowiedź Helenka podniosła głowę i z poza gęstej grzywy spojrziała na uśmiechniętą twarzyczkę nieznaną jej. Poczowała się teraz do obowiązku wdzięczności względem tej pani, tak pięknej i tak dobrej. Nie za dwadzieścia centów była jej wdzięczną, ale za ten głos łagodny, jakim do niej przemówiła, za tę cierpliwość, z jaką czekała na jej odpowiedź.

Poczucie tej wdzięczności spowodowało, że chwyciwszy energicznie konewkę, wybiegła za bramę, a odwróciwszy się, ukazała ręką okna przeciwnego domu. Przemówić nie mogła, nie śmiała, zresztą piękna pani i tak zrozumiała jej mimikę i, uśmiechnąwszy się raz jeszcze, zniknęła w bramie przeciwnego kamienicy.

Helenka została sama z monetą w ręku i za-



myślała się głęboko. Tyle pieniędzy dla niej! Cóż ona z tem zrobi? Najpierwszą jej myślą była siostrzyczka.

— Kupię jej sukienkę lub trzewiki — myślała, siadając nad rynsztokiem. — Przedewszystkiem jednak trzeba ukryć te pieniądze przed matką, ukryć tak, aby je znaleźć było rzeczą niepodobną.

Pieniądze te były wyłączną jej własnością, mogła z nimi zrobić, co uzna za stosowne. Naturalnie sprawi jakąś przyjemność siostrzyczce.

I przed umysłem dziecka przesunęły się tysiące drobnostek, ujranych na uliczkach, na wystawach sklepików za brudnymi szybami. Sznurki szafirowych paciorek o bladym połysku jak oko anemicznej pensjonarki; fartuszki z szarego kretonu, sztywne jak głowy cukru, owinięte w tekturę; pończoszki w paski, wiszące na wąskiej deszczulce jak nogi pajaców cyrkowych, — słowem cały dobór drobnego, cząstkowego handlu, gnieźdzącego się w zacienionych przyległych uliczkach.

I na siedzące nad rynsztokiem dziecko spadła troska ogromna, troska, prowadząca do uśmiechu radości, jaki pragnęła wywołać na drobną twarzączkę swej siostry. Wszystkie ujrzane w życiu przedmioty cisnęły się do jej głowy w chaotycznym nieładzie i przygniatały ją całą. Pragnęła wybrać rzecz najpiękniejszą, najbardziej godną miłości, jaką miała dla swej siostrzyczki.

Dobry anioł w postaci pięknej i strojnej damy dał jej możność ujawnienia uczucia, jakie w swem sercu nosi.

W promieniach wiosennego słońca razem z blaskiem i wonią zasłyszala ona pierwsze dobre słowo, ujrzała przyjazny uśmiech i doznała tem samem wielkiej, głębokiej radości. Dzień ten wiosenny przyniósł jej szczęście i ukojenie wielkie. Biedne jej serduszko drży jeszcze od nadmiaru uczucia, a zabrudzona ręka przyciska do piersi drobną, świecącą monetę. Ponad nią słońce leje strugi złotego światła, które, biegnąc wzdłuż dachów, czepiają się ram otwartych okien, balustrad balkonów i spadają szumiącym potokiem na trotuary i bruk uliczny. Po lewej stronie rozciąga się plac, skąpany cały w słonecznych blaskach, żółty, lśniący jak tarcza rycerza. Dokoła stoją rzędy kamienie, białe lub szare, mieniające się od różnokolorowych blasków, bijących z szyb i wytryskających nakształt świec olbrzymich. Była to iluminacja, urządzona w dzień biały, w południe, z bezczelnością przyrody, świadomej o swej potędze. Słońce oświecało, ale nie paliło, i dlatego rozpościerało się swobodnie, wsuwając swe promienie nawet za kołnierze paltotów i pod dolmany przechodzących kobiet. Była to rozrzutność bogacza, wiedzącego, że na jutro starczy mu tych

samych skarbów, a nawet stokroć piękniejsze, świeższe, gorętsze przybędą dlań blaski.

Siedząca nad rynsztokiem dziewczynka myśli ciągle, myśli nad wyborem przedmiotu, jaki mogłaby za swoje pieniądze nabyć. Według niej — najpiękniejsze to złote słonko wiosenne. Ale słonka nie kupi! — ono świeci dla wszystkich, ale się nie sprzedaje. Pierwszy to raz wobec gniożącej ją troski Helenka zapomina o swych obowiązkach. Pusta konewka zda się ze zdziwieniem spoglądać na zadumaną dziewczynkę. Dokoła niej gwar i hałas uliczny.

Z głuchym turkotem kół tramwajowych łączy się odgłos równy jak wyuczona rulada kontraltowej śpiewaczki. To kareta przejeżdża szybko, uwożąc we wnętrzu śpieszącą z plotkami dewotkę.

Helenka podnosi głowę.

Gdyby za te dwie szóstki można kupić karete, siostrzyczka jej pojechałaby na spacer! Ale ona wie, że to niepodobieństwo; trzeba wymyślić co innego. I z głową oblaną złocistymi blaskami wiosennego słońca siedzi dalej zadumana, niepomma na szturchańce, jakie ją w domu czekają. Mniejsza z tem! niech ją biją; ona dostateczne wynagrodzenie znajdzie wtedy, gdy za otrzymane przed chwilą pieniądze uszczęśliwi ukochaną siostrzyczkę.

I biedne dziewczę wstrząsa dreszczem radosnym, w oczach jej płoną błyski kochanki, gdy z miło-

sną pieczęcią tuli swoje usta do ust ukochanego; ona wie, że siostrzyczka jej uśmiechnie się w cieniu swej kołyski, a może wyciągnie ręce i podziękuje... Dla tego uśmiechu, co jej zakwitnie jak róża wśród cierni, zniesie ona tysiące uderzeń i kar najcięższych. I z nerwowym niepokojem zaciska w swych drobnych dłoniach srebrną monetę, oglądając się z trwogą dokoła. Może kto widział te pieniądze w jej ręku, a teraz pragnie wydrzeć jej skarb i pozbawić ją tem samym najwyższej radości, jaką mieć będzie w życiu...

Ale nie, — obawa jej płonna. Nikt nie pragnie jej pieniędzy, może być zupełnie spokojną. Tysiące ludzi uwija się dokoła na podobieństwo mrówek, i, choć każdy ma w sercu pewną dozę chciwości i zazdrosnego uczucia, to przecież los zabrudzonego dziewczęcia, skulonego nad rynsztokiem, nie wzbudza w nikim zazdrości. Jest tak mała, tak nędzna, tak chuda wśród tego wiosennego ciepła i rozkwitu, że nikt nie posądzi, aby jej czerwone rączęta kryły w swych dłoniach nadzwyczajne skarby, za które tyle szczęścia i radości ma spływać na ziemię.

Minęła wiosna i nadeszło skwarne, duszne lato. Atmosfera pralni wzrosła do niemożliwych wymiarów; bezustannie gorąco, zaduch i kłęby pary walczyły ze zdrowymi płucami praczek i przygniaty stojącą w kąciu kołyskę. Wiosenne słońce

ustąpiło purpurze letniego ptaka. Ptak ten rozpierał swe skrzydła na wysuszone dachy domów i rzucał snopy ognia na flizy chodników. Na ziemię zdawał się spadać deszcz rozpalonego popiołu i wnikać żarem w płuca ludzi. Drzewa pochyliły smutnie swe liściaste korony, a liście pozwijane, żółte mieniły się barwą ognia. Trawa w miejskich ogrodach ginęła, kładąc się na popękana ziemię jak nieprzeliczone szeregi wojsk, dziesiątkowane przez żółtą febrę. Ludzie chodzili wolno, z wyrazem dziwnego znużenia w całej postaci, nawet krzykliwa zwykle dzielnica żydowska zamilkła, przytłoczona gorącem. Dorożki stały na rogach ulic z podniesionymi budami, a w ich wnętrzach spali woźnice, rozpościerając na poplamionych poduszkach swe nabrzękle od upału twarze. Kobiet na ulicy nie widziano prawie, oprócz kucharek i szwaczek. Wiadomo, że puder, choćby w najlepszym gatunku, spłynie wraz z kroplami potu, a któraż kobieta, szanująca swą godność, ukáže się oczom ludzkim bez pudru na twarzy? Dlatego to wzdłuż rozpalonych murów przesuwały się zwolna postacie urzędników, żydów, lub dzieci, śpieszących do ogrodu Jezuickiego. Zresztą, całe miasto drzemało, pogrążone w półśnie, który ołowiem cięży na powiekach i o najwyższe osłabienie przyprawia.

Niektórzy próbowali wyjeżdżać za miasto, ale wszędzie żar był jednakowy. Słońce było nieu-

blagane. Wstawało codziem gorętsze, groźniejsze, czerwone jak żelazo, sypiące iskry z pod młota. Bogaci wyjechali z kraju, unosząc z sobą resztki fortuny i pełno kaprysów. Pozostali ludzie pracy, woły w jarzmie, konie dorożkarskie, ludzie bez kondycji i nędzarze. Do jakiej kategorii zaliczyć trzeba kobiety, piorące bieliznę w ciasnych izdebkach Maciejowej? — zdaje się, że do ostatniej. Helenka pracowała ciężko, całe dni nosiła wodę, przechylona na prawą stronę, wskutek czego cała jej postać zaczęła się krzywić, a kość pacierzowa wyginać. Wskutek tumanów kurzu, jakie unosiły się nad miastem, praczki miały podwójną pracę, a Helenka musiała dostarczać niezliczonej ilości wody. Nawet zaniedbać musiała siostrzyczkę swoją, mogąc tylko od czasu do czasu przesłać jej uśmiech lub dobre słówko. Dziecko podrosło znacznie i mogło siedzieć o własnej sile. Otoczone brudnymi galganami, wysuwało swą jasną główkę z kołyski i ciekawym wzrokiem śledziło ruchy kobiet, zatrudnionych koło balji. Gdy Helenka przesuwała się koło kołyski, mała uśmiechała się do swej opiekunki i wysuwała rączki. Helenka odpowiadała jej lekkim skinieniem głowy i powracała czempredzej do swej konewki. Do tej chwili jeszcze nie mogła się zdecydować co do rodzaju przyjemności, jaką miała za owe dwadzie-

ścia centów sprawić swej siostrze. Pieniądze schowała w szparę, mieszczącą się pod schodami, i codziennie zaglądała, czy skarb ten nie został odkryty, a tem samem zrabowany przez kogo z przechodniów. Najwięcej trwogi wzbudzały w niej dzieci ślusarza, mieszkającego w przeciwnej oficynie.

Byli to chłopcy, wydający ze siebie dzikie wrzaski, które z przejmującym zgrzytem odbijały się o zacieśnione mury podwórka. Gdy Helenka usłyszała te nieludzkie krzyki, drżała cała z trwogi o dwie szóstki, drzemiące pod schodami.

Szczęściem dla niej, gromada tych miłych dzieci zajęta była obecnie przeciąganiem przez ciemną sień cienkich sznurków, zapewne dla ułatwienia przechodzącym zapoznania się z chropowatemi deskami podłogi. Maciejowa, zajęta praniem, nie wychodziła nawet w dnie świąteczne; wśród ciągłego ruchu i zajęcia nie mogła Helenka znaleźć chwili swobodnej, aby zastanowić się nad użyciem swych pieniędzy. Czekala jednak cierpliwie stosownej pory i codziennie zaglądała w szparę z bijącym sercem i płonącemi oczami.

Nakoniec pewnej niedzieli ukończono wszelkie roboty w pralni i upragniony odpoczynek zawitał, odganiając kłęby pary i wypędzając plusk zlewanych mydlin. Stosy wyprasowanych koszul białych na długich stołach, koszul sztywnych, lśniących,

z gorsami śnieżnej białości. Były to torsy spłaszczone, bez głów, z okrągłym, bezkrwawym otworem zamiast szyi i rąk. Dokoła na gwoździach i ryglach okien unosiły się spódnice, odstając jedna na drugiej jak suknie tancerek. Haftowane falbany lub koronki, pełne kobiecości, śmiały się z tej białej fali wesołością młodej dziewczyny, na bal w pół ubranej. Miniaturowe wieże z chustek do nosa wznosiły się na rogach stołów, kufrach, krzeselkach. Chustki porządne, płócienne, z wielkim monogramem i numerem mówiły o trywialnej uczciwości swych właścicieli; chusteczki małe, cienkie, z kolorowym szlaczkiem, śmiały się lekkością skrzydlatych motyli, mieszając swe różnobarwne brzegi z koronkami batystowych, kobiecych chusteczek. Te ostatnie, blade, omdlewające, delikatne jak chorowita dziewczynka, szeptały o bilecikach miłosnych, które zapewne nieraz ukrywały w swem łonie. Wszystkie te chustki przynosiły ze sobą wspomnienie ukrytych uśmiechów lub łez, które gorzkim potokiem moczyły może ich mieszczkańskie monogramy, różnobarwne szlaczki lub pajęczki koronki. Obok nich stosy pończoch kobiecych, długich, jedwabnych, lub z *fil d'Ecosse*, wysuwały swe stopy, zgięte w połowie jak potworne kaleki. Kilkanaście kaptaników strojnych, pełnych powabu, rozkładało się z wdziękiem kokietki na drewnianych ławkach,

prezentując delikatne wstawki z zarozumiałością prowincjonalnej aktorki. Poważne prześcieradła, obrusy i serwety, płaskie, milczące, tuliły się do ścian, podobne do białych całunów, ożywionych ruskim haftem włochatych ręczników.

Cała tajemnicza białość ubrania naszego spadła jak rój białych motyli do izdebek stróża. Białość ta nęciła dziwnie, stokroć więcej od balowego stroju, od wykwintnych kostjumów spacerowych. Te białe, czyste, niepokalane koronki lub batysty przypominały różowe ciało kobiety, pełne woni i świeżej młodości. Było tam coś z *dortoir'ów* pensjonarskich i wykwintnej kokieterji młodej mężatki. Na ziemi stały płaskie kosze, otwierając swe puste wnętrza w oczekiwaniu tego roju białych przedmiotów, które składały praczki, zmęczone upałem i bezsennością, rozmawiając półgłosem. Ranek niedzielny przeznaczono na roznoszenie hielizny. Na rogu jednego ze stołów, pomiędzy stosami delikatnych koszul kobiecych, obszytych szarą gipiurą, podwleczoną ponsową wstążką, czerniała głowa Macieja, kaligrafującego rachunki dla WW. i JW państwa.

Robota szła szybko i co chwila znikał kosz jeden, unoszony ze skrzypieniem drzwi i szelestem wykrochmalonych spólnic. Praczki śpieszyły się, pragnąc odpocząć po tyłu bezsennych nocach. Wysokie te kobiety, tęgie, z czerwonymi od ługu

rękami, chwytaly w swe grube, nabrzękle palce delikatne kaftany, negliże lub cieniutkie chusteczki. Z dziwną wprawą sortowały, oddzielały pomieszane ze sobą przedmioty i z całą brutalnością istot, niepojmujących potrzeby a raczej konieczności koronek, falban, gipiur i krochmalonych przodów, wrzucały to wszystko do koszów. Było w tej pogardzie zbytku coś z zazdrości sługi do delikatnej i pięknej swej pani, koło której trzeba z wielką gorliwością i uwagą chodzić na palcach. Ponad tym stosem znikającej bielizny górowała tęga postać Maciejowej, bladej kobiety o szerokich, męskich plecach i szarych, bezbarwnych oczach. Rzecz można, że ta bezustanna para, która ją otaczała, wyciągnęła z jej źrenic błękit, stanowiący dawniej główną podstawę jej piękności. Gdy ostatni kosz wyniesiony został, koścista twarz praczki zajaśniała wyrazem wielkiej ulgi. Nic dziwnego! to niedzielne południe zwiastowało jej odpoczynek kilkogodzinny, pełen dawno upragnionych półkwaterek i dusznej atmosfery szynków przedmiejskich. Krzątająca się w kąciku Helenka z wielką trwogą wpatrywała się w twarz swej rodzicielki.

Helenka pragnęła gorąco, aby rodzice jej udali się na zwykłą, niedzielną przechadzkę. Zostałaby sama z siostrzyczką i spędziłaby z nią długą chwilę, pełną szczęścia i uśmiechów. Przy-

tem dwadzieścia centów znikło już ze szpary, a natomiast w brudną szmatę zawinięty drzemał w kątku... rycerz w zielonym spencerku. Helenka, wchodząc wczoraj do sklepika, zobaczyła dawno zapomnianego wojaka i na jego widok pierzchnęła z jej główki wszelka wątpliwość co do wyboru prezentu. Dziwiła się nawet, że tak długo nie wpadła na tę dobrą myśl, — nic nie mogło być przecież równie wspaniałego, jak ten koń zielonawy i siedzący na nim wojak, prezentujący z odważną miną cukrowy swój profil.

Nie знаła jednak ceny i obawiała się niezmiernie, aby nie przewyższała posiadanego przez nią kapitału. Gdy sklepiczarka wymówiła poważną cyfrę „dwóch szóstek“, serce Helenki uderzyło radośnie. Za kilka chwil wracała do domu, tuląc pod brudnym kaftanikiem cukrową lalkę, a w piersi doznawała dziwnego uczucia radości na myśl tego szczęścia, jakie sprawi swej siostrze, szczęścia, które przewyższało jej najśmielsze rojenia.

Gdy rodzice udali się do pobliskiego szynku, aby tam zaczerpnąć animuszu na cały dzionek, Helenka odetchnęła swobodnie. Jest teraz sama z dzieckiem i ma długą, dobrą chwilę przed sobą.

Siostrzyczka siedzi w kołysce w swej łatanej sukieneczce i oddaje się cichej kontemplacji wła-

nych paluszków u ręki, których nadzwyczajna ilość w zdumienie ją wprawia.

Resztki niedoprasowanej bielizny leżą na stołach sztywne, zebrane przed chwilą ze sznurów, podobne do olbrzymich skamieniałych kości, oczekujących pogrzebu. Przez otwarte okno wpada światło, poprzecinane ciemnymi plamami, światło niezdrowe, rozjaśniające wnętrza wilgotnych studni.

Helenka wie, że na dworze złote słońce leje strumienie jasności czystej, bez plam, bez wilgoci. Tęskni za tą złotą kąpielą, do której drży jej znędziałe ciało. Porywa więc siostrzyczkę na ręce i wynosi ją na ulicę przed próg bramy, gdzie sadowi ją na dużym, płaskim kamieniu. Dziecko, wyrwane z przyciemnionej izdebki i wrzucone gwałtownie w tę powódź jasności, chyli główkę i drobnymi rączkami zasłania łzami nabiegłe oczy. To bogactwo światła i ciepła sprawia mu ból dotkliwy.

Helenka, przeciwnie — z całą rozkoszą zakręga swe wychudłe plecy i poddaje je pod te gorące strugi, które siekają jej chude ciało jak uderzenie różgi. Powoli, z tajemniczym, uśmiechem wyciąga rękę i podaje swej siostrzyczce rycerza w zielonym spencerku, na widok którego dziecko zachwyczone uśmiecha się radośnie.

Helenka jest bardzo szczęśliwą. Sprawia chwilę szczęścia swej ukochanej siostrze i siedzi

teraz wraz z nią w promieniach słonecznych, uśmiechając się tym nieśmiałym uśmiechem, jaki rzadko gości na jej wybladłych wargach. Dokoła gwar, ginący wśród spieki, jaka zdaje się wydzielać z rozpalonych kamieni i popękanych flizów. Tramwaje wloką się wolno, pokryte kurzem, z dachami białymi od prochu, z pustymi ławkami.

W skwarne południe niedzielne miasto wygląda jak wielkie cmentarzysko, ożywające się dopiero z wieczornym chłodem. Kamienice, poblądłe od upału, z pospuszczanymi storami w oknach, zdają się drzemać, stojąc zmęczone, pełne potu i narzekań ludzi. Drzewka, otaczające niewielki wodotrysk, gną ku ziemi swe szaro-żółte liście, a w budce z wodą sodową wystrojona i spocona żydówka przekłada pierniki, zeschłe i sztywne pomimo starannego przykrycia. Środkiem ulicy wlecz się kilkunastu żołnierzy przy odgłosie bębna. Suchy, urywany łoskot ginie w oddali, łącząc się z gwizdawką tramwaju. Żołnierze mają buty zupełnie białe od pyłu i z trudnością maszerują, patrząc bezmyślnie przed siebie. Konie dorożkarskie drzemią, kurecząc nogę przednią i zwieszając lby, na których ostry, suchy włos jeży się jak na perukach aktorów. Ponad tem wszystkim, nad tem wygasłem miastem, spopielałem z upału, spalonym bez ognia rozpościera się wspaniałe słońce, mieniające się czerwoną barwą rubinów lub złotą

topazów iskrą. Wysoko jak olbrzymia lampa wylewa ze siebie żar i zionie ogniem na schyłone w prochu miasto. Nieubłagane, straszne w swym majestacie, świadome swej potęgi, wznosi się na purpurowych skrzydłach, siejąc przygniatające swe promienie, groźne dla śmiałka, który pod ten war podstawia głowę.

I domy, drzewa, wieże kościołów, ratusza, cerkwi wołają „łaski!“, poddając się pokornie tej złotej chłości, jaka spływa im strumieniami z błękitu niebios.

Tylko dwoje drobnych dzieci zda się urągać tej groźnej potędze, jaka w górze nad nimi płonie. Podnoszą teraz swe główki i z głośnym śmiechem patrzą krótką chwilę w olśniewającego olbrzyma. Oczy im łzami nabiegają, a przez zasłonięte powieki widzą później przez dłuższy czas wiele okrągłych plam krwawych z błękitną dokoła obwódka. Helenka, uszczęśliwiona, rozbawiona, podnosi sama główkę siostrzyczki i, wskazując płonące słońce, mówi:

— Patrz! to Bożiał

Malutka śmieje się i wyciąga rączkę, pragnąc schwytać tę ognistą kulę, lecz nerwowym ruchem wstrząsa za chwilę główką, jakby pragnęła zrzucić z niej straszny, gniotący ciężar. Naokoło ust zielone smugi wymownie świadczą o niezmiernej miłości, z jaką musiał być przyjęty podarek Helenki.

Rzeczywiście — z cukrowego rycerza pozostał za- ledwie szczątek. Cukier wraz z farbami przeszedł do żołądka dziecka, tylko szabla, but i jedna noga konia widnieje w zaciśniętej ręczce.

Helenkę brała także pokusa skosztować ryce- rza, ale bała się skrzywdzić siostrę.

— Niech zje wszystko! — myślała, śledząc z radością znikające kawałki cukru — niech się zabawi!

To skwarne południe niedzielne było praw- dziwą rajską chwilą w życiu Helenki. Dobre, ko- chające dziewczę, pełne poświęcenia dla siostry, dało jej wszystko, co ze skarbów nieba i ziemi dać mogło. Szczęśliwa, dumna z dokonanego dzieła, siedzi teraz na płaskim kamieniu, spogląda- jąc z rozkoszą w niebo. Koło niej tuli się drobna, małuczna dziecina, z buzią powalaną zieloną farbą i rozpaloną główką. Według Helenki, o większej rozkoszy nawet najbogatsi ludzie marzyć nie mogą.

Rycerz cukrowy, marzenie tylu nocy, zniknął w buzi dziecka; słońko złote świeci tak pięknie prosto nad ich głowami. I spoglądają obie znów w górę, śmiejąc się z groźnego a tak wspaniałego zjawiska. Potem zasłaniają oczy, a tysiące słońc krwawych tańczy przed nimi w dziwacznych kręgach.

Tymczasem prawdziwe słońce, naruszone w swej majestatycznej powadze, z mściwą zapal-

czywością zionie piekielnym żarem na głowy tych drobnych istotek, które w niewinności swojej śmiały patrzeć wprost w purpurową tarczę, a po- tem śmiać się z niedarowaną pustotą.

I coraz straszniejsza spiekota owija obie dziewczynki, spiekota, pełna mściwego oddechu rozjuszonego zwierza, podrażnionego w swej sile. I z purpurowej paszczy potwora leją się potoki rozpalonej lawy, gniotącej ciężarem swoim zmę- czone drzewa i rozgrzane dachy. Wszystko chyli głowy i wierzchołki pod działaniem piekielnego żaru, wszystko gnije się przed olbrzymią potęgą, błyszczącą tam w górze.

Tylko dwie małe dziewczynki śmieją się ra- dośnie, podnosząc swe drobne główki. One patrzają prosto w to czerwone oko, wiszące nad nimi. Nie widzą w niem groźby — bawią się wesoło, urągając słonecznej potędze.

Tymczasem słońce w najwyższej wściekłości wysłało swe najgorętsze promienie, które, jak roz- palone strzały, biegną szybko, z chyżością dra- pieżnego ptaka, niosąc za sobą ból, łzy, a nawet całun śmiertelny.

O północy zbudziła się Helenka z ciężkiego, gorączkowego snu, który męczył ją od godziny. Wyraźnie słyszała jęk cichy, stłumiony, przecho- dzący z trudnością przez spuchnięte gardło. Któż jęczał? — Maciejowa spała cicho, pogrążona



w wyziewach piwa i wódki, szczęśliwa z dnia, spędzonego za rogatkami miasta. Maciej wyszedł z izby i leżał na kamiennych flizach sieni, oddychając ciężko z nadmiernego gorąca. Jednak Helenka słyszała jęk, przecinający powietrze z delikatną ostrością cienkiego noża. Niespokojna, wstała z posłania i cichutko wysunęła się na środek izby. Ciemno było dookoła, bo maluchna lampeczka, płonąca przed obrazem Św. Trójcy, rzucała słaby blask na niewielką przestrzeń. Reszta tonęła w cieniu. Helenka stała tak dobrą chwilę, starając się rozróżnić otaczające ją przedmioty. Nagle jęk chromatyczną gamą zadrgał w powietrzu. Tak! nie omyliła się. — nie było to złudzenie, to rzeczywista skarga zbudziła ją ze snu i wstać kazała. Co więcej, wie już teraz dokładnie, kto skarży się tak żałośnie. Wśród ciemności kieruje się do stojącej koło stołu kołyski. To jej siostrzyczka jęczy; — cóż się z nią stało, na Bogal

Kołyska stoi koło stołu, wsunięta pomiędzy krawędź i ścianę.

Nad kołyską jest właśnie obraz Św. Trójcy i owa lampka, w której po reszcie oleju pływa dogasający knotek. Helenka staje u stóp posłania i nachyla się. W migocącym świetle lampki dostrzega swą siostrę, leżącą na wznak z rozpaloną silnie twarzą i w pół otwartymi ustami. Cichy,

miarowy jęk przeciska się z trudnością przez obrzmiałe gardło, a na dolnej wardze wysunięty, spalony język porusza się kurczowo, jakby szukając ochłody. Oczy dziecka, nerwowo zaciśnięte, tworzą tem samem całą siatkę zmarszczek na czerwonej jak ogień twarzy. Od czasu do czasu silny dreszcz wstrząsa tem drobnem ciałkiem i mięśnie kurczą się wtedy jak za pociągnięciem niewidzialnej sprężyny.

Helenka, przerażona, stoi chwilę nieruchoma, z sercem ściśniętem w piersi. Nagle głośny jęk wydiera się z gardła nieprzytomnej dzieciny.

Helenka rzuca się do przyległej izdebki, potrącając porozstawiane na drodze zydle i kosze.

Wbiega do równie ciemnej stancji, a instynktem wiedziona, trafia do łóżka, na którym leży jej matka. Strwożona chwytą rękę Maciejowej, żyłastą, ciężką rękę, wiszącą bezwładnie wśród fałdów grubej bielizny, i wstrząsa nią rozpaczliwie.

— Mamol dziecko chore!

Ale Maciejowa nie słyszy. Pełna jeszcze piwa i wczorajszej hulanki, nieprzytomna, nawpół pijana, odtrąca silnie szamocącą ją dziewczynkę. Helenka powraca z uporem, pełnym rozpaczy, — obie drobne ręce wpija w ramię matki i stara się podnieść ją, lub w ostateczności zrzucić na ziemię. Maciejowa przecież jednym silnym ruchem odpycha córkę, bełkocąc niezrozumiale:

— Idź precz! nie czepiaj się!

Helenka odsuwa się kilka kroków i lzy napelniają jej oczy.

— Mamo, dziecko chore, — powtarza coraz głośniejsze, wyciągając w stronę matki ręce z gorącą prośbą.

Maciejowa odwraca się do ściany i zapada znów w stan bezwładności pijackiej, graniczący ze śmiercią. Helenka stoi jeszcze chwilę, posyłając w ciemną przestrzeń wejrzenie, pełne gorzkiego wyrzutu. Powtórny jęk dziecka przywołuje ją do kołyski. Nie może zrozumieć choroby, — nie wie, czem może przynieść ulgę cierpiącemu widocznie dziecku; z trwogą więc ogląda się po ciemnej izdebce, szukając w martwych ścianach rady lub pomocy. Wie, że budzić Macieja nie warto. Śpi jak Maciejowa i z pewnością na jej wołanie nie wstanie. Tymczasem dziecko coraz głośniejsze się skarży. Zwinięte w kłębek, kureczy się, malejąc i niknąc na kraciastem tle posłania. Chwilami otwiera jeszcze oczy i z najwyższym wysiłkiem posyła wzrok w przestrzeń.

W tem bezmiernem napięciu zdaje się wywoływać przed siebie jakieś wspomnienia swego krótkiego istnienia. Błędnie oczyma wodzi po tonących w ciemności ścianach, a ręce bezwiednie podnosi ku górze. Po chwili gałki oczne zasuwają się za drżące powieki, i nie widać oprócz

białek, świecących porcelanową gładkością. Helenka, pochylona nad kołyską, śledzi z przerażeniem postępy choroby. Nie rozumiejąc jej, czyta przecież jak z otwartej książki wyraz straszny, ponury jak dzwon pogrzebowy, — wyraz, który drga w jęku męczącej się dzieciny, — a tym wyrazem... zgon.

Ona przeczuwa wśród tej ciemności biały całun śmierci, w najwyższej trwodze nachyla się nad kołyską i swem wychudłym ciałem pragnie osłonić siostrzyczkę. Na ścianie Św. Trójca, wyłożona, w wieńcu różowych kwiatów, miga w niepewnych blaskach dogoływiającej lampki. Biały gołąbek z rozpiętymi skrzydłami nachyla się spokojnie nad konającym dzieckiem, bez szelestu skrzydeł, srebrzy się na mocno szafirowem tle obrazu. Nagle lampka z sykiem gaśnie... jedno mignięcie, jeden błysk jeszcze, i wszystko tonie w ciemnościach. Helenka nie rusza się wszakże z miejsca. Rzec można, że bosa jej stopy przyrosły do ziemi. Jakkolwiek ciemno dokoła, ona z napięciem wielkiem wpatruje się przed siebie. W lewym boku czuje ból dotkliwy, a dziecko jęczy ciągle, rzucając się w konwulsyjnych drganiach. Ta walka przedśmiertna wśród ciemności, objawiająca się w suchym trzasku wyplatanej kołyski za każdym ruchem dziecka i w jęku, przedzierającym się z trudnością przez ciemną noc

zasłone, ma w sobie coś ze skargi drobnego zwierzęcia, duszonego w chmurnej nocy przez dziką, rozżartą bestję.

Czas płynie wolno, a dźwięk zegarów, huczących nad miastem, przerywa ciszę i wpada głuchym dźwiękiem przez przymknięte okno. Helenka co chwila podnosi głowę — z niecierpliwością wyczekuje świtu. Ludzie się przebudzą i pośpieszą z pomocą. Ale świt nie nadchodzi, — leniwie śpi wśród gorąca tej parnej letniej nocy, — i w sercu Helenki każda minuta rośnie do wymiarów wieku, a jęki siostrzyczki ranią ją jak uderzenie tępego noża. Teraz jęk przemienił się w niskie, przeciągłe charczenie. Odrobina powietrza wydostaje się przez opuchłe gardło dziecka i z trudem przesuwa się na zewnątrz. Żelazna ręka śmierci dusi płuca biednej dzieciny. Skurczone, złamane ciało drga miarowo, jakby podrzucane niewidzialną siłą. Ręka Helenki przesuwa się po tych zwiniętych członkach i stara się łagodną pieśczętą uspokoić targające się, drobne, zeschnięte od gorączki ciało. Trwa to dobrą godzinę, ten taniec śmiertelny wśród ciemności, pełen męczarni fizycznej dla dziecka, a piekielnego niepokoju dla Helenki.

Nagle — do izby wpada bladawy, szary i przejrzysty promień niepewnego światła. To świt tam wysoko przedziera czarną noc sukienkę.

Powoli z ciemnej powłoki zaczynają występować kontury stołów i krzeseł, zarysowuje się ostry profil szafy — ciemniejszą na jaśniejszem tle ściany obrazki Świętych Pańskich. Helenka oddycha swobodniej — już nie pociemku musi walczyć z niewidzialną dla niej potęgą: teraz, gdy dzień przyszedł, nie się zlego stać nie może. Tylko w nocy dzieją się złe rzeczy. Kącik, w którym stoi kołyska, otulony jeszcze cieniem, ale niedługo i tam światło zabłyśnie, a razem ze światłem i jęk siostrzyczki zmieni się w uśmiech spokojny. I rzeczywiście charczenie ustaje, — słychać tylko dwukrotne westchnienie, a potem następuje wielka cisza. Niema już trzasku suchej kołyski, wywołwanego konwulsyjnymi ruchami konającego dziecka. Na kratkowanym tle pościółki bieleje w niepełnym świetle poranka zmęczony, pocięty trupek z zaciśniętymi silnie piąstkami.

Niedawno nad kanałem znaleziono małe szczenię martwe, zapewne otrute, które zdechło bez ratunku. To szczenię miało ten sam skurcz głowy i to samo pocięcie ciała. Dziecko i szczenię skończyło jednakowo wśród świata, przepelnionego ludźmi, chwalcącymi się wolną wolą, pamięcią i sumieniem. Helenka stoi ciągle przy kołysce, zmrożona mimo dusznego upału, jak zalewa izdebkę. Godziny mijają. Ona sądzi, że jej siostrzyczka

śpi, i nie śmie dotknąć się, aby jej nie zbudzić. Przykrywa tylko stygnącego trupa połataną kołderką, ale odejść od "kołyski nie może. Wpół otwarte oczy zmarłej, wpatrzono w nią nieruchomie z wyrazem skargi najwyższej, niepokoją ją. Jeżeli śpi, dlaczego nie przymknęła powiek? Jeżeli nie śpi, dlaczego leży tak nieruchoma i nie oddycha nawet? Nagle przed jej umysłem przesuwa się obraz podobnego snu, ujrzany w pobocznej oficynie wtedy, gdy dyfterja zabierała tyle ofiar i kładła do czarnych pudełek małe dziewczynki stolarza.

Tak, teraz przypomina sobie dokładnie. To Mańka, najmłodsza, leżała tak cicho na swej poduszeczce z białego perkalu, a w głowach trumny paliły się dwie duże świece. Oczy miała wpół otwarte, a płacząca stolarka opowiadała kumom, że zapomniała ich zamknąć, a potem tak już stężały. Tak! — to Mańka była tak samo nieruchoma i bez oddechu w swej trumience, jak jej siostrzyczka w swej kołysce. Teraz już wie napewno, co znaczy ten spokój i to pozorne uśpienie. I nagle jak zraniona lwica porywa się z krzykiem od kołyski. Wpada do izby uśpionej matki, a chwytając ramię Maciejowej, wstrząsa niem z rozpaczliwą siłą. Drobne jej palce wpijają się w żyłaste ciało praczki, znacząc krwawymi plamami żółtką skórę. Maciejowa odpędza córkę, ale ta z dziką

zaciekłością czepia się matki, rwąc na niej bieliznę, zrywając pokrycie. W nadmiarze boleści traci świadomość swych czynności, a drąc swe własne odzienie, głosem pełnym rozpacz, gniewu i wyrzutu woła:

— Mamol dziecko umarło!

\* \* \*

Wezwany zapóźno doktor skonstatował śmierć nagłą, zawiadomił policję i nakazał sekcję. Wnętrzności dziecka, trzymane nad płomieniem spirytusowym, wykazały otrucie arsenikiem, pokrywając się warstwą srebrną. Oprócz tego doktorzy stwierdzili jeszcze wypadek porażenia słonecznego wskutek silnego przepalenia główki zmarłego dziecka na spiekocie słonecznej. Arsenik zaś, według ich słów, dostał się do żołądka dziecka pod postacią cukierka lub malowanej zabawki.

— Ty, bestjo jednal — mówiła Maciejowa, katując Helenkę — musiałś nie pilnować dziecka, to się i najadło jakiejś trucizny.

Helenka milczała. Jakże mogła przyznać się, że to ona właśnie podała dziecku zatruty cukierek, a na domiar złego wyniosła na słońce? Wszak ona chciała tylko sprawić radość swej siostrzyczce i ucieszyć ją w to święto niedzielne. Mimo to przecież zabiła ją! — tak, bezwątpienia, to ona ją zabiła!

I gdy składano już do grobu pokrajane zwłoki dziecka, Helenka ukryła się za cmentarne krzewy, aby uniknąć przekleństw ze strony matki. Niepotrzebnie wymawiano jej ciągle niedozór nad siostrą i bito ją w głowę lub plecy. To jej nie bolało, bo rozpacz, co jej serce szarpała, była prawdziwą jej męczarnią. Gdy wszyscy towarzyszący pogrzebowi udali się do pobliskiego szynku dla „zalania robaka“, Helenka wysunęła się z za krzaka i padła na świeżą jeszcze, maluchną mogilkę. Tak! ona była winowajczynią! ona zabiła swoje jedynie ukochanie, swoją malutką siostrzyczkę! I potoki łez moczą świeży piasek, a drobna postać dziewczyny zda się zagrzebywać w ziemię, tak konwulsyjnie tuli się do grobowego nasypu. Dokoła cisza iście cmentarna. Szeregi białych grobowców wyciągają swe kamienne krzyże ku niebu; dumne to grobowce bogatych, odróżniających się nawet po śmierci od biednego pospółstwa. Gdzieniedzie czerni się krzyż drewniany, zatknięty prosto w darninę, czasem podparty drągami, częściej skrzywiony, smutny, opuszczony. Małe dzieci śpią w kamiennych konchach, z rączkami złożonemi na piersiach, z kamiennemi powiekami, spuszczone na szare twarzyczki. Wielkie anioły w prostych, surowych szatach stoją nieruchome, patrząc w przestrzeń oczami bez źrenic, — rzekłbyś: ślepe stróże, równie nieruchome,

jak śpiące pod ich stopami trupy. Zielone brzozy szepcą bezustanny pacierz, gnąc się ku ziemi. Po mogiłach zasiały kępy bratków i stokrotek, a wieńce z jaskrawych nieśmiertelników śmieją się smutną wesołością z ramion żelaznych krzyży. Całe to miasto umarłych, — ciche, spokojne, bez biur i magazynów, bez teatrów i kościołów, bez ludzkich zawisici, nędzy, zbrodni i prześladowań. Kto tu wejdzie, śpi cicho, spokojnie, otulony dobrą ziemią, z głową ukwieconą bratkami. Po cześciwa brzoza modli się równie za nędzarza i za bogacza, a ciszę przerywa tylko śpiew księży, wiodących nowego towarzysza śpiącej drużyny. Ponad tem morzem krzyżów, kamiennych aniołów lub drewnianych kapliczek płynie błękit nieba jasny, kryształowy. Złote, gorejące słońce wisi pośrodku jak lampa wiecznie gorejąca i oświeca jaskrawo marmury i zlocenia grobowców. Nieugięte w swej srogości, pali tak samo, pełne żaru i świadome swej potęgi. Leżąca na mogile dziewczynka czuje to gorące dotknięcie, które jej plecy smaga. Ach! to ono! to samo piękne, uwielbiane słońce, przepaliło główkę jej biednej siostrzyczce. Słońce i ten zielony rycerz zabiły jej dziecinę, która była dla niej światem całym. I widzi swoją biedną Helenkę siedzącą wśród słonecznych blaszków, z buzią rozradowaną na widok cukierka, z główką podniesioną wprost do promieni słonecz-

nych, mrużącą siwe oczki z cichym chichotem. —  
 Była taka rozsądna! taka grzeczna! a spała tak  
 cichutko w swojej kołysce... Teraz nic, pustka  
 dokoła, pustka straszna, pełna tęsknoty!...

I to ona! ona sama!

Nagle w sercu dziewczynki powstaje bunt  
 przeciw temu potworowi, który z tak wysoka za-  
 bił jej małą siostrzyczkę. Z oczyma pełnymi łez  
 zrywa się z ziemi i z srogim wyrzutem wyciąga  
 ręce w górę.

Czerwone, krwawe oko olbrzyma spogląda na  
 to drobne, grożące mu dziecię z pogardą prawie.  
 Niewzruszone w swej srogości, oblewa Helenkę  
 potokiem wrzących swych promieni i zmusza ją  
 do zamknięcia zapuchłych od płaczu oczu.

Dziecko, bezsilne, zwalzone pada znów na  
 mogiłę, łkając boleśnie, świadome swej słabości,  
 nękane w potężde gorejącego olbrzyma. Ponad  
 niem z uczuciem zadowolonej zemsty ściele się  
 purpura słoneczna, wszechwładna, nieznosząca  
 żadnej przeszkody w swym triumfalnym wieko-  
 wym pochodzie.

## PERI I RAJ

SZKIC Z NATURY





Była młoda i świeża jak ten poranek majowy, wschodzący w tej chwili razem z promieniami słońca.

Blondynka, drobna, o rysach twarzy prawie klasycznych, kształtach wysmukłych, biuście wypełnionym, nie miała w swej postaci ani twarzy, ani jednego znamienia semickiego pochodzenia, tej pieczęci, która w linjach nosa, ust, w skrzywieniu i ściągnięciu całej maski odbija się i odrazu w pierwszej chwili w oczy się rzuca. Zdziwienie moje było wielkie, gdy zawołano na nią: „Małkol“ — byłam pewną, że jest to młoda pensjonarka, powracająca z wycieczki za granicę, wycieczki, zrobionej w celu kupienia w Toruniu „za bezcen“ wiosennej parasolki lub płaszczyka.

Ubranie młodej Żydówki nosiło nawet piętno jakiejś elegancji i dobrego smaku. Płaszczyk popielaty, takiż kapelusz, zgrabne rękawiczki, brak klejnotów, zegarków, świecideł, a zwłaszcza czarnej jedwabnej sukni, dobrze świadczył o estetycznych poglądach właścicielki.

Zaczęłam ją obserwować z przyzwyczajenia, z nałogu, jaki mam do obserwowania zawsze czegoś lub kogoś, i wyraz jej wielkich szafirowych oczu zastanowił mnie niemało.

Były to przepyszne lazurowe oczy, ocienione ciemnymi rzęsami. Powieki, trochę sine, opadały co chwila i podnosiły się powoli z jakimś leni-

wym wdziękiem. Ale w oczach tych błyszczały ciągle łzy tak, że zdawało się, iż młoda dziewczyna „przez łzy“ na świat patrzy.

I patrzyła przez łzy widocznie, bo smutek i dziwna tęsknota biła z tych źrenic, wpatrzonych w dal z wyrazem skargi, żalu... cierpienia.

Nad czem mogło cierpieć to młode dziewczę żydowskie, ubrane dostatnio, wyglądające na uosobienie zdrowia i siły, otoczone troskliwą opieką matki, patrzące „przez łzy“ na purpurowe słońce, które na wzór feniksa odradzało się z popiołów nocy?

Znam dużo rodzajów smutków i cierpień na świecie. Wiem, jak wygląda twarz kobiety, której zabrano wszystko to, co ukochała w życiu; wiem, jakie łzy płyną z oczu matki po stracie dziecięcia; wiem, jaka boleść ściąga brwi znieważonej lub przesładowanej od losu istoty; — ale twarz młodej semitki nie wyrażała ani jednej ze znanych mi boleści. Było w niej coś nowego, coś dla mnie nieznanego, jakaś tęsknota, wkuta w te rysy dłutem czasu i losu, coś, co zdawało się być beznadziejne jak potępieńcy Danta.

A więc jest jeszcze cierpienie, które się przede mną ukryło? są łzy, których dusza moja odczuć nie potrafi?

I szybko zbliżyłam się do młodej dziewczyny.



Leżąca na ziemi książka była wystarczającym dla mnie powodem.

— Jeszcze chwila, a książka pani zsunie się do wody — wyrzekłam dość głośno, aby zbudzić ją z zadumy.

Drgnęła mimowoli i zwróciła się ku mnie całą twarzyczką. Chwilę patrzyła na mnie zdziwiona — wyglądała zupełnie jak dziecko ze snu zbudzone.

Powtórzyłam moje słowa i wskazałam jej książkę, która rzeczywiście leżała już na krawędzi statku.

Porwała się szybko i podniosła książkę.

— Dziękuję... dziękuję pani serdecznie. Gdyby ta książka wpadła w wodę... chyba samabym za nią wskoczyła.

Zarumieniła się mocno, wymawiając te słowa; i, chcąc ukryć zmieszanie, zdjęła śpiesznie kapelusik, okrywający jej główkę. Purpurowe promienie słońca oblały jej jasne kędziory i złotą linią naznaczyły piękną linię głowy.

— Książka ta jest dla pani bardzo droga? — zapytałam z uśmiechem.

— To.. pamiątka! — odparła z pewnem wahaniem w głosie.

— Po umarłym?

Dziewczyna milczała chwilę.

— Nie! — odparła wreszcie przytłumionym głosem — nie, ale dla mnie on tak jak umarły. Wyciągnęłam rękę.

— Czy wolno zobaczyć tytuł?

— Proszę! — odparła z prostotą, podając mi książkę.

Spojrzałam na jej rękę, bo coś mi zamigotało krwawo przed oczami. Przed chwilą zsunęła rękawiczkę i na czwartym palcu miała przepyszny rubin, otoczony brylantami czystej wody.

Wzięłam książkę i spojrzałam na kartę tytułową.

— „Dzieje moralne kobiet, przez Ernesta Lé-gouvé“ — przeczytałam, nie tając zdziwienia w głosie.

Ona akcent ten pochwyciła prędko.

— Panią to dziwi — wyrzekła, — że taka młoda jak ja żydówka czyta taką książkę. Ale, moj Boże, to moja Biblia, ja z nią wstaję i spać idę.

Przewróciłam kilka kartek — wszędzie dostrzegłam jakieś dopiski robione wprawmem męskiem pismem, a niektóre ustępy były podkreślone kilkakrotnie czerwonym ołówkiem.

Mimowoli wzrok mój zatrzymał się na 239 stronie. Rozdział zatytułowany „Kobieta wolna“, był obwiedziony szeroką ponsową linią, a przy zdaniu:

„Ci, którzy się kochają, są małżonkami“  
drobnymi literkami nakreślone było:

„Żono ty moja!...“

Małka pochyliła się tymczasem nade mną i głosem drżącym przeczytała:

— „Ci, którzy się kochają, są małżonkami“.  
Milczaliśmy chwilę.

Ja wpatrywałam się upornie w ten króciuchy dopisek, tak wymowny, tak namiętny.

W tych kilku słowach było całe, długie wyznanie miłości.

— Czy pani podziela to zdanie? — zapytała wreszcie dziewczyna. — Tylko tego którego się kocha, można mężem nazywać!

— Zdanie to podzielam zupełnie, ale w życiu inaczej się dzieje. Mało byłoby w takim razie prawdziwych małżeństw.

— Jakto? u was? u chrześcian przecież iść za mąż według woli można! — zawołała z widoczną zazdrością w głosie.

— Tak samo u nas, jak i w waszem wyznaniu, dzieci, a zwłaszcza córki, podlegają woli rodziców w wyborze męża lub żony — odparłam; — masz pani jednak rację, że my wybiłyśmy się więcej na wolność, niż kobiety waszej sfery. Tylko że u nas rządzą inne względy: świat, pieniądze, stanowisko...

— To źle, to bardzo nierozsądnie ze strony waszych kobiet — przerwała mi gwałtownie. — Gdybyśmy miały wolność wyboru, rządziłybyśmy się głosem serca...

— I chwilowej namiętności — przerwałam jej z kolei.

Spojrzała na mnie uważnie, patrząc mi prosto w oczy.

— Nie wiem, co pani nazywa namiętnością — odparła z prostotą; — ja wiem tylko, że jedno uczucie istnieje na świecie: uczucie kobiety dla mężczyzny, któremu oddaje się na życie całe, a uczucie to nazywamy miłością.

Czysty, nieskalany był dźwięk jej głosu, gdy wymawiała te słowa, a oczy spojrzały „przez łyż“ na otwartą stronicę książki, leżącej na mych kolanach.

— Kobieta wolna! — zawołała wreszcie po chwili milczenia — ależ to paradoks, bo kobiet wolnych niema.

— Mylisz się pani — odparłam; — są kobiety wolne, ale wolność tę uzyskują dopiero po latach cierpień, smutku i upokorzeń.

— Ach! mówisz pani o tak zwanych separatach i rozwódkach; ale czyż one są rzeczywiście kobietami wolnymi? Wszak świat ma dla nich o sto więcej oczów i kamieni w zanadru, niż dla mężatek. Tylko że to jest jedyna droga, aby

uwolnić się od męża, którego obecność jest wstrętną i stała się nie do zniesienia.

Mówiła z wzrastającym zapałem. Czułam, że lada chwila wybuchnie gorycz, tajona w głębi tej dziewczęcej duszy.

— Zła to droga i pełna bolesnych zawodów — wyrzekłam; — znam inną, nierównie prostszą i pewnie prowadzącą do celu.

Przysunęła się do mnie bliżej i rzekła gorąckowo:

— Wymień ją pani, wymień, proszę! Oddasz mi pani tem wielką przysługę. Nie dziw się mej śmiałości i daruj mi natręctwo, ale ja tak dawno nie mogłam z kimś pomówić tak, jak do tego przywykłam.

— Owszem, chętnie pani wskażę tę drogę, po której idąc, unikniesz wielu smutków i upokorzeń. Nie wychodź za mąż, aż po dojściu do dojrzałego wieku, i staraj się zbadać charakter człowieka, z którym się wiążesz na całe życie.

— Gdybym mogła! gdybym mogła to uczynić, ach! częgóżbym nie zrobiła, aby się tak stało! — zawołała z boleścią. — Ale u nas matka zaręcza dziewczynę, gdy ta skończy lat czternaście, zaręcza ją z człowiekiem obcym, często dla niej wstrętnym; niższym pod względem inteligencji, pełnym brudnych instynktów! Zaręcza ją, bo tak chce zwyczaj, tak wymagają uświęcone formy, i o nic

nie pyta, o nic!... obojętna na lzy i błagania córki, a tylko chwali się przed każdym, mówiąc: „ja już moją córkę zaręczyłam!“

Głos jej drżał — oczy, łez pełne, miały wyraz wielkiego cierpienia.

— Mówisz to pani tak gorąco — zapytałam powoli, — czy i panią matka już zaręczyła?

Za całą odpowiedź wyciągnęła ku mnie rękę, na której palcu błyszczał wspaniały rubin, czerwieniący się w blaskach poranku jak kropla krwi jeszcze gorącej.

— Mój Boże! taka młoda! — wyszeptalam, zdjeta wielką litością nad tym pięknym, niewinnym kwiatem, przeznaczonym na rychłą, zbyt rychłą zagładę.

— Kto on? — zapytałam po chwili.

Dziewczę wzruszyło ramionami.

— Kupiec z Berlina, ot, prosty, zwyczajny żyd, choć w surducie. Pieniądze ma i święte księgi na pamięć umie. Mama o więcej nie pyta. Szczęśliwa ze swego zięcia, ciągle się nim chwali... ślub naznaczyli na jesień... Mama kontenta. Tata kontent... on kontent... a ja!... a ja!..

Lzy jej zatamowały mowę, spuściła głowę na piersi.

— A pani?

— Ja?... ach!... wolałabym umrzeć... umrzeć dziś jeszcze! — zawołała, zalewając się łzami.

Milczałyśmy długą chwilę.

Cóż miałam odpowiedzieć na tę wielką boleść, którą tak nagle, niespodziewanie spotkałam w duszy nieznanego mi przed chwilą dziewczęcia?

Słońce majowe rozpostarło swe promienie z całą wiosenną wesołością. Wisła złociła się w tych blaskach jak uśmiechnięta królowa, nadbrzeżne drzewa maczały swe gałęzie, mówiąc fałom „dzień dobry“, statek szumiał wesoło, bryzgając dokoła pianą musującą jak kielichy szampa, z łodzi obok płynącej dolatywała śpiewka Gounoda, nucona przez czterech młodych ludzi, należących do towarzystwa wiosłarskiego i płynących w tę samą co i my stronę, — słowem dokoła, w powietrzu, na gałęziach drzew, na promieniach słońca, w głębi rzeki — wszędzie śmiała się wiosna, szczęście, wesele..

A tuż obok mnie młode, pełne życia i prawdo szczęścia dziewczę chyliło smutnie głowę, wołając rozpaczliwie:

— Chciałabym umrzeć dziś jeszcze!..

Machinalnie zwróciłam oczy na książkę i bezwiednie zatrzymałam się na tym dopisku, który do tej chwili ciągnął mnie jak tajemniczy magnes.

— Mówisz pani, że narzeczony jej jest człowiekiem małej inteligencji. A jeśli to on zrobił

ten dopisek, złożył świadectwo, jeśli nie rozumu, to wielkiej miłości, jaką ma dla pani — wyrzekłam wreszcie, przerywając milczenie.

Ona rzuciła się nagle i potrzęsła głową.

— On dopisałby co na tej książce!.. — zawołała gwałtownie — on!.. on nie śmiałyby dotknąć się tych kartek, a wreszcie... on... on po polsku pisać nie umiel

— A przecież tu dopisane wyraźnie: „żona ty moja!“

Malka zarumieniła się gwałtownie.

— To nie on... to ktoś inny... — wyszeptala, odbierając mi książkę.

— Kto? — nalegałam niedyskretnie.

— Jeden... pan... chrześcijanin! — odpowiedziała z widocznym wysiłkiem.

— Sądziłam, że to słowo „żona“ napisał narzeczony pani.

— Zapomniałaś pani, cośmy przed chwilą razem z tej książki czytały — odparła poważnie: — „ci, którzy się kochają, są małżonkami...“

Nagle urwała, jakby przerażona tem, co wyrzekła.

— Niech pani przez to nie zlego sobie nie myśli... On to zapewne dla żartu napisał... Pani wie, że z żydowską dziewczyną żartować wolno... On mi tylko tę książkę pożyczył... Mama go nie

cierpi, tata także... — tłumaczyła, jękając się i mieszając pod moim badawczym wzrokiem.

W pięć minut wiedziałam więc wszystko.

Wiedziałam, dlaczego Małka w wiosenny poranek „przez Izy“ na świat patrzy.

— Patrz pani — wyrzekła po chwili, otwierając znów książkę, — jak to prosto z pod serca wyrwane... Czy nie tak się dzieje na świecie? Rzeczywistość jest zaledwie połową prawdy. Poza *tak*, wydartem z ust nieopatrnej młodej dziewczyny, ileż razy kryje się słowo *nie*, które serce woła z rozpaczliwym łkaniem!.. Czy, jeżeli ja stanę jako panna młoda, serce moje zawoła „tak?!...“ nie, tysiąc razy nie!.. A gdybym nawet zbuntować się chciała i głośno powiedziała to, co serce czuje, gdzież się uda taka głupia dziewczyna, jaką ja jestem!? Wreszcie u nas rodzice mają inne prawa nad dziećmi, wolno im złamać życie córki dla „karjery“, dla losu... jak mówią. Taki los! taki los, toć lepiej grób...

Umilkła, patrząc łzawo w przestrzeń. Była w tej chwili dziwnie piękną w tem rozżaleniu bezmiernem, które przedwczesne brózdki na jej dziecinnem czole rysowało.

— Ja moich rodziców nie winię — wyrzekła po chwili. — Oni mnie kochają i robili wszystko dla mego dobra, ale robili źle, bo teraz to wychowanie, które mi dali, jest prosto nieszczę-

ściem mego życia. Poco oni oddali mnie na pensję chrześcijańską, gdzie poznałam inne życie, inny świat, innych ludzi!?... Poco oni mi kazali umysł rozwijać i kształcić, jeśli miałam napowrót wejść w te ciemności, z których wyszłam? Czy ja teraz mogę wierzyć w to, w co oni wierzą i być tem samem, czem jest moja matka? Czyż ten napozór wolniej myślący, ale w gruncie rzeczy zacofany żyd jest stosownym mężem dla mnie, która przez lat sześć zapomniałam o tej ślimaczej, ohydnej egzystencji, jaką nasi współwyznawcy pędzą, a której celem i głównym czynnikiem jest pieniądź!.. zawsze pieniądź!... Powiedz pani sama, czy oni dobrze zrobili, oddając mnie pomiędzy ludzi, do których wrócić nie mam prawa, a których pokochałam całą duszą i sercem? Ten świat wasz, to raj! raj, pełen uroku dla mnie nieszczęśliwej, skazanej na życie wśród zacofanych a bezpodstawnych obrzędów, wśród fanatyzmu dzikiego, graniczącego z barbarzyństwem, wśród ludzi, troszczących się jedynie o zarobek i dobrą rybę na wieczną szabasową.

Milczałam.

Czułam, że dziewczyna miała słuszość. Rzeczywiście, nie pojmowałam nigdy tej dziwnej nie-logiczności w postępowaniu niektórych Izraelitów, oddających swe córki na pensje chyba tylko w tym celu, aby im potem zohydzić domowe

ognisko. Czynią to poprostu przez próżność, aby się później chwalić sumą, wydaną na wychowanie córki, ale niebaczni nie rozumieją, że dziewczę takie, po powrocie do domu lub wydane za mąż, cierpi tortury moralne, zadając gwałt swemu sercu i rozsądkowi.

Częstokroć w takiej walce dziewczyna upada dwojako: albo zamiera z tęsknoty — albo ucieka, rwąc pęta, pogrążając w gruzy wszystko, osierocając dzieci, lub zabierając je na niedolę, a często nawet na... hańbę. Teraz ja „przez lzy“ patrzyłam na rozżalone dziewczę, siedzące tuż przy mnie.

Jak błyskawica mignęła mi przed oczyma duszy przyszłość tej kobiety i ze smutkiem pragnęłam odegnać tę myśl od siebie.

Słońce ozłacało jej głowę; błękitne oczy, wielkie piękne oczy, migotały łzami, — pod delikatną skórą płynęła gorąca, młoda krew dziewczęca. Wielka piękność, połączona z niepospolitą inteligencją, urok kobiecy, otaczający całą tę postać — i to wszystko zstąpić miało do grobu, do ciemności, z których niema wyjścia, prócz śmierci lub stokroć od niej gorszego... wykolejenia. I przyszło mi na myśl podanie o złotowłosych Peri, które, koło rajy krążąc, wejść doń nie mogą.

Nie był to Peri ta jasnowłosa, modrooka żydówka, tęskniąca do światła, do piękna, do te-

go wszystkiego, co ludzie, kradnąc Bogu, przyswajają sobie, aby życie lżejszem uczynić i w tęczowe blaski je przybrać?

Nie był to Peri ta smutna, młoda dziewczyna, czująca w piersi różnicę między jednym a drugim światem, a skazana na błądzenie wśród ciemności, z rozpaczą w duszy, z nieszczęśliwą miłością w sercu, z bolesną i wieczną łzą w oku?

I na widok tej nędzy kobiecej, tej bezbrzeżnej rozpaczki istoty, stworzonej do śmiechu i pocałunków, zbladły mi promienie słońca, maj nie śmiał się już tak wesoło, z zielonych gałęzi wierzby, a piosenka Gounoda dźwięczała smutną skargą jakąś.

Malka tymczasem nie ocierała łez, które płynęły wolno po jej twarzy; trzymała w ręku otwartą książkę, a na kartkach jej czernił się napis „Rozwód“.

— Widzi pani, to jeszcze jedyny dla mnie punkt wyjścia — wyrzekła po chwili. — Rozwiódę się po latach kilku, ale życie moje będzie zmarnowane bezpowrotnie. Cierpieć będę wiele, wiem o tem, i to cierpienie przeraża mnie. Jestem z natury nieśmiałą i nie umiem stawić czoła przeciwnościom. Ale cóż poczyć? Będę musiała być odważną... lub.. odbiorę sobie życie.

Czułam, że powinnam coś powiedzieć.

— Nie rozpaczaj pani tak bardzo — wyrze-

klam wreszcie; — życie jest długie, tyle rzeczy nieprzewidzianych stać się może.

Ona przerwała mi z wielką goryczą:

— Och! *u nas* nic nieprzewidzianego się nie dzieje. Rodzice wszystko przewidują i układają. Nawet już mi zakupili piękne miejsce w synagodze. Mój narzeczony cieszy się, że będziemy razem bywać na nabożeństwach. On na dole, a ja na górze... To będzie bardzo ładnie...

Roześmiała się smutnie.

— Dlaczego ja nie mogę być taką samą jak moja matka! Byłabym wtedy bardzo szczęśliwa. Nosiłabym perukę z nici i atlasową suknię. Zarezczałabym córki jedną po drugiej i smażyła konfitury. Ale we mnie obudził się jakiś niespokojny, niedobry duch; zresztą obudzili go sami fałszywym wychowaniem. Teraz ja cierpię, a oni tego zrozumieć nie mogą, czy nie chcą.

Nagle urwała i powstała szybko z ławeczki.

— Idzie z kajuty mama. Muszę schować książkę, bo ona nie lubi, kiedy ją czytam.

Okazała żydówka zbliżyła się ku mnie. Był to wyborny typ zbogaconej kupcowej. Odziana dostatnio, szeroko, imponowała tuszą i wspaniałą rotundą z angielskiego szewiotu. Zegarek, bran-

solety, nieodłączna brosza z koralem połyskiwały na piersiach i rękach.

Szła wolno, kołysząc się właściwym żydówkom ruchem bioder.

— Pani rozmawia z moją córką — wyrzekła, siadając przy mnie. — Ona jest bardzo nauczna. Była na pensji. My za nią płacili dosyć, nu, to nie dziwnego, że gada i to i tamto.

Odpowiedziałam kilka słów, których rozmowna kupcowa nie zostawiła bez odpowiedzi.

Dowiedziałam się, że Małka była najstarszą z siedmiorga dzieci, jakimi pani Fajgencweig obdarzyła swego męża, że ona sama, to jest pani Fajgencweig, poszła za męża, mając czternaście lat, że jest bardzo szczęśliwą i że niedługo będzie jeszcze szczęśliwszą.

— Zareczyłam moją córkę — dodała z dumą i zakolysała się, rada ze świata, z samej siebie...

Ja mimowoli wzrokiem poszukałam Małki.

Stała o kilkanaście kroków, oparta o słupek balustrady.

Wiatr rozwiewał jej włosy i rozrzucał dokoła twarzy.

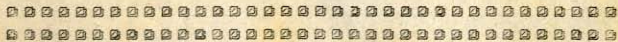
Zdaleka ukazywały się wieże Wł.... — za kwadrans mieliśmy być na miejscu.

Dziewczyna, chmurna i milcząca, wlepiła wzrok swój w ukazujące się miasto.

Wśród czystego powietrza porannego, na jasnym tle, postać jej rysowała się smukłą, pełna doskonałych form i linji.

Taką być musiała Peri, gdy stała u wrót raju, błagając Allaha o litość, o wpuszczenie jej do miejsc pełnych uroku, których rozkoszy zaznała, niestety!..

ZAKUTA GŁOWA  
OBRAZEK





.....

Ja miałem lat siedemnaście — ona trzydzieści.  
Pomiędzy temi dwiema cyframi stoi fatalna liczba — trzynaście.

Ja nie zważałem wtedy na takie drobnostki. Miałem lat siedemnaście i kochałem ją zapamiętale.

Była moją kuzynką, daleką wprawdzie — ot, jedną z tych, którym się mówi „kuzyneczko“ i po ciemnych kącikach całuje atlasowe łapki.

Teraz, gdy się zastanowię nad tem dojrzałem cackiem, dostrzegam w niej wiele wad, a nawet śmiesznośtek. Wówczas jednak był to ideał wyśniony, ucieleśnienie mych marzeń, słowem — ona, to „ta,“ o której śniłem nocami, a we dnie marzyłem, stukając jak lunatyk w bilardowe kule.

Była jasną blondynką o wielkich, szafirowych oczach. Pomimo braku temperamentu, jaki zwykle przypisują płowym pięknościom, musiała mieć jakiś swój, odrębny temperament — temperament

istot napozór uspionych, ale wybuchających chwilowo, nagle i to w tajemnicy.

Są to miłe niespodzianki, mające swój odrębny wdzięk właśnie w tym pozornym spokoju, z którego się rodzą.

W szafirowych oczach pani Muszki błyskały czasem iskierki, przypominające błyskawice, oświecające pogodne napozór niebo.

Nazywano ją Muszką.

Miała imię Marja, ale Marja — to imię bardzo pospolite... Każda żona byle pierwszego lepszego urzędnika nazywa się.. Marja.

Marja... *tout-court* przypomina zaraz jakiś smutek, niedostatek, brak komfortu.

Muszka... z brzękiem swego imienia niesie błysk złotych skrzydełek, brylantowych oczek i woń heliotropu.

Marją taką „ona“ nie mogła być.

Musiła być... Muszką!

Tak zdecydował mąż jej — wysoki, barczysty i potężnie łysy mężczyzna, który zajeżdżał konie i dekorował swój gabinet kłami odyńców, nabytymi od starych gajowych w głębokiej tajemnicy i za dobre pieniądze. Wskazując na te trofea myśliwskie, mąż pani Muszki mawiał, śmiejąc się dobrodusznie:

— Stuknąłem go w takim lub takim lesie!

Lysina świeciła mu przytem, jak wtedy, gdy

zapewniał żonę o swem niezmiennem przywiązaniu, to jest, gdy kłamał w całym tego słowa znaczeniu.

Lysym był od najpierwszej młodości. Ta okrągła, świecąca głowa była zresztą spadkiem rodzinnym.

Odziedziczano ją z ojca na syna razem z wielką fortuną, tytułem i pięknym pałacem, położonym nad bystrą rzeką.

Pomiędzy fortuną, lysiną a rzeką zachodziły pewne podobieństwa.

Lysina przecierała się z dniem każdym i stawała coraz widoczniejszą, fortuna topniała i płynęła w nieznane krainy, zapewne w te, z których się nie powraca, a rzeka wysychała latem i pokazywała dno, pełne większych i mniejszych kamieni, które naniosła.

Tu jednak kończyło się podobieństwo.

Rzeka co rok z wiosną przybierała gwałtownie i kryła kamieniste dno pod spienionymi falami, lysina pana hrabiego nie pokrywała się jednak niczem oprócz kapelusza, a fortuna coraz węższy złoty strumyk sączyła ze swego źródła.

Chwilami strumyk ten groził zupełnem wyschnięciem. Napozór przecież nic nie przepowiadało podobnej ruiny.

Pani Muszka i mąż jej pracowali ucziwie koło dobra społecznego.

Wstawali późno, gdy mieszkali w mieście, — na wsi wstawali zato o wiele wcześniej.

Jedli śniadanie obfite, a jedząc rozmawiali o pogodzie i koniach.

Potem „ona“ znikła w swych apartamentach, „on“ zaś ulatniał się jak kamfora.

Schodzili się znów w salonie w chwili przejścia do sali jadalnej.

Mąż pani Muszki był *un gourmand* — lubił dobrą kuchnię i umiał jeść. Obiad więc trwał długo, kawa z likierami zajmowała sporo czasu.

I znów „ona“, jeśli nikogo z obcych nie było, znikła w swoich apartamentach, a „on“ ulatniał się jak kamfora.

Późno w nocy jechali razem na bal lub raut.

Czasami bywali w teatrze.

Powracając, składali sobie wzajemny ukłon, zakończony uściskiem ręki, którym obdarzają się koledzy biurowi.

Było to, jak widzimy, małżeństwo wzorowe — *un ménage-modél!*

Achl przepraszam, zapomniałem dodać, że pani Muszka była... matką.

Ale była nią tak mało, że można było o tem zapomnieć.

Sześcioletni chłopczyk, łysy, wielki, rozrosły, podobny do ojca jak dwie krople wody, zjawiał się czasem na widowni świata, ku ogólnemu zdzi-

wieniu, gdyż według wszelkich danych małżeństwa „wzorowe“ powinny pozostać bezdzietne.

Fakt jednak był i to niezaprzeczony.

Tradycyjna łysina nie miała zagać bez śladu.

Pani Muszka zdziwiła się niezmiernie przybyciem tej łysej drobnostki na świat boży i, przy patrząc się swemu dziecku przymrużonemi oczyma, kręciła ładną główką.

Skoro jednak dziecko krzyżeć zaczęło, kazała je czempredzej wynieść do najdalszych pokoi — i tam już mały Felo miał pozostać i łysieć pod dozorem „nadzwyczajnych“ bon i guwernerów, hurtownie wypisanych z zagranicy.

Widzimy przeto, że panią Muszkę mało absorbowwały obowiązki żony i matki.

Kobieta światowa ma jednak inne, niemniej święte obowiązki do spełnienia. Obowiązkiem tym... kokieterja...

Wróble kąpią się w piasku... kobiety w kokieterji... Pani Muszka brała codziennie taką kąpiel, a nawet kąpała się dzień cały.

Kokietowała na prawo i lewo: męża, przyjaciół domu, nieprzyjaciół, stare dewotki, własne pokojówki, siebie samą, wreszcie Pana Boga, gdy kłęczała w kościele.

Były dni, w których kokieterja jej wzmagała się do najwyższego stopnia, czasem przybierała

znów pozę płaczącej wierzby, lub niezrozumiałej istoty, nie opuszczała jej jednak ani na chwilę, tak jak gorset lub Veloutina.

Podczas zimy, przebywając w stolicy, pani Muszka zarzucała swe sieci na barwne motyle, mające opinię skończonych zjadaczy serc niewieścich.

Ale w lecie, na wsi, zadawałniała się drobniejszymi muszkami, słowem — łowiła, co jej pod rękę popadło.

Jednym ze złowionych byłem... ja!

Mówiłem już, że miałem lat siedemnaście.

To piękny wiek.

To chwila rumianych policzków, kręconych włosów i błyszczących oczów.

Przymioty te posiadałem wtedy. Od małego dziecka przypominałem Rafałowskiego aniołka. Tak twierdziła moja matka i chór panien służebnych.

Zwierciadło nie mówiło mi nic o podobieństwie do mieszkańca niebios, ale w siedemnastym roku ukazywało mi foremną, choć okrągłą twarzyczkę, błękitne oczy i jasne blond, miękkie, o złotawym połysku włosy.

Przytem wzrost moj przypominał topolę, i choć nie byłem tak długi i zielony jak to drzewo, ale byłem wysmukły i przechodziłem głową niejednego z mych uczonych profesorów.

Co do stanu mej duszy i serca, był on uosobieniem rzadkiej w tak dobrze wyrośniętym młodzieńcu niewinności. Byłem z natury nieśmiały, wychowany przez matkę, — a wiadomo, że wychowani przez kobiety mężczyźni, doszedłszy do rozumu, stronią długo od kobiet.

Przypomina to historję chłopców, usługujących w cukierniach. W pierwszych dniach ich służby dają im pod dostatkiem ciastek i cukierków — chłopcy objadają się niemi do syta, wpręde jednak słodczye brzydą im powoli, stają się obojętnymi na najpiękniejsze okazy ciastek lub na nieskalaną białość kremu.

Tak samo stało się i ze mną.

Kobiety, od kołyski otaczające mnie ciągle, straciły dla mnie powab i urok... „nieznanego“. Powoli oswoilem się z niemi i bez żadnego wzruszenia siadałem na kolanach swych bon i nianiek i tuliłem głowę do ich piersi. Potem już nie siadałem wprawdzie na kolanach kobiecych, ale obojętność na ich wdzięki była tak wielką, że matka moja mniemała, iż w synu swym widzi kandydata na kardynała lub choćby na biskupa.

Jednak tak nie było.

W głębi mej istoty tkwił ten płomyk, co to potrzebuje jednego podmuchu wiatru, ażeby ogarać całe jestestwo.

Płomyk ten był we mnie. O! czułem go nie-

raz, jak nurtował w mem sercu i skakał przed oczyma podczas nudnych wykładów mych codziennych profesorów. Dziwiły mnie te nieokreślone porywy. Czulem, że mi czegoś brak w życiu, choć napozór miałem wszystkiego zawiele.

Wskutek tego jakiegoś niepocziwego płomyka nauki szły tępo, postępy robiłem niewielkie. Matka nie posyłała mnie do szkół publicznych. Według niej, było to... trywjalne.

Munio mógł nabrać złych manier i nauczyć się nieprzyzwoitych wyrazów.

Dzięki temu systemowi, w siedemnastym roku życia nie umiałem nieprzyzwoitych wyrazów, ale także nie umiałem nic z tego, co umysłowo rozwinięci chłopcy w tym wieku umieć zwykli.

Miałem wprawdzie składać po wakacjach egzamin do ósmej gimnazjalnej klasy, a w rok później stawać do matury, ale o pomyślnym rezultacie tychże egzaminów wątpił kościół boży i ja z nim.

Moja matka tylko nie wątpiła. Promieniała radością, sprawiała mi co chwila nowe garnitury i, pod pozorem wzmocnienia sił jedynaka, wywozła mnie na wieś, do swej kuzynki Muszki.

— Kuzynka jest kobietą wzorową! — mówiła do mnie mama, gdyśmy podjeżdżali do bramy zgrabnego pałacyka, ukrytego w klombach drzew —

jest ona *irréprochable* pod każdym względem... bądź dla niej z wielkim szacunkiem!

Głos mamy nie brzmiał przekonywająco, widocznie ta kobieta „wzorowa“ stawiała czasami znaki zapytania w umyśle innych co do owej „wzorowości“, ale damy z towarzystwa umieją się tylko domyślać...

Przekonane o błędach drugich, nie sądzą nigdy głośno. Tak — w ciszy buduaru, w obecności kilkunastu zaufanych przyjaciółek, mogą stawiać pewne i niezbite twierdzenia, ale wobec innych... nigdy.

Mama przeto powtórzyła raz jeszcze:

— Bądź dla niej z wielkim szacunkiem! — i zasunęła się w głąb siedzenia, ja zaś z niezwykłym pośpiechem zacząłem wydobywać z pudełka mój nowiutki, lśniący cylinder, którym pragnąłem zaimponować mej „wzorowej“ kuzynce i wszystkim mieszkańcom pałacyku, zacząwszy od służby, która, widząc zbliżający się powóz, zaczęła zbiegać szybko ze stopni tarasu.

Wszystko odbyło się jak należy.

Konie zatrzymały się o dziesięć kroków poza właściwym miejscem, służący nie mogli otworzyć zaciętych drzwiczek landary. Mama zgubiła *porte-bonheur* i flakonik, a ja wysiadłem z godnością, poprawiając co chwila cylinder, który był

znacznie na mnie za duży i zaszeroki, ale zato lśniący i nieposzlakowanie piękny.

Kuzynka moja znajdowała się po drugiej stronie domu i była „cierpiąca“, jak objaśnił nas kamerdyner, wysoki, z żółtymi faworytami i płaskimi nogami. Zaprowadzono nas więc przez szereg pięknie umeblowanych pokoiów do oszklonej werandy, zastawionej kwiatami i krzewami, pośród których coś bielało w postawie półleżącej.

Lysego kuzynka, a męża „wzorowej“ żony, znałem już podczas jego bytności kilkakrotnej w Krakowie; ale żona jego, spędzająca czas albo na wsi, albo we Lwowie, lub za granicą, była mi prawie nieznaną.

Chciałem się jej przedstawić jaknajkorzystniej — nie w celu podbójczych zamiarów, broń Boże, ale chciałem wzbudzić w niej uczucie szacunku i zająć w tym domu stanowisko dorosłego mężczyzny, to jest istoty, stworzonej do rozkazywania, rządzenia i nudzenia siebie i drugich.

Żałowałem bardzo, iż kuzynka znajduje się w pokrytej dachem werandzie.

Przyzwyczajenie nakazywała mi trzymać lśniący, szeroki cylinder w ręku; byłem przekonany, że ten sam cylinder, umieszczony na mej głowie, nadałby mi dużo podobieństwa do dojrzałego człowieka.

Weszliśmy na próg cieplarni, gdy nagle biała

postać podniosła się i stanęła jak smukły posąg pomiędzy zielenią krzewów.

Ja otworzyłem szeroko oczy i połknąłem ślinę.

Kuzynka wydała mi się jakimś bóstwem nadziemskim, istotą mitologiczną, owinięta masą białej *crêpe de chine* i srebrzystej frendzli.

Złote jej włosy, zebrane wysoko i spięte kilkoma szyldkretowemi szpilkami, mieniły się jak aureola na obrazkach świętych.

Nie, stanowczo to był anioł, z nieba zbiegły na ziemię.

Tylko aniołowie mogą mieć tak przezroczyste, spokojne oczy i białe, delikatne, nieobciążone bransoletami ręce.

Anioł tymczasem wysunął nóżkę, ubraną w bordo aksamitny turecki meszcik, i z wielką gracją rzucił się w objęcia mej mamy, która przy tej sposobności zgubiła drugą *porte bonheur* i pudełeczko z pastykami.

Poczem anioł rzucił się ku mnie, i wyciągając swe białe ręce, wyrzekł harmonijnym głosem:

— Kochany Muniu! przebac, że cię tak będę nazywała, choć już jesteś mężczyzną, ale *entre nous* ujmij ci to nie przynosi. Połóż ten szkaradny kapeluszek i uważaj, że jesteś u siebie!

Dziwna rzecz — nie obrazilem się wcale. Traktowała mnie jak malca, mówiła „Muniu“ jak do

małego dziecka, i, co najważniejsze, nazwała moją lśniący, nowy cylinder „szkaradnym kapeluszem“ — a ja, rzecz dziwna, nie czułem do niej żadnej urazy. Ta kobieta odrazu pochwyciła mnie w swe siła.

Patrzyłem na nią ukradkiem, drżąc cały z wewnętrznego wzruszenia; byłem zmieszany jak żak szkolny, złapany na gorącym uczynku. Gdy zwróciła się do mnie wśród rozmowy, zamiast odpowiadać, bełkotałem niewyraźnie, przeklinając w duszy tę śmiechu wartą lekliwość.

Mama moja była w rozpacz — nigdy nie widziała mnie tak nie na miejscu, jak w tej chwili, ale kuzynka widocznie była innego zdania. Coraz częściej spoglądała na mnie swym marzącym, załzawionym wzrokiem, a około ust jej igrał jakiś nieokreślony uśmieszek.

Gdy tego dnia znalazłem się wreszcie sam w przeznaczonym dla mnie pokoju, — zamiast rozebrać się, jak każdy rozsądny człowiek zrobiłby na moim miejscu, pobiegłem do okna i roztworzyłem je.

Cała dekoracja, potrzebna do opisywania scen miłosnych, była na swoim miejscu. I księżyc lał potoki srebra, z którego zrobiona moneta nie miałaby obiegu w żadnym kraju, — i słowik śpiewał trele, wysławiane przez poetów, ale które, przeniesione na porządny papier muzyczny, a wygrane

przez skrzypka lub flecistę, stanowiłyby rozdzierającą kakofonię, — i topole szumiały „kłoniąc swe wierzchy ku ziemi,“ — i rozmaite inne piękne rzeczy podnosiły ducha i pchały go w krainę niezmiernie fantazji.

A więc i ja, oparty o ramę okna, zacząłem fantazjować bez ładu i składu; jedno tylko widzenie powracało ciągle uparcie przed moje rozmazane oczy.

Widzeniem tem była... kuzynka.

Wiedziałem, że miała lat trzydzieści, bo mama nieraz mi o tem mówiła, ale dla mnie była ona uosobieniem wiosny, a gruby pokład welutyny, pokrywający jej policzki, brałem za dziewiczy puszek, o którym pieją poeci w chwilach wolnych od zbierania reporterskich wiadomości.

Wzrok jej, w którym tlały palące iskry, rozniecił płomyk, drżący na dnie mej duszy, a przygłuszony chwilowo idealnym szczebiotem mych bon Szwajcarek. I ja, który według wniosków mej mamy miałem nosić purpurowy kapelusz, a według wyrachowania mych profesorów miałem zakochać się dopiero po zdaniu matury, straciłem zupełnie głowę i rozkochałem się we „wzorowej“ żonie mego łysego kuzyna.

Czyż mam przytaczać wszystkie objawy tej miłości?

Sądzę, że byłoby to zbyt długie.

Każdy z nas, nie wyłączając nawet najważniejszych członków rad nadzorczych ponadniefunkcjonującymi instytucjami, kochał się zapamiętane w swym młodzieńczym wieku i objawiał tę miłość jak mógł najniezręczniejsz.

A więc i ja nie stanowiłem wyjątku w tej regule.

Od pierwszej chwili, gdy miłość wstąpiła w me serce, miałem ciągle minę złodzieja, schwytanego na gorącym uczynku. Przytem mój służący dostawał początków obłędu z powodu bezustannego przypiekania mych włosów, nadając im pozór baraniego runa.

Kuzynka lubiła miękkie, fałste, wdzięcznie układające się włosy, — zapewne z powodu łysej głowy kochanego przez nią męża.

Od tej chwili maszynka do grzania żelazek płonęła bezustannie jak Znicz w świątyni Perkuna.

Ja zaś chodziłem z pokręconą fryzurą na podobieństwo głowy Gorgony.

Tuzin garniturów, przywiezionych z Krakowa, okazał się niedostatecznym; na usilne moje prośby mama kazała sprowadzić kilka ubrań, z których jedno marynarkowe, w dzikie kostki, przypadło do gustu kuzynce.

Byłem w siódmym niebie. Ale co najdziwniejsze, że miłość moja, którą w pierwszych chwi-

lach uważałem za bezdeń rozpaczy i pozbawioną wszelkich pociech na przyszłość, zdawała się rozciągać przede mną jasne horyzonty wzajemnego uczucia.

Gdy zielonawo-błękitne oczy Muszki odpowiedziały na mój rumieniec długiem, przeciągłem spojrzaniem, doznałem nagłego olśnienia.

Instynktem zgadywałem, co ten wyrok znaczy.

Gdy po raz pierwszy ręce nasze przy podawaniu jakiegoś ilustrowanego dziennika spotkały się, a pani Muszka nie cofała swych różowych paluszków z mej drżącej dłoni, uczulem tak silne bicie serca, że, zerwawszy się nagle, wybiegłem jak szalony do ogrodu.

Przebiegłem szybko kilka alej i upadłem przy ławce, na której zwykła siadywać Muszka, gdy czuła się znużoną dłuższą po ogrodzie przechadzką.

Lkałem jak dziecko, łzy strumieniem płynęły mi z oczu, całowałem zimne kamienie.

Było to głupie, dziecinne, ale jak czyste, jak piękne zarazem!

Kokietka bawiła się mną jak dzieckiem, obdarzając konfiturami, a ja z radości, ze zbyt ku uczucia... płakałem!

Dziś już tyle minęło od tych chwil, tyle razy to dziwaczne rozdrażnienie nerwów, które ludzie zwą miłością, ogarniało mnie całego; a przecież... przecież te łzy stoją mi ciągle w pamięci i z uśmie-



chem zwracam się ku temu chłopięcemu wspomnieniu, ale nie z uśmiechem ironji i sarkazmu.

Nie! ja poprostu żałuję, że teraz tak kochać nie umiem.

Muszka niewiele potrzebowała zachodu, aby ze mnie uczynić szaleńca, i jeden jej uśmiech, skinienie głowy, szelest jej sukni, woń perfum upajały mnie i odbierały spokój na dnie i noce całe.

Żyłem rozgorączkowany, z głową wiecznie płonąca, ciągle drżący, z gardłem ściśniętem, z oczyma łez pełnemi.

Ona najdokładniej wiedziała, co się ze mną działo. Obserwowała mnie często godzinami całemi, w pół leżąc na fotelu, owinięta w białe jedwabie. Czasem prawie z okrucieństwem ciągnęła ze mnie indagację co do stanu mego serca, uśmiechając się przytem w nieokreślony sposób.

Zmieszanie moje i rozpaczliwe wysiłki, aby wybrnąć z tej matni, bawiły ją serdecznie. Ze zmiennością kameleona stawała się znów słodką i dobrą, a zmiana ta przychodziła nagle, bez żadnego widocznego powodu. Przystawała się uśmiechać, patrzyła tylko na mnie z poza w pół przykniętych powiek, a szafir jej oczu ciemniał pośród złotawej frendzli rzęs.

Mnie wzrok ten wprowadzał w stan nadzwyczajny — dreszcz przebiegał po mnie w okolicy

serca... przytomność odbiegała, byłem bliski zemdenia.

Ale ona siedziała ciągle nieporuszona, biała, piękna, jakby uosobienie kobiecego wdzięku; ciemne liście roślin tworzyły koronę nad jej głową, a promienie słońca, przedzierające się przez szyby, rozścielały się na podłodze nakształt złotem przytłoczonego kobierca.

Gorąco i duszno było mi wtedy, a przecież te chwile były później przedmiotem mych nocnych rozmyślań i marzeń.

Męża Muszki nienawidziłem teraz z całej głębi duszy.

Ten wielki, łysy mężczyzna, którego dawniej uwielbiałem za wspaniały wzrost i imponujący apetyt, wydawał mi się teraz tyranem mej omdlewającej kuzynki. Przy tej eterycznej istocie, tak białej, delikatnej i wonnej, niezgrabny mąż miał pozór niedźwiedzia obok białej gołębiczy.

W mej rozbującej imaginacji stworzyłem sobie cały dramat, rozwiązaniem którego było właśnie małżeństwo z moim kuzynem.

Wyobrażałem sobie ją niewinną dziewczynką, w króciuchnej sukience, zaręczoną przemocą z tym łysym potworem, a później.. później wleczoną w ślubnej sukni, z wiankiem mirtowym na skroni, przed ołtarz, gdzie czekał znieprawiony przez nią małżonek.

Lzy mi stanęły w oczach, gdym o tej chwili pomyślał; żałowałem, że mnie tam nie było, aby obronić od gwałtu mą ukochaną.

Okropne więc rozczarowanie ogarnęło mnie, gdy posłyszałem raz, jak kuzyn moj, śmiejąc się serdecznie, opowiadał szeroko o tych szczęśliwych chwilach, gdy Muszka była jego narzeczoną.

— Szalała za mną, sama przyspieszała dzień naszego ślubu. *Elle m'adorait!* — dodawał, pochłaniając całe stopy salami z bekasów.

Matka moja, słuchając tego opowiadania, uśmiechała się uprzejmie, a kuzynka Muszka siedziała nieruchoma, patrząc na mnie z poza długich rzęs franki.

Tak stały rzeczy w trzy tygodnie po przybyciu mojem do Rajówka. Mama była szczerze zmartwiona, — zamiast nabrać jeszcze więcej rumieńców, zbladłem i zmizerniałem bardzo.

Cóż dziwnego?

Miałem lat siedemnaście i... kochałem się platonicznie.

Zapomocą tysiąca wybiegów dostałem wstążkę, którą moja kuzynka związywała na noc włosy. Była to błękitna, morowa, szeroka wstążka, woniejąca cała zapachem, właściwym tylko blond włosom. Upajałem się tą wonią godzinami całemi, zasypiałem z tą wstążką, owiniętą dokoła mej szyi, we dnie nosiłem ją... na sercu.

Cóż dziwnego? Miałem lat siedemnaście.

Pewnego dnia kuzynka Muszka zasnęła, siedząc w swym fotelu, pośród wielkich palmowych roślin. Wszedłszy z mamą do werandy, chciałem się usunąć, aby nie przerywać spoczynku mej kuzynki, ale mama wpadła na genialny pomysł. Kazała mi wziąć do ręki gałązkę i oganiać natrętnie muchy, które mogą swej imiennicze sen przerwać.

Usluchałem mamy, drząc z radości, i stanąłem obok kuzynki z długą gałązką w rękę. Patrzyłem na nią uśpioną, cichą, oddychającą lekko jak małe dziecko w kołysce. Długie rzęsy rzucały cień na jej za różowione policzki, kręcone złote włosy drżały dokoła skroni.

Pod cienką błękitną tkaniną sukni rysowały się doskonale kształty, pełne harmonji i wdzięku. Były to pięć zmysłów Makarta, złączone w jednej istocie, — delikatna cera blondynki z gorącą barwą rudowłosej piękności, smukłość dziewczyny z dojrzałością kobiety.

Mama usunęła się dyskretnie w zacieniony kąć werandy — i mam wszelkie dane ku temu, że spać zaczęła.

Byliśmy więc prawie sami, odsobnieni wpośród tych zielonych palm i purpurowych kaktusów, które z pomiędzy kolców czerwieniły się jak gwiazdy szkarłatne.

Muszka spała ciągle, tylko kąćki jej ust roz-

chyliły się nieco, — zdawało się, że jakiś uśmiezek drga w tych kącikach ukryty.

Doznałem dziwnej pokusy, chciałem ją pocałować... pocałować w szyję...

Ten biały atlas kobiecej skóry ciągnął mnie ku sobie z niezmierną siłą. Próbowalem myśleć o czym innym, lecz oczy uparcie śledziły ten jasny kącik pomiędzy uszkiem i wysokim kołnierzem sukni, wargi same się układały do pocałunku.

Ale nie! to być nie mogło!

Wszakże ona jest zamężną, kobietą „wzorową“ — i gotowa skarcić zuchwalca i wypędzić go na zawsze z przed swego oblicza...

Ta walka wyczerpywała me siły. Pot zrosił mi czoło. Kurczowo chwyciłem się poręczy fotela, gałazka wypadła z mej dłoni.

I stałem tak długo, patrząc ciągle na uśpioną kobietę, po której twarzy przemykały się jakieś nerwowe drgania, coś nakształt... zniecierpliwienia.

Ale przez moją studencką mózgownicę nie przesuwiała się nawet myśl, że „wzorową“ kuzynkę niecierpliwi moja nieśmiałość.

Trwało to długą chwilę, aż wreszcie Muszka otworzyła oczy, i nie zmieniając pozycji, patrzyła na mnie z pogardliwym uśmiechem. Czulem, że popełniłem jakąś niedorzeczność, ale nie wiedziałem, o co mnie obwinia moja nadobna kuzynka.

Sądziłem, że gniewa ją przerwanie jej spoczynku. Uczulem potrzebę wytłumaczenia się.

— Tyle much... — wybelkotałem — kuzynkę ugryźć mogły... wreszcie... mama kazała...

Jakałem się, przestępując z nogi na nogę, ale ona przestała się uśmiechać, wzruszyła tylko pogardliwie ramionami i powstała nagle z fotela.

Zarysowała się przede mną smukła, wyniosła, przewyższając mnie nawet wzrostem o jakie ćwierć głowy.

— Nudny jesteś, Muniu! — wyrzekła wreszcie, przeciągając się jak odalska — nudny i... śmieszny!

Wyrzekłszy te słowa, postąpiła majestatycznie naprzód i za chwilę znikła mi z przed oczu.

Pozostałem sam z głuchą rozpaczą w sercu  
Nudny i... śmieszny!

Ja, który chciałem się jej wydać jak uosobie-  
nie doskonałości, byłem nudny i... śmieszny.  
Dlaczego?

Cóż popełniłem tak śmiesznego, aby na tę  
nazwę zasłużyć? Wszakże dziś jeszcze przy śnia-  
daniu, gdy wchodziła do jadalnej sali, pierwsze  
jej spojrzenie było dla mnie, a uścisk ręki, którym  
mnie obdarzyła, nie był ten, jakim się obdarza  
„śmiesznego“ człowieka.

Śmieszność tę więc popełniłem przed chwilą,  
ale w jaki sposób?

Osunąłem się na mały taborecik, na którym przed chwilą spoczywała jej nóżka, i pogrzyłem się w zadumie.

Mama ciągle drzemała w jakimś wielkim fotelu trzcinowym, ustawionym pod kępą wspaniałych karłowatych palm.

Powoli rozjaśniło mi się w głowie.

Kuzynka nigdy nie uskarżała się na moje towarzystwo. Owszem, lubiła bardzo, gdyśmy się zeszli gdzieś w kąciku pomiędzy dwiema ścianami i mnóstwem gratów i portjer. Tylko nie mówiła nic prawie, miała minę jakąś... wyczekującą. Zdawało się, że spodziewa się z mej strony czegoś nadzwyczajnego... czegoś, za coby się wcale nie pogniewała. Teraz, gdy sobie przypomnę tę minę, widzę, jak mało „wzorową“ była ona!

Więc dlatego nazwała mnie nudnym, że prosto oganiałem muchy, podczas gdy mogłem napół śpiącej ukraść jeden pocałunek... może dwa... może więcej.

Na samą myśl tę płonąłem cały jak świeca.

Ale mąż jej! mój kuzyn! człowiek, pod którego dachem znajdowałem gościnność? Miałem dopuścić się względem niego najstraszniejszego z występków i rozzerwać ten związek, napozór tak dobrany?

Zdawało mi się w tej chwili, że jestem bohaterem jakiegoś salonowego dramatu. Gdy po-

wstałem z podnóżka, zdawało mi się, że urosłem przynajmniej na pół łokcia.

I podniosłem się, umyślnie przesadzając przeciwności, marząc o pojedynkach, ucieczce i wspólnym pożyciu nad brzegami Tybru.

Byłem zdecydowany na wszystko, nawet na śmierć, byle tylko kochać... kochać... i być nawzajem kochanym.

Nie przypuszczałem wówczas, iż są kobiety, które, nie zadowolniając się miłością męża, rozrzucają na prawo i lewo uśmiechy, z którymi serce niewiele ma wspólnego. Cóż dziwnego! miałem lat siedemnaście!

\* \* \*

Tego dnia przy obiedzie mój kuzyn rozpoczął nagle z moją matką rozmowę o kierunku mego wykształcenia. Siedziałem jak na mękach, słuchając, że mnie traktowano jeszcze jak małego chłopca, który szkół nie skończył, a nawet nie posiada kwalifikacji do ukończenia ich kiedykolwiek. Mama broniła mnie zawzięcie, ale kuzyn ze złośliwym uśmiechem twierdził, że nie przebrnę nigdy trudności matury.

— Tego rodzaju dzieci, jak twój Munio, nie lubią greki i łaciny, *et vous allez voir*, iż matura będzie dlań trudnym orzeszkiem do zgryzienia.

Mówiąc to, uśmiechał się ironicznie, patrząc

na mnie z wielkiem lekceważeniem. Zdawało mi się wtedy, iż odkrywszy moje uczucia, pragnął mnie upokorzyć w oczach mego ideału. Ona zaś siedziała spokojna, poważna, trochę jakby znużona dyskusją, którą prowadzono. Patrzyła na mnie także, ale nie w ten sposób, jakby badała, czy przejdę maturę. We wzroku jej było pewne badanie, wątplię jednak, czy się odnosiło do greki i łaciny.

Znienawidziłem w tej chwili mego kuzyna, wszystkie skrupuły zniknęły nagle z mego serca, postanowiłem zemścić się, pokazać, co może „dziecko“: zniszczyć jego spokój, zburzyć domowe ognisko, słowem wydrzeć mu... żonę.

Gdyśmy wstawali od stołu, drżałem z niecierpliwości, aby znaleźć się sam na sam z kuzynką.

Dziwna energja owładnęła mną całym, podrażniona miłość własna grała tu główną rolę.

Niedługo potrzebowałem czekać na odpowiednią sposobność. Po obiedzie, który, zwyczajem przyjętym na wsi, podano dość wczesnie, bo o godzinie czwartej, mieliśmy odbyć wycieczkę do lasu w celu zbierania... poziomek.

Zaledwie zdążyliśmy wraz z kuzynem wypalić papierosy, gdy do *fumoir*'u zastukano lekko i na progu ukazała się Muszka, ubrana w lekki kostjum z szarego płótna, takiż kapelusz i parasolkę.

Była tak śliczną w tym „żaglowym“ stroju, że patrzyłem na nią przez krótką chwilę jak na cudowny obrazek.

Na rękę trzymała elegancki koszyczek, przystrojony ponsowemi pomponami, z zamykanem wieczkiem, zapewne przeznaczony na poziomki.

— *Eh bien?*... — spytała uśmiechnięta — *et les fraises?* Czyście o nich zapomnieli?

W kwadrans później wchodziliśmy wszyscy czworo do pobliskiego lasu.

Mówię „czworo“, bo służący, idący za nami w przyzwoitej odległości, nie liczył się wcale.

Mama i kuzyn, dostawszy się pod gałęzie sosen, natychmiast usiedli na trawie, deklarując, że dalej iść nie myślą, gdyż czują się „*extenués de fatigue*“.

Służący stanął w przyzwoitem oddaleniu, a ja z kuzynką zapuściliśmy się w głąb lasu.

Dokoła nas sterczały ciemne pnie drzew, wychodzące z masy miękkiego mchu. Podstawy sosen ginęły całe w drobnych, karłowatych krzakach szmaragdowej paproci, jałowcu, komienuchy i liłjowych dzwonek.

Pod szerokimi liśćmi na cieniuchnych łodyżkach czerwieniły się poziomki.

Słońce ukośnie widać rzucało swe promienie, bo tylko gdzieniegdzie na ziemi rozlewały się zło-

ciste plamy, oświecając olbrzymie kopce, po których laziły tysiącami mrówki.

Dokoła cisza wielka, przerywana nawoływaniem pastuchów ze strony wioski lub przeciągłym śmiechem zabląkanej w lesie dziewczyny.

Muszka zdjęła kapelusz i zawiesiła go na wstążkach przez ramię. Szła wolno, nie mówiąc ani słowa, wskazywała mi tylko od czasu do czasu poziomki, rosnące pod krzakami, które zrywałem i kładłem do koszyka.

Powoli ogarnęło mnie jakieś febryczne drżenie. Ta cisza, panująca dokoła, a obok mnie idąca ukochana kobieta, wreszcie spojrzenie jej błękitnych oczów, które zwracała ku mnie, pełne jakiejś nieokreślonej tęsknoty, — wszystko to razem wyprowadziło mnie z granic, które sobie zakreśliłem.

I stałem się nagle brutalnym... ja, dzieciak siedemnastoletni, wobec tej kobiety, o tyle lat starszej, którą do tej chwili uważałem za nietykalną świętość.

Pozwoliłem jej odsunąć się kilka kroków i, schyliwszy się po poziomkę, podałem jej purpurowy owoc, podnosząc rękę aż do jej ust wilgotnych.

Ona stała wyprostowana, w postawie wyciekającej, podając się naprzód tak, że płótno jej stanika wyciągało się jak trykotowa tkanina.

Wargi rozchyliła w ponętym uśmiechu, po-

między dwoma rzędami białych zębów połyskiwał koniec różowego języczka.

Powoli zgniotła zębami poziomkę, czyniąc to, jakby powstrzymywała siłą woli kurecz, zaciskając jej szczękę. Patrzyła na mnie przymrużonemi oczami, a oczy jej mieniły się zielonawym blaskiem...

I wtedy nagle, brutalnie pochwyliłem ją w ramiona, wyciskając na jej ustach gorący, długi pocałunek. Poczulem smak poziomki na mych wargach, a purpurowa zasłona pokryła chwilowo mój wzrok. Ona nie broniła się wcale, owszem, giętka jak kotka, łamała się w mych ramionach, przechylając w tył. Ręce jej owinęły mą szyję, koszyczek upadł na trawę...

Nagle dało się słyszeć wołanie.

Odkoczyliśmy od siebie, — ja drżący cały, zapłoniony jak dziewczyna, ona spokojna już, pewną dłonią zbierająca rozsypane poziomki.

Patrzyłem na nią z podziwieniem, jak zamykała wieczko, nakładała kapelusz i poprawiała długie rękawiczki. Pewnym, donośnym głosem odpowiadała na wołanie męża i gotowała się do powrotu.

Zimna jej krew irytowała mnie.

Widząc, że odchodzi, nie wyrzekłszy do mnie słówka, zlekłem się, czym jej nie obraził.

— Kuzynko! — wyjąknąłem — nie gniewasz się?

Ona stanęła, popatrzyła na mnie krótką chwilkę, wreszcie wzruszyła ramionami i lekki uśmiech okolił jej wargi.

— *Enfant!* — wyszeptała z pewnym odcieniem ironji.

Rzuciłem się ku niej z zapalem.

— A więc! — zawołałem prawie bez tchu — skoro wiesz, jak cię kocham, nie powinniśmy dłużej pozostać w tym domu.

Ona spojrzała na mnie szeroko rozwartemi oczyma.

— Dlaczego? — zapytała naiwnie.

Cofnąłem się kilka kroków.

— Ależ twój mąż!.. — odparłem, sądząc, że tym argumentem przekonam ją zupełnie.

Ale ona, poprawiając grzywkę, uśmiechnęła się ironicznie.

— *Mon mari?* — powtórzyła, akcentując dziwnie ten wyraz — *mon mari!*...

I pokręciła główką w sposób bardzo dwuznaczny.

Czułem, iż prędko tak dobra chwila mi się nie zdarzy; przełamawszy zbytnią nieśmiałość, wyrzylem przed nią cały stan mej duszy i roztoczyłem projekta na przyszłość.

— Uciekniemy! — mówiłem gorączkowo, stojąc o kilka kroków od niej i nie śmiąc zbliżyć się do tej, którą przed chwilą trzymałem w swych

objęciach. — Porzucisz te nienawistne ci więzy, będziemy żyć swobodnie, daleko od ludzi, {zawsze razem, jedno dla drugiego...

Wszystkie przeczytane romanse, tyrady zaśłyszane na scenie, słowa piosenek śpiewanych przy fortepianie, cisnęły mi się teraz na usta. Mówiłem dużo i prędko, jękając się, nie kończąc rozpoczętych frazesów, wykręcając sobie palce konwulsyjnymi ruchami.

Ona zaś spokojna, przymrużając oczy, przypatrywała mi się bezustannie, odcinając się smukłą sylwetką na tle drzew.

Powoli przecież poruszyła się, zabierając się znów do odejścia.

— *Enfant!* — powtórzyła raz jeszcze i znikła wśród drzew.

Jeszcze chwilę widziałem, jak szarzała pośród czarnych pni, tak smukła jak sosny, otaczające ją dokoła; chwilę słyszałem suchy szmer gałęzi, łamanych jej stopami — poczem umilkło wszystko.

Powoli osunąłem się na mech i rozmyślać zacząłem.

Była to pierwsza kobieta, którą kochałem i która, według mego pojęcia, mnie kochała. Wszystko stało się jak opisują noweliści lub nowelistki, obecnie musiała nastąpić ucieczka z wszelkimi do tego nieodzownymi akcesorjami. Głównym czynnikiem

były naturalnie... pieniądze. Niewiele ich było potrzeba, ale zawsze były nieodzowne.

Ja nie posiadałem nic, prócz wielu garniturów, kilku par spinek, szpilek i rozmaitych innych części garderoby, niewątpliwie *très chic*, ale na podróż do Włoch niedostatecznych. Jeśli jednak ja nic nie miałem, mama moja miała wiele.

Tak, rzecz postanowiona! Skoro się uspokoję, pomówię z matką, upadnę jej do nóg, wyświadczam się ze wszystkiego, a ona, jak mi wybaczała przez lat siedemnaście, wybaczy i ten błąd i zrozumie całą ważność sytuacji.

Wahać się nawet nie będzie, gdy jej powiem, że zamiast zdawać maturę, jechać muszę do Włoch z kuzynką Muszką, aby tam osłodzić nieszczęśliwej wyrzuty sumienia, jakimi dręczoną napewno będzie.

Honor mój nakazywał mi ten święty obowiązek. Serce mamy odczuje ogrom mego przywiązania — i nie tylko że się sprzeciwić nie będzie, ale prawdopodobnie dopomoże.

Oparłem głowę o pień ściętej sosny i zamknąłem oczy.

Odtwarzałem sobie chwilę minioną, gdy gorące usta kuzynki mej spoczęły na mych ustach, i zdawało mi się, że czuję jeszcze smak i zapach poziomki, którą na jej wargach spotkałem.

Doznałem jakiegoś ściśnienia serca, łązy mi

napłynęły do oczów i upadły na rozpalone policzki...

Byłem szczęśliwy i nieszczęśliwy zarazem!

Słońce już dawno zaszło, gdy ocknąłem się z tej zadumy. Ciemne cienie owijały szarawą plachtę pnie drzew, od strony wsi wszelkie głosy ustały, cisza była dokoła.

Powstałem i powoli zwróciłem się ku pałacowi.

Matka moja, Muszka i mąż jej musieli oddawna powrócić do domu. Kuzynka wytłumaczyła im pewnie, że pragnę jeszcze w lesie pozostać, poszli więc, nie troszcząc się o fantastyka.

Byłem jej wdzięczny za to.

Wymówiłem się od herbaty zmyślonym bólem głowy i pobiegłem zamknąć się w moim pokoju.

Otworzyłem okno i wychyliłem głowę.

Tuż pode mną znajdował się taras, na którym zazwyczaj wieczorem pijano herbatę. Markiza podniesiona dozwalała mi widzieć dokładnie moją ubóstwioną, leżącą nawpół w wygodnym fotelu na biegunach, ubraną w ten sam kostjum z żaglowego płótna, który miała na sobie podczas przechadzki.

Matka moja grała w salonie serenadę Bragha, która dziwnie melancholijnie oddziaływała zawsze na moją duszę. Ciche tony fortepjanu płynęły



z otwartych okien i szły ciągle, skarżąc się tęskno, płacząc prawie.

Ja patrzyłem wciąż na tę istotę, pełną powabu i wdzięku, oświetloną jasną smugą światła, płonącego w salonie. I myślałem, że ta złota głowa wkrótce stanie się moją wyłączną własnością... że tam, daleko, ponad falami błękitnej rzeki, siądziemy razem, wpatrzeni w przestrzeń, w której miłość złotemi zgłoskami pisać będzie:

— Zawsze!

Zawsze razem z tą kobietą, która pierwsza ocknęła me serce z dziecinnego spokoju, która pierwsza nauczyła mnie kochać i całować!

A serenada płynęła jak „aniołów śpiew“ i Muszka przechyliła swą głowę tak na poręcz fotelu, że dokładnie mogłem widzieć jej bladą twarzyczkę i przysłonięte powiekami oczy.

Mąż jej siedział opodal, prawie w cieniu, paląc cygaro. Widziałem tylko czerwony, migocący punkt i niekształtną masę jego ciała. Od czasu do czasu przerywał ciszę, rzucając jakieś zapytanie, na które Muszka odpowiadała monosylabami.

Nie słuchałem nawet, co mówili, — tak zapatrzony byłem w kuzynkę i pogrążony we własnych myślach. Nagle imię moje, wymówione dość głośno, zwróciło moją uwagę.

Zadrzałem cały, sądziłem, że przyjdzie do wyjaśnienia między małżonkami, że stanowczą chwila

la wreszcie nadeszła. Słuchałem, gotowy w każdej chwili biec na pomoc mej kuzynce, choćby nawet z narażeniem własnego życia.

— Munio chory? — zapytał mój kuzyn — ten dzieciak ma jakieś dziwne kaprysy. Ciotka go rozpieściła i niedługo *elle en aura des nouvelles...*

Roześmiał się i zagasił cygaro.

— Z oczów mu patrzy — zaczął znowu — niby aniołek niewinny, ale zaręczam, że to jest *une fausse modestie*. Panicz zna świat, może nawet zawiele..

Muszka nieporuszona słuchała w milczeniu słów męża. Wyobrażałem sobie, jak biedaczka musiała cierpieć, słysząc podobne słowa.

— Ciotka popełniła wielki błąd — ciągnął dalej mój kuzyn, — wielką *faute*, której nic i nikt nie naprawi. Powierzyła wychowanie syna rękomb kobiet i zrobiły też z niego *une petite poupée, charmante en effet*, ale mężczyzny dopatrzeć się w nim trudno.

— Oh! — wyrzekła wreszcie moja kuzynka. To „oh“ mówiło wiele.

Czekałem jednak, że po tem nastąpi gorąca obrona człowieka, który, bądź co bądź, był dla niej teraz wszystkim na świecie.

Ale tak się nie stało.

Kuzynka zakołysała się lekko fotelem i tylko serenada jęczała w wieczornej ciszy.

Ale kuzyn mój uparcie powracał do przedmiotu, nie czując, jakie piekło wre w mej piersi, nie wiedząc, że gorącym pragnieniem mojem było porwać przycisk, leżący na biurku, i rzucić w tę lysą głowę, występującą z cienia.

— Jak sądzisz, Muszka? — zapytał — on nie powinien nawet siadać do matury... ani teraz, ani później. Tak mało rozwiniętego chłopca nie widziałem jeszcze nigdy... Prawda, Muszka?...

Srebrny chichot mej kuzynki rozległ się donośnie.

— *Passez l'expression* — wymówiła swym dźwięcznym głosikiem, — ale to... „zakuta“ głował i roześmieli się oboje.

Mnie nagle zdało się, że mi ktoś zamiast serca włożył bryłę lodu w piersi.

Zakuta głował...

I to wymówiły jej usta! te usta, które przed chwilą uczyły mnie całować i odbierać dawane pocałunki.

I nagle ujrzałem zniszczone wszystkie moje marzenia, słodkie sam-na-sam nad brzegiem włoskiej rzeki rozprysło się jak bańka mydlana pod wpływem tych dwóch słówek.

Zrozumiałem teraz jej ironiczne spojrzenia i ten nieporównany uśmiech, którym mnie pożegnała pod cieniem sosen. Podczas gdy ona była dla mnie światem całym, bóstwem, uosobio-

ną doskonałością, ja byłem dla niej śmiesznym dzieciakiem... z zakutą głową!

Ale dlaczegoż pozwoliła mi na te i szczoty, pocałunki, których wspomnienie sprawiało mi dotkliwą boleść w tej chwili?

W mojem siedemnastoletniem niedoświadczeniu nie mogłem zrozumieć, że często trzydziestoletnie żony łysych mężów lubią podczas willegjatury „zakute głowy“ i zbieranie... poziomek.

Później zrozumiałem wiele innych rzeczy, które, według pojęć ludzkich, są drobnymi słabostkami, zdobiacami piękne kobiety, i zamiast czynić uszczerbek, dodają tylko wdzięku tym idealom, obsypanym welutyną.

Są to rzeczy, zdarzające się często, prawie tak często jak zmiany sukien, w które się stroi elegantka u wód miejscowych lub zagranicznych, i nie zwracają niczyjej uwagi, nie rozdierają serc, chyba u mężczyzn, których głowa jest... zakutą.

Ja miałem taką głowę, nic więc dziwnego, że cierpiałem.

Usunąłem się w głąb pokoju, aby nie słyszeć, nie widzieć ich więcej... w niespełna sześć godzin nauczyłem się wielbić i nienawidzić kobiety.

Była to pierwsza lekcja, którą mi dawało życie — matura, od której wstałem z patentem na dojrzałego człowieka.

Na dole umilkły dźwięki fortepjanu, ucichły

głosy mego kuzyna i jego żony, wszyscy rozeszli się do swych apartamentów, nastąpiła głucha cisza, ta senna nocy kochanka.

Ja leżałem na sofce, z głową ukrytą w miękkie poduszki, gryząc ręce w przystępie szału, drąc swe ubranie; zdawało mi się, że dokoła mnie jest tylko ciemna, wielka przestrzeń, po której błąkać się odtąd będę aż do śmierci.

Świt zastał mnie jeszcze w tej pozycji.

Szare światło dnia zaczęło wpływać triumfalnie do wnętrza pokoju.

Oderwałem głowę od poduszek.

Przez okno ujrzałem szary szmat nieba, na którym zarysowywały się zwolna złociste zygzyki. Świeży powiew porannego wiatru dopływał aż do mnie, chłodząc mą twarz rozpaloną. I razem z tem wspaniałem słońcem, którego blask oświecał powoli wszystko, co się ze snu budziło, i w moje serce wstępowało uspokojenie, lzy zasychały w mych oczach, kurcz, który dławiał mi gardło, usuwał się powoli.

Patrzyłem na blaski słoneczne i począłem ze zmiennością, właściwą dzieciom, uśmiechać się do życia. Spokój, panujący dokoła, i uśmiech wschodzącego ranka, jeśli nie zacierał w mem sercu doznanej goryczy, łagodził ją i uspokajał obietnicą nowych, choć uludnych rozkoszy.

Powstałem wreszcie i pierwszym mym krokiem było podejście do lustra.

Wychowany wśród kobiet, miałem wiele kobiecości w sobie — nawet w nieszczęściu troszczyłem się jak one o zmianę, którą noc bezsenna wywołuje na ich twarzyczkach.

Po chwili siedziałem przed tualetą, obmyty ze śladu łez; zapach wód tualetowych unosił się w pokoju, a żelazko do przypiekania włosów grzało się do czerwoności na maszynie spirytusowej.

Ja sam zaś z dziwną zaciętością i uśmiechem złowieszczym powtarzałem, układając nerwowo swoje pilniczki, grzebyczki, szczoteczki:

— „Zakuta głowa!...“ poczekaj!... poczekaj!...

\* \* \*

Tego dnia zeszedłem do śniadania punktualnie i uprzejmym uśmiechem powitałem kuzynów. Jakkolwiek ręce mi drżały tak silnie, że nie mogłem pochwycić szczypekami cukru, udawałem o ile możliwości pewność siebie i wysoką dezinwolture.

Usiadłem obok Muszki, nie mogąc wprawdzie przemóc na sobie spojrzenia jej prosto w oczy. Odpowiadałem na banalne jej słowa, rzucając ukradkiem na nią spojrzenia.

Rzecz dziwna! Wydała mi się dnia tego znacznie starszą. Dokoła oczów zarysowały się niešťeśliwe zmarszczki, znane kobietom pod straszniejszą nazwą *pattes d'oie* (gęsie łapki). Cera jej twarzy miała liljowy odcień, piękny bezwątpienia w „Świecznikach chrześcijaństwa“, ale nie na miejscu na twarzy żyjącej istoty. Włosy, te urocze, jasne włosy, spalone żelazkiem, umiejętnie rozburzone, odkrywały gdzieniegdzie białą skórę, tworząc wcale niepowabną fryzurę. Wysoki kołnierz ponsowej *matinée* osłaniał starannie szyję, której zżółkły pasek odcinał się od liljowych policzków.

Z dziwną przyjemnością rozbierałem te braki, przemawiające na niekorzyść ideału. Im więcej ich odkrywałem, tem szczęśliwszym się czułem, znając swą wrażliwą naturę.

Byłem na drodze do uleczenia z tak źle przyjętej miłości — i jak chory na ból zębów czuje pewną rozkosz w chwili bolesnego wyrwania dokuczliwego zęba, tak i ja liczyłem kreseczki na twarzy mej kuzynki i dziwiłem się chudości rąk, które niedawno były dla mnie rękami anioła.

Kuzynka moja nie zmieniła względem mnie swego obejścia. Rzuciła mi ciągle palące spojrzenia, palce jej, niby bezwiednie, szukały mej ręki. Mówiąc o wczorajszej wycieczce, uśmiechała się nawet, przechylając w tył głowę.

Ja czułem, jak się rumienię, jak policzki mi

ploną pod spojrzeniami mego kuzyna; znenawidziłem prawie Muszkę za ten dziwny rodzaj brawury, z jaką igrała, wspominając o wczorajszej wycieczce.

— Dziś pójdziemy także na poziomki — wyrzekła wreszcie z uśmiechem, — smakują mi te tylko, które sama zerwę.

Mówiła to wolno, bez cienia zmieszania w głosie.

— Jak chcesz — odparł mój kuzyn, — tylko dziś Zdzisiowie przyjeżdżają.

— A więc pójdziemy wszyscy razem. Jestem przekonana, że Helenka także adoruje poziomki...

Wstaliśmy od stołu i szybko wymknąłem się do ogrodu.

Zwykle o tym czasie kuzynka odbywała długie konferencje z chórem panien służebnych; niekiedy i ja, jako niewinne dziecię, bywałem dopuszczany do buduaru mej ubóstwianej.

Naturalnie, że nawet wtedy Muszka miała liljowy odcień twarzy i peniuar z wysokim kołnierzem. Niemniej przeto wprowadzały mnie te chwile w rodzaj ekstazy i upojenia bez granic.

Dziś jednak, nie zwracając uwagi na dość dobitne znaki mej kuzynki, poszedłem do ogrodu, dumny ze swej stałości i niezwycciónego męstwa.

W ogrodzie siedziałem długie godziny, napuszony, czerwony, z rękami założonemi na piersiach na wzór Napoleona I-go.

Gdy zadzwoniono na obiad, pobiegłem zmienić tualetę i wszedłem do salonu w chwili, gdy wszyscy procesjonalnie wychodzili z niego.

Dostrzegłem jednak, że Muszka była przystrojona ze szczególną kokieterją w koronkach i bieli i miała minę bardzo niezadowolnionej kobiety.

Oczekiwanie Zdzisiowie przybyli w czasie mego posiedzenia ogrodowego — i obecnie, o ile można najniezgrabniej, uściskałem rękę pani Heleny i powitałem jej męża, małego hrabiego, podpisującego się pod nowelami, nabytymi od wyrobników pióra i zbierającego fałszywe numizmaty gwoli podniesienia dobrobytu w kraju.

Pani Helena miała lata nieokreślone, pięć niezdecydowaną, oczy i włosy niepewnego koloru; jedyną rzeczą dowiedzianą był w niej gust do poziomek.

Od pierwszej chwili, dowiedziawszy się o projektowanej wycieczce, okazała wielką radość, wybierając mnie bez ceremonji za towarzysza i przewodnika wśród lasu.

Skłoniłem się w milczeniu, z radością uważając na twarzy Muszki wysokie rozdrażnienie i niemal złość, którą ukryć usiłowała.

Obiad przeszedł dość wesoło. Nieokreślona pani Helena była nawet dowcipną, jej mąż uosobieniem... naiwności, mój kuzyn rozpromieniony

wybornem *mènu* obiadowem, a moja mama, jak zawsze, uszczęśliwiona z obecności swego jedynaka. Jedna tylko Muszka chmurzyła się ciągle i rzucała ku mnie wyzywające spojrzenia, na które starałem się odpowiedzieć najgłupszym w świecie wzrokiem. Po obiedzie, który trwał dość długo, panie poszły do swoich apartamentów, my na taras wypić tam kawę i likiery.

Po kwadransie ukazały się znów nadobne damy, śmiejąc się i rozmawiając od proga. Muszka znów była owinięta w żaglowe płótno i trzymała w ręku koszyczek z pomponami.

Zeszła ze stopni tarasu i poszła przodem, kołysząc się lekko. Kilkakrotnie odwróciła głowę, jakby chciała się upewnić, czy bardzo się od nas oddaliła. My szliśmy za nią, rozmawiając wesoło, ja zaś specjalnie śledziłem jej postać, przesuwaną się wśród drzew.

Przy wejściu do lasu Muszka zatrzymała się nagle.

— Muniu! — zawołała, nie odwracając głowy.

Grzeczność nakazywała mi pośpieszyć. Za chwilę byłem przy niej.

— Weź ten koszyczek! — wyrzekła szybko, owijając mnie spojrzeniem. — Skoro wejdziemy w las, postaraj się zgubić tę nieznośną Helenkę i przybiegnij na to samo miejsce, gdzie byliśmy wczoraj. Będę czekać na... koszyczek.

Powiedziawszy to, weszła w las i zginęła w zaroślach.

Powróciłem z koszykiem do towarzystwa i zastałem kuzyna, Zdzisia i moją mamę, wygodnie rozłożonych na miękkiej murawie.

Zwłaszcza łysa głowa męża Muszki z lubością spoczywała na mchu, przykrytym cienką chusteczką.

Pani Helena, uniósłszy i tak króciuchną spódnicę kretonowego kostjumu, ukazała niezdecydowanego koloru jedwabne pończochy i wielkie zamilowanie do botaniki, zrywając dzwonki leśne z zachwyconą miną naiwnej pasterki.

Nikt nie troszczył się o Muszkę. Przyzwyczajeni do jej kaprysów, nie zwracali uwagi na to zniknięcie, usprawiedliwione zresztą chęcią obfitego zbioru poziomek.

Ja wszakże postanowiłem wyzyskać tę okoliczność na moją korzyść. Poczułem w sobie dziką chęć zemsty za wczorajszą obelgę. I powtarzałem sobie w duszy: „zakuta głowa!“, „zakuta głowa!“ — podbudzając się w ten sposób i zachęcając do wypełnienia powziętej myśli.

A walczyłem z sobą nie na żarty.

Wyobrażenie moje gwałtem mi przedstawiało smukłą postać mej kuzynki w postawie wyczekującej, z uśmiechem na ustach, z promieniami słońca w złotych włosach...

Ale... „zakuta głowa!...“ „zakuta głowa!...“

Wreszcie zdecydowałem się.

Z niewinną miną, a pomimo to drząc cały, zbliżyłem się do drzemiącego na trawie kuzynka.

— Proszę cię! — zacząłem, dotykając go lekko — kuzynka prosiła, żebym jej zaniósł do lasu koszyczek; ponieważ jednak pani Helena wybrała mnie za swego przewodnika, zechciej mnie ty dziś zastąpić w zbieraniu poziomek z twoją żoną.

Kuzyn podniósł się niedbale i, przecierając oczy, wziął podany przeze mnie koszyczek.

— *En effet* — wyrzekł trochę niecierpliwie, — Muszka ma czasem dziwne pomysły... Czemu nie wzięła koszyczka sama?... Gdzież ją teraz odszukam?

— Ja kuzynkowi wskażę drogę — podchwyciłem uprzejmie. — Pójdziemy z panią Heleną mniej więcej tą drogą i potem my udamy się na lewo, kuzyn na prawo.

Mąż Muszki skrzywił się raz jeszcze, wrzucił ramionami, spojrział na Zdzisia, drzemiącego spokojniej pomiędzy liśćmi paproci, i stęszedł za mną i panią Heleną, która przesuwiała się pomiędzy drzewami.

Byłem teraz zadowolony z dzieła. Wyobrażałem sobie, gdy zamiast mnie...  
sce schadzki

kosz na tę samą myśl i dużo dałbym za to, aby towarzyszyć tej scenie ukryty w cieniu gęstwiny.

Pani Helena jednak wołała mnie za sobą, a mąż Muszki dążył już we wskazanym przeze mnie kierunku. Spojrzałem raz jeszcze w gąszcz leśny i podążyłem za... niezdecydowaną pięknością.

W godzinę później, gdy wyszliśmy z lasu, pani Helena miała pełny koszyczek poziomek, bo ta prawdziwie z całą namiętnością poświęcała się temu... sportowi.

Kuzynka moja siedziała już na pieńku, zachmurzona, rozdrażniona, milcząca.

Widząc nas zbliżających się, zasłoniła się szczerlnie parasolką i niechętnie odpowiadała na pełne entuzjazmu wykrzykniki pani Zdzisławowej.

Kuzyn mój spał na mechu, z twarzą zwróconą ku niebu, z łysiną wspaniale lśniącą. Próżny koszyczek, pognieciony, z obszarpanymi pomponami, leżał u nóg mojej kuzynki.

Pani Helena podeszła do męża i w idyllicznym stroju duszy zdobyła jego rzadkie włosy koroną szpilek Matki Boskiej.

Niedaleko kuzynki, oparty o pień... Patrzyłem na nią i czułem... do śmiechu. Ta sama ci... dokoła, słońce słało... la się zablakana... i zbliżyła

się do mnie. Z zaciętymi ustami, z brwiami gniewnie ściągniętymi, wydała mi się prawie brzydka; stanęła tuż przede mną, spoglądając na mnie ze złością najwyższą.

— Co to było? — wyszeptwała — co to było? Dlaczego mi przysłałeś męża, kiedy wyraźnie ci powiedziałam, że oczekuję na ciebie?... Co to miało znaczyć?

Milczałem chwilę, patrząc teraz prosto w jej zielone oczy.

— Daruj, kuzynko — wyrzekłem wreszcie, — nie zrozumiałem.. mam tak.. „zakulą głowę!“

.....

.....

NAD TRUMIENKA



•••••  
•••••

Jakżeś biały i cichy, aniołku mój jedyny —  
oczy twoje źle przymknięte patrzą na mnie  
z poza długich rzęs, patrzą, a przecież  
nie widzą... Co tobie? co tobie?

Jakże twarde śpisz, dziecino moja, skoro cię  
nawet głos mój zbudzić nie może z uspienia!  
O czym śniesz, jasnowłoso, śniesz tak długo pośród  
nocnej ciszy?

Czy widzisz aniołów chóry? czy kapiesz się  
w jasności promiennej? czy rączką stopą przeby-  
wasz błękitne przestworza?

Odpowiedz! odpowiedz!

Rączki twoje zimne... Daj, pocałunkami je roz-  
grzeję. — Nie! rozgrzać ich niepodobna — mrożą  
mi usta i lodem oddech ścinają te niewinne, dro-  
bne rączketa.

Wczoraj uśmiechałeś się do mnie i z koralow-  
ych ustek twoich wybiegały słowa, które ja je-  
dna zrozumieć byłam w stanie, — dziś milczysz,

niepocziwe dziecko, pomimo że klęczę przy tobie i kraj twej sukienki całuję. Zbudź się i przemów, bo razem z twym głosem zbudzi się dla mnie świat cały, przyszłość moja i to, czem pragnę być wśród ludzi i dla ciebie. Gdy ty milczysz, wszystko dokoła mnie milknie i pogrąża się w przepaść.

Bez ciebie jestem niczem, z tobą będę wszystkim.

\* \* \*

Napróżno!

Ja klęczę i proszę, a tyś nieubłagany!

Gdys wczoraj zasypiał, spojrzales na mnie z boleścią tak wielką... Czy zęgnales się ze mną na długo? Oddychales tak ciężko, pot lał się po twem czole... byles zmęczony, pragnales odpocząć. Odpoczywasz teraz, ja przy tobie czuwam. Ludzie ubrali cię w białą sukienkę i rączki jak do modlitwy złożyli — leżysz na czystem posłaniu, a dokoła twej główki migocą światła. Gdy się obudzisz, będziesz do tych światełek rączki wyciągał.

Odpocznij tylko — wczoraj byles bardzo zmęczony.

Dlaczego jednak jesteś taki blady? czy ci co dolega? powiedział może cierpisz? jam gotowa krwi własnej utoczyć, aby ci ulżyć w twem cierpieniu. Kocham cię nad siebie samą, nad życie, nad sławę moją... powiedz, czem ci dopomóc mogę?

Ja — matka — nie zawaham się przed żadnem poświęceniem.

\* \* \*

Gdybyś ty wiedział, jak mnie jesteś drogi, gdybyś zrozumiał, czem jest twa drobna istotka w mem samotnem życiu, przebudziłbyś się wreszcie z tego snu kamiennego, który ci pieczęć milczenia na ustach położył.

Aniołem białym tyś mi spłynął z nieba w godzinie niedoli, oczęta twe łzawe zaświeciły mi gwiazd promieniem wśród ciemnej otchłani.

Byłam nieszczęśliwą, biedną, opuszczoną przez Boga i ludzi. Tyś wszedł na próg mego poddasza i stałam się nagle szczęśliwą, bogatą, dumną i miłości pełną. Nić mego życia snuła się bezbarwnie, tyś wplótł w tę przędzę złote pasemko, złożone z uśmiechów i szczebiotu twego.

Byłam grzesznicą, odepchniętą od krutek konfesjonau, Bóg przecież przebaczył mi winę i na znak pojednania zesłał w me objęcia jednego z aniołów, który mi przyniósł ze sobą radość i wesele.

Stokroć razy bądź błogosławionym! Cierpiałam bardzo w mem życiu, ale dziś mi nic nie dolega... Czyż Bóg może trwać jeszcze w swym gniewie, zsyłając mi ciebie, ty mój jedyny?

Jam już rozgrzeszona!

Ksiądz nie chciał przyjść cię ochrzcić do domu — byłeś dziecięciem... nieprawem.

Do takich dzieci księża nie chodzą. Byłeś chory i wątły — ochrzcić cię pragnęłam.

W mroźny marcowy poranek zaniosłam cię do kościoła. Dano ci imię ojca, a nazwisko moje. Zimno było w kościele, ale ty leżałeś cichutko, drząc na całym ciele. Patrzyłeś tylko na mnie, gdy mówiłam, że ojciec twój „nieznany“

O! znałam go przecież zanadto dobrze, lecz widzisz, dziecino, czasem ojcowie pozostają dla dzieci „nieznany“.

A przecież twój ojciec i ty jesteście tak do siebie podobni. Te same wielkie, zalzawione oczy, ten sam łagodny uśmiech, to pełne wyrazu spojrzenie. — Kochałam go prawie tak jak ciebie. Gdy mnie porzucił... szalałam!

Tys się urodził — i ból i tęsknota znikła. Mam ciebie i ty mi wystarczasz.

\* \* \*

Gdy podrośniesz, pokażę ci fotografię ojca. i opowiem, kim jest w istocie. — Wychowam cię przecież sama, bez niczyjej pomocy — i całe skarby wiedzy, zdobytej przez innych, wleję w twoją duszę. — Gdy ci się świat rozjaśni, poprobujesz skrzydeł. Może jak orzeł wzbijesz się wysoko i hymn triumfalny zanucisz. Może będziesz poetą,

artystą, może w twym sercu zbudzi się jakaś pieśń pełna czaru, którą zdziwionym tłumom dzwonić będziesz.

Możesz ty geniuszem, zrodzonym do wielkich czynów, może na twych barkach spocznie przyszłość kraju.

O! synul synul...

Patrz! ja płaczę. Ale to łzy radości, to słodkie łzy płyną po mej twarzy. I widzę twe czoło uwieńczone wawrzynem, widzę cię ponad tłumem maluczkich, pięknego ciałem i potężnego duchem. Płonę cała z zachwytu! wyciągam ku tobie me dłonie i wołam:

— „Jam matka twoja!“

\* \* \*

Tak! tys jedyną miłością moją i chlubą w przyszłości. — Gdy ciebie wielkim i szczęśliwym zobaczę, umrę spokojna, bo zadanie me spełnione. Zapomnę o przebytej niedoli, z ran nie pozostanie śladu. — Uśmiech twój, sława twoja wynagrodzą mi boleść przeszłości. I padnę przed Bogiem w pokorze najwyższej, dziękując za szczęście, które jest mym udziałem. — Tys powstał z mych łez i smutku, dlatego musisz mieć serce tkliwe

i na lzy wrażliwe. Ty ukochasz ludzi, boś przed przyjsciem na świat czuł niedolę ludzką i wiedział, ile nędzy to słońko ogrzewa! I będziesz dla ludzi dobrym i pełnym wielkiego miłosierdzia, a każda niedola znajdzie oddźwięk w twej duszy. Ty będziesz „człowiekiem,” boś zrodzon w niedoli i cierpieniu...

\* \* \*

Cóż to znaczy?

Dlaczego światło tych świec nagle blednie, a do pokoju wkrada się zmrok szary a przecież tak wyraźny?...

To światło to dzionek zagląda przez szyby i chce cię zbudzić, śpioszku niepocziwy!

Ale co to? Na czem ty spoczywasz?... dlaczego te całuny?... dlaczego ten krucyfiks, wyciągający ramiona ponad twoją główkę?... Dziecko me! synu! przebudź się, odpowiedz!

Ty milczysz?

Kirem kryją tylko umarłych.. byłżebyś i ty?...

Ach, nie! to byłoby zawiele. Bóg jest przecież w niebie i jest pełnym miłosierdzia.

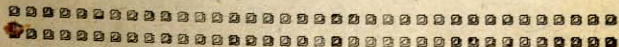
A jednak tak jest! — widzę teraz jasno — dzień oświeca już wszystko, i twoją główkę i trumienkę, w której spoczywasz...

Gdyś wczoraj zasypiał, tyś szedł w dal ciemną po to, aby nie wrócić już nigdy. Czuwałam przy tobie — myślałam, że śpisz!

Ty śpisz, ale wiecznym snem.

Nie widzisz już nic i nikogo, nawet twej matki, która pochylona kona z boleści nad twą trumienką!

O! synu! synu! ..



PRINCESSA

SYLWETKA



obszarpaną spódniczką rysowały się kształtne linie jej nóżek suchych, nerwowych jak u arabskiej klaczy.

Od tej brudnej, zbiedzonej dziewczyny wiała jakaś dystynkcja, to coś nieujętego, co mają w sobie dzieci, zrodzone z rodziców sfer wyższych. Owal jej twarzy był tak foremny, że artysta-rzeźbiarz nie zdobyłby się na nic doskonalszego. Czaszkę pokrywała masa ciemno-blond włosów, formalna kędzierzawa kaskada, cienka, jedwabista, spadająca na czoło w formie gęstej grzywy i zakrywająca połowę pleców wspaniałymi zwojami poskręcanych pierścieni. Olbrzymie oczy turkusowe, mieniające się w szafir, migotały z pod długich rzęs ciemnych i zmieniały co chwilę barwę i wyraz.

Nosek prosty, z rozdętymi, delikatnymi jak konchy nozdrzami, usteczka maluchne, purpurowe, dołeczki na policzkach, na bródce, uszka różowe jak dwa płatki kwiatów... słowem, cała skończona piękność drobnej kobietki — kobiety w miniaturze — gromadziła się w tem obszarpanem dziecku, które, patrząc na mnie swemi cudnymi oczami, pytało cichym, srebrnym głosem:

— Czy wielmożna pani czego żąda? ja przyniosę.

Dziecko to było piękne, uderzało, przykuwało do siebie na pierwszy rzut oka.

Ale piorunującego tego wrażenia nie wywo-

ływała ani czystość rysów, ani wspaniałe bogactwo włosów, ani ta postać drobniuchna a tak foremna, tak w nierozwinięciu swem już wykończona, ponętna.

Główny urok stanowiła tu rzecz od piękności zupełnie odrębna.

Rasa!

Tak jest, ta dziewczynka była bezwątpienia najdoskonalej rasową kobietą.

Uszy, nosek, ręce, spadek ramion, lydka, stopa, wszystko delikatne, nerwowe, śmiało zarysowane, bez tego zawahania się, zboczenia, stłuszczenia lub wydłużenia niepotrzebnego.

I to dziecko zdało mi się rażącą anomalją, gdy zobaczyłam je pierwszy raz w łachmanach, bose, biedne, ofiarowujące się z posługą, żebrzące prawie o jałmużnę.

Położyłam rękę na kształtnej główce dziewczynki i zapytałam o ile mogłam najłagodniej:

— Jak się nazywasz, moje dziecko?

Ona podniosła na mnie swe wielkie turkusy, w których migotały dwa dziwne światelka.

— Princessal!

— Jak?

— Princessal!

Zdziwiłam się niezmiernie.

Princessal — księżniczka...

Byłaby to rzeczywiście jakaś wcielona bajka,

chodząca w biały dzień po dziedzińcu w obszarpanej spódnicy, z rozczochraną głową?

— Nie żartuj — rzekłam, siadając na studni i przyciągając dziecko ku sobie, — musisz przecież się inaczej nazywać. Princessa, to nie imię.

Ale ona uparcie wstrząsnęła głową.

— Nazywam się Princessa! — powtórzyła i zamilkła, wpatrzywszy się uważnie w stalowe błyszczące klamry, spinające mój płaszczyk na ramionach.

Zaczęłam z najwyższą przyjemnością przypatrywać się nawzajem Princessie, tylko oczy moje nie zatrzymywały szczegółów jej ubrania, ale wpatrując się w doskonałą piękność tego dziecka, pytałam sama siebie, jakim cudem tak delikatne formy dostały się w udziale dziecku jakiejś wyrobniczki lub co najwyżej posługaczki.

Ona spokojnie poddawała się memu badaniu, snadź przyzwyczajona do podziwu, jaki budzić musiała.

Gdybym była optymistką, przypuściłabym, że Princessa nie wiedziała jeszcze o niezwykłej potędze swej urody, — ale znając trochę duże i małe kobiety szybko zrozumiałam, że do główki dziecka wdarł się robak próżności.

Powiedziała mi to brudna różowa kokardka, przyczepiona kokieteryjnie pod szyją na kawałku porwanego szpagatu.

Natomiast ujrzałam także brak koszuli, której kokardka w żaden sposób zastąpić nie mogła.

Spalona od słońca skóra przebijała jasnymi plamami wśród fałdów kaftanika i spódnicy. Był to oryginalny strój, zwłaszcza dla istoty, nazywającej się księżniczką i głoszącej tę nazwę z pewnością zadziwiająco.

\* \* \*

Gdy powróciłam do mieszkania, zapytałam sługi mej, Karolki, skąd wzięło się na dziedzińcu to piękne boscie dziecko. Z okien mej sypialni widziałam dziewczynkę, stojącą pod parkanem, zapatrzoną w dal z tęsknotą prawie sierocą.

Karolka, która za punkt honoru uważała sobie znać wszystkie tajemnice, dotyczące lokatorów kamienicy, wyjaśniła mnie w tej samej chwili:

— To córeczka nowego stróża, proszę pani. Mówiłam pani przecież, że Andrzeja pan rządcą odprawił, bo był hałaburdnik wielki, a przyjął nowego stróża. Sprowadził się wczoraj wieczorem razem z żoną i dzieckiem. Musi to być wielka nędza, bo nawet pościeli nie mają, a ona na pijaczkę wygląda.

Kazałam Karolce odejść.

Rozczarowałam się zupełnie.

Córka stróża i baby pijaczki.

Piękność jej była prostym wypadkiem, a na-



zwę Princessa musiał jej ktoś nadać żartem, stosując ją do delikatnej postaci, występującej jak skrawo wśród trywjalnego otoczenia.

W kilka dni później, o szarej godzinie, wsunęła się do mego pokoju jakaś drobna postać, wyciągająca ku mnie rękę.

Ręka ta trzymała cały pęk bzu, którego odurzająca woń napelniła powietrze.

— Może wielmożna pani weźmie trochę bzu? Mamcia zerwała i kazała wielmożnej pani zanieść.

Pomimo zmroku, panującego w pokoju, poznałam natychmiast Princessę i ucieszyłam się temi odwiedzinami.

Widywałam ją dość często — najczęściej koło bramy, opartą o ścianę domu i śledzącą z dziwnym rozmarzeniem przechodzące osoby. Wydawała mi się z każdym dniem piękniejszą i pociągała mnie ku sobie niewytłumaczonym czarem. Wzięłam bez z jej ręki i położyłam na tualecie. Podziękowałam jej serdecznie. Ona wszakże nie odchodziła.

Stała na środku pokoju, rozglądając się uważnie. Nie miała wszakże zdziwienia w swym spojrzeniu, patrzyła na wszystko poważnie, ścigając brwi i zacinając usta. Sądziłam, że pragnie innego wynagrodzenia, niż uprzejme słowo — z szufladki wydostałam trochę drobnej monety i wsypałam jej w półotwarte dłonie.

Ona popatrzyła na mnie, na pieniądze i wyciągnęła znów ku mnie rękę.

— Niech wielmożna pani weźmie te szóstki, proszę!

Zadziwiła mnie bezinteresowność Princessy. Już chciałam nalegać, aby przyjęła słuszną zapłatę za ofiarowane mi kwiatki, ale ona nie dała mi przyjść do słowa.

— Niech wielmożna pani weźmie i schowa, a jak mi pani więcej da, to także proszę schować. U mnie w izbie niema żadnego bezpieczeństwa dla pieniędzy. Mamcia pijaczka, tatuś złodziej, to mnie okradają. U pani będzie bezpieczniej. Wiem, że mnie przecież *taka* pani nie ocygani!

Mówiła wolno, ale nadzwyczaj płynnie i bez zajknięcia.

Wyraz „*taka*“ podkreśliła z ironją nieporównaną.

Mówiąc o „*mamci pijaczce i tacie złodzieju*“, miała wielką pogardę w swym srebrnym głosie.

Poraz wtóry spadłam z obłoków.

Miałam do czynienia ze stworzeniem popsu-tem w atmosferze pijaństwa i złodziejstwa, z istotą wśród nędzy rozwiniętą szybko i sądzącą swych rodziców surowo, bez śladu miłości lub przywiązania. Uznałam więc za stosowne dać Princessie małą nauczki.

— Moje dziecko — zaczęłam, — bardzo źle, że mówisz tak o rodzicach. Pan Bóg nakazał...

— Phil... — przerwała mi pogardliwie Princessa. — Jak mamcia pije, to jest pijaczką, a jak tато dawnego pana na kamfinie okradal, to jest złodziej. To, proszę pani, na to Święty Boże nie pomoże!

Logiczne to było dowodzenie, ani słowa. Zbiło mnie zupełnie z tropu. Milczałam długą chwilę, nie wiedząc, jak przemówić do tego dziwnego dziecka, które mnie coraz więcej zaciekawiać zaczynało.

— Czy chodzisz do szkoły? — zapytałam, zapalając lampę.

Princessa wzruszyła ramionami.

— Ta chodzę, ale nie codzień.

— Dlaczego?

— Bo... bosa jestem, a pani nie lubi bosych i zawsze się za to na mnie gniewa.

Umilkła chwilę, ale potem zaraz sama zaczęła:

— Umieć czytać, pisać i tabliczkę mnożenia... El umiałabym już więcej, gdybym miała trzewiki. Ale gdzie to u nas co mieć można! Mamcia strąbi się jak cztery dziewczki, a tatuś wali ją potem, że pieniądze przechlala. Recht ma, bo to babie na zdrowie nie pójdzie. Ja z tatkiem zawsze trzymam, bo to jeszcze jaki taki człowiek.. Kam-

finę to kradł, ale niech... zawsze mi z tego na ołówkę i radirkę kapnął.

Uśmiechnęła się i odgarnęła włosy, spadające jej na oczy.

— On mi ta musiał ten grajcar dać, bo on mnie zna.. wie, że gdyby mnie ukrzywdził, jabym wszystko panu rządcy wygadała. Ja taka mściwa jestem...

I zacisnąwszy pięść, pogroziła nią w powietrzu, a z pod długich rzes zamigotały dwa niepozyciwe światelka. Była straszną w tej chwili z tą dziwną złością, wykrzywającą jej rysy i błyskającą w spojrzeniu.

Nie odzywałam się wcale.

Zasunawszy się w fotel, w milczeniu obserwo- wałam Princessę. Czułam, że mam przed sobą coś niezwykłego, jakąś duszę niespokojną, rwącą się na strzępy w drobnej, dziecięcej postaci.

Ona przysiadła na dywanie, prawie na środku pokoju, poddając swą piękną głowę pod białe światło lampy, które srebrnymi pasmami w lśniących jej włosach igrało.

— Pan Bóg wie, że na przekorę tego nie robię — zaczęła znowu, — ale gdyby wielmożna pani wiedziała, jak to ciężko na świecie, toby się niczemu nie dziwiła. To w domu mamcia, jak się czasem z nóg zwali, cały kałamarz na szrajbtekę wyleje, pani w klasie za bosa nogi laje,

dzieci śmieją się, że ołówków ani rączki nie mam.. no, czasem człowieka rozpacz weźmie, jakby mnie djabli brali!

W oczach jej zabłyśły Izy, i spłynąwszy po policzkach, zostawiły dwie lśniące brózdki. Dziwnie zmienne było usposobienie tego dziecka — płacz przychodził jej z łatwością wielką.. śmiech już nie tyle.

Musiała więcej w życiu płakać, niż śmiać się.

Rozpacz jej miała w sobie komiczną stronę, bez zaprzeczenia. Ale odrzuciwszy tych „djabłów“ tego „człowieka“, którym się być mieniła, robiła na mnie smutne wrażenie, gdy tak skurczona na dywanie, drobna, chuda, znędziała, opowiadała mi zwykle swe troski i kłopoty.

Była tak słonecznie piękną, delikatną, zda się stworzoną do pieszczot i śmiechu, a mimo to chyliła drobne ramionka pod ciężarem przykrości, jakie odczuwała z dojrzałością przedwczesną.

Widocznie nędza nie hartuje i nie znieczula ludzi.

Na drugi dzień rano wybrałam się sama do Princessy w odwiedzinę. Miałam dużo wolnego czasu, chciałam poznać i zbadać jeszcze bliżej moją nową znajomą.

Izdebka, zajmowana przez rodzinę stróża, składała się z kwadratowej przestrzeni, bardzo ciemnej, bo nieopatrzonej nawet małym okienkiem

Przez otwarte naościę drzwi czerpali mieszkańcy światło i powietrze. Manipulacja podobna wyprawiała na jaw wszystkie czynności, odbywane wewnątrz mieszkania, tak że idąc ku owej izdebce, zobaczyłam odrazu Princessę, siedzącą koło kominka z jakąś podartą książeczką w rękę, i jej „mamię-pijaczkę“, która kręciła się koło przygotowania południowego posiłku. Całą nędzę objęłam jednym rzutem oka, tę nędzę pijacką, która zapowiada się brudem i niechlujnością. Pomimo odrazy, stanęłam na progu izdebki; stróżka zwróciła się ku mnie z uprzejmem powitaniem, ale Princessa nie raczyła nawet podnieść się ze skrzynki, na której siedziała.

Zalawionemi, smutnemi oczami wpatrzyła się w przestrzeń i zdawała się nie spostrzegać mej obecności.

— Cóż to dziś waszej malej? — zapytałam baby, chcąc zacząć z nią rozmowę.

— Chora mi, proszę wielmożnej pani, na nerwy! — brzmiała odpowiedź

Zdziwiłam się niemało.

Obszarpana, brudna baba mówi o „nerwach“! Stanowczo byłam w krainie zagadek. Usiadłam na zydelku przy progu. Stróżka powróciła do komina.

Była to sucha, brzydka baba, pomarszczona, zawiędła i płaska. Miała około lat czterdziestu,

a na jej twarzy pijaństwo wypiętnowało właściwy sobie koloryt. Ręce, któremi przesuwała garnki, drżały jej bezustannie, tak samo i głowa, zawiązana żółtą, dziurawą szmatą.

— Z czegoż to taka choroba przyszła? — zapytałam stróżki.

— Niewiadomo — odpowiedziała; — ja to na takie pańskości nie chorowałam nigdy. Jak kolka zakluje, to się sama wyleczę; ale co innego ona... jej to już musi być z rodu taka chorosć, bo to... Princessa!

Znów Princessa!

— Dlaczego ją tak nazywacie? — badałam babę. — Princessa to znaczy księżniczka.

— Wiem — odparła lakonicznie stróżka.

— Nie trzeba dziecku w głowie przewracać i dawać jej tytułów, które się jej nie należą.

— Co to pani wiel — przerwała mi niecierpliwie baba. — Jak mówię Princessa, to wiem, co gadam; recht mam. Ja ta jej we łbie nie przewrócę. Księżniczka jest i basta!

Zdziwienie moje rosło z każdą chwilą.

— Przecież to wasza córka, a wy nie jesteście księżną!

— Najmiłosierniejszy Boże! skądże znów ja!.. to ona.. tylko ona!..

Nagle urwała.

Spojrzała podejrzliwie na mnie i zaczęła przesuwac garnki i zaglądać do ich wnętrza.

Ja przecież nie ustąpiłam tak łatwo.

Zapomocą guldena pozyskałam „mamusię“ w zupełności.

Porzuciła garnki i zbliżyła się ku mnie. Wtedy odkryła mi całą prawdę.

Princessa nie była jej córką. Wzięła ją na wsi od prostego chłopca, któremu znów dziecko to oddano przed ośmiu laty na wychowanie. Jakiś ukryty dramat wiązał się z tą piękną dziewczyną. Do chaty jednej z okolicznych wiosek przyniesiono w nocy małą, płaczącą dziecinę i zapytano, czy właściciele chaty nie podejmą się wychowania dziecka. Chłopi podjęli się z chęcią zyskowego zarobku. Dziecko było poowijane w cieniuchną bieliznę, do której przypięto banknot stureńskiowy. Bielizna przez nieuwagę była znaczona... mitrą książęcą. Kobieta, oddająca dziewczynkę, mówiła bardzo źle po polsku. Była widocznie Niemką i wyglądała na pannę służącą zamożnego domu. Prosiła, aby dziecko ochrzczono i dano jej imię Katarzyna.

Obiecała przyjście swoje w jaknajkrótszym czasie, i ucałowawszy dziecko, odeszła. Od tej chwili minęło lat pięć.

Po małą Kasiunię nikt się nie zjawił. Rostała na bożej opiece, pomiędzy chlewem i obórką, po-

między świnią i krową. Ksiądz proboszcz, któremu przy chrzcie pokazano znaki, znalezione na bieliznie, zadziwił się mocno, a potem, skłoniwszy nisko przed dzieckiem głowę, ceremonji chrztu dopełnił, a bieliznę, jako dowód ważny, zachować kazał.

Po pięciu latach wszakże chłopci, nie widząc wielkich a spodziewanych korzyści, chętnie pragnęli się pozbyć narzuconego im ciężaru.

Dziecko rosło, piękniało, ale i charakter miało dziwny, samowolę straszną, której się nawet starsi lękali. Gdy stróżka, bawiąca podówczas u krewnych swych na wsi, zobaczyła dziewczynkę, zbudziła się w niej chęć wzięcia ją „za swoją“. Chłopci nie robili wielkich trudności. Z radością pozbyli się dziecka, oddając je na własność bezdziejnej kobiecie razem z bielizną, jedynym majątkiem i legitymacją Kasiuni.

— Ja wielmożnej pani pokażę te szmaty. Ksiądz ten na wsi mówił, że to korona księżęca... to jasno, że Kasiunia moja jest księżęce dziecko. Dlatego my na nią wołamy: Princessa. Stary mój, co jest uczony i familjant, sam ją tak przeważał i to już do niej przyglęło!

Drżąc cała i czepiając się sprzętów, dowlokła się stróżka do kufierka i wydobyla zeń z niemałym trudem kilka kawałków żółtkiego batystu.

Gdy rozwinęłam te gałgany, okazały się szczytkami koszuli kobiecej, strojnej w wstawki i koronki, poszewki, niemniej bogato przybrane prawdziwą walansjenką, i prześcieradła z niezmiernie cienkiego i delikatnego płótna.

Widocznie w chwili zamieszania chwymano co było pod ręką, bez wyboru, i owijano dziecko, aby czempredziej wynieść z domu i w świat rzucić...

Batysty i koronki, zmaltretowane, poszarpane, wyprane w wioskowej strudze ręką prostej chłopki, zachowały przecież rzecz najglówniejszą, bijącą w oczy, mówiącą wiele. Była to... mitra książećca!

Pod nią rozkładał się wspaniały monogram. Dwie cyfry wiły się ze sobą węzowemi sploty. Cyfry te... zamilczeć muszą.

Dodam tylko, iż Kasiunia nosiła imię swej matki.

Mitrę tę, monogram ten, widziałam raz już w zyciu.

Ozdabiała ona drzwiczki przepysznej karety. Przypomniałam sobie to odrazu.

Milczałam przecież, trzymając w ręku cienkie, żółtkłe szmaty, tę całą spuściznę, jaką matka zostawiła dziecku, rzucając je na pastwę losu i niedoli.

Tymczasem stróżka ciągnęła dalej szereg

zwierzeń, poplątanych dziwacznie, przerywanych czkawką pijacką...

Jedno mogłam wyrozumieć ze słów tej kobiety:

Kochała swe przybrane dziecko fanatyczną, bałwochwalczą miłością.

— Nie szturchnęłam jej nigdy, jak pragnę Pana Jezusa przy skonaniu, bo to grzech nad taką pańską sierotą się znęcać. Podzielię się z nią zawsze, czem mam. I nóg studzonych dam jej rano, i wódki, ile zechce; a jak mam grosze, likieru zaraz kupię i na noc wypiję z nią dwa, trzy kieliszki. To Princessal jej się likier należy. Raz kupiłam jej nawet kapelusz z dzyndzynkami i z kremową szarpą. O! tam leży!... niech wielmożna pani spojrzy...

Rzeczywiście — pod bosemi nogami Kasiuni walał się wielki kapelusz formy Bebé, z cieniuchnej białej słomki. Klamra z białych dżetów błyszczała mieniącemi się barwami na tle poszarpanych koronek i wstążek.

Princessa bosą, pokaleczoną nogą przydeptała ten strój i zdawała się nie zwracać nań najmniejszej uwagi.

Patrzyła teraz na żółtkłe szmaty, które trzymałam w ręku, a wzrok jej stał się dziwnie łagodny, mgłą zasunięty prawie.

— Ja bardzo kocham tę dziewczynę — mówiła dalej stróżka, — choć ona mi nieraz sadła za skórę naleje. Wielmożna pani sama się przekona, jaka to czasem djablica. Nie przystępuj, jak ja to opanuje. Chodziłam z nią na Kalwarję i do cyrulika. Ksiądz kazał dać różgą, a cyrulik mówił, że to taka choroba, co ją wielkie panie mają. Nazwał to... nerwy. Mój stary mówił, że jak służył po dworach, to nieraz panie tak chorowały. Tylko, że ona zaraz bije się po głowie, drapie i włosy garściami wrywa. Potem siedzi jak do pochowku i nie rusza się wcale...

Urwała chwilkę i popatrzyła na siedzącą w milczeniu dziewczynę.

— Ona mnie już nieraz gnała z chałupy — zaczęła znowu, — nie może znieść tego, że się trochę napiję. Ot, wielmożna pani wie, jak to w biedzie, to na kawę i mięso nie starczy. Kupię za kilka szóstek wódki i mamy we troje na cały dzień.

Obejrzała się po izdebce.

— Bieda u nas, aż ha! ale to nic. Kiedy sierota w domu, to Bóg opatrzy do śmierci. Ja się ta nie żalę nigdy i od gęby sobie odejmę, a dam jej. Cóż, kiedy wybredna, byle co zjeść nie chce... Ot tak, słodkie a dobre, to zje, chleba nie ukąsi, o bułki płacze... Och, Jezu miłosierny! nieraz to z tego dogadzania choć łeb urwać przyjdzie!...

— Nie dogadajcie jej tak bardzo — wyzrekłam nareszcie, — niech je mięso, mleko; a za te pieniądze, co jej kupujecie cukierki i likier, kupcie jej książkę, albo buciki do szkoły..

Strożka porwała się za głowę.

— Cóż też wielmożna pani gada! — zawołała — cukierek i likier kosztuje szóstkę, może dwie, a książka! a buciki!...

— Tak! — przerwałam — ale spróbujcie przez dwa tygodnie chować te pieniądze.

Nie dała mi dokończyć nawet.

— Ojej! a tożby Kasiunia mi łeb urwała, jak-by swoich miętowych lasek nie miała; przez czytania to i tak urośnie, a przez likieru to się rozchoruje pewnikiem...

Było to tak logiczne dowodzenie, że wołałam nie odzywać się wcale.

Stróżka zbliżyła się tymczasem do komina i porwała garnek z kartoflami, spoglądając bezmyślnie pod pokrywą.

— Żeby ja to wiedziała, gdzie jej matkę znaleźć — mruczała więcej dla siebie, niż dla mnie, — poszłabym sama ze starym i powiedziałabym jej ślicznie dzień dobry, a potem poprosiłabym, żeby dała choć z parę w srybrze dla Kasiuni, nie dla mnie!.. Kupiłabym Princessie łóżko żelazne i lalkę z papendeklu, prawdziwej waniljówki!.. Oj! tak,

tak! Kasiuniu, miałabyś wtedy raj.. Żebym ja tylko wiedziała, gdzie się ta zatracona chowa.

Nagle na dziedzińcu rozległ się głos katarynki.

Czarny, zarośnięty Włoch, grał znaną i oklepaną nutę walca:

„*An der schönen, blauen Donau!*“

Była to odpowiedź na zapytanie stróżki?

Nie wiem, a raczej powiedzieć nie chcę. Wpatrzyłam się znów w mitrę książeczą i monogram, odcinający się purpurową barwą na złotawem tle batystu.

Te martwe znaki milezieniem swem mówiły wielel oskarżały wymowniej, niż prokurator w sali sądowej! świadczyły bez przysięgi! wskazywały występki tam, gdzie pozorna cnota błyszczała.

*An der schönen, blauen Donau!*...

Melodja wciąż płynie i z ciasnego podwórka wybija się pod błękitne niebo — monogram i mitrę ilustruje muzyk. Dziwne zrządzenie losu!..

Nagle do ramienia mego przytuliła się drobna, rozpalona główka.

To Princessa przybliżyła się wolno i, wysuwając rękę, ujęła brudnymi paluszkami batysty.

Chwilę stała w milezieniu, patrząc na powiązane litery.

Potem eichym głosem odcyfrowała je dokładnie, posuwając palcem po wypukłościach haftu.

Spojrzałam na nią ze zdwojoną litością. Była

widocznie chora, drżała cała, rozpalona, z ustami spieczonemi gorączką. Zdała mi się delikatną, cieplarnianą rośliną, przesadzoną na zagon kapusty. Jasne słońce oblewało jej wynędzniałą twarzyczkę.

Stała jeszcze kilka minut, patrząc na batyst i potrząsając grzywą.

— To po mojej matce! — wyrzekła z wolna — jaka ładna powłóczka, o!..

Delikatnie ujęła brzeg poszewki i podniosła ku górze.

Stróżka odwróciła się od komina.

— Nie ruszaj, smarkata! — krzyknęła, wstrząsając warząchwią.

Z oczu dziecka trysnął ogień.

— Nie wymyślaj! — zawołała, zaciskając piąstki. — Ty wiesz! stary tego nie lubi. Ja mu to powiem, jak przyjdzie!

— Kasiu! — zawołałam — jak ty mówisz do matki!

Mała wysunęła się na dziedziniec. Obróciła się przecież i z nieopisaną pogardą spojrzała na stojącą przy kominie kobietę.

— To nie matka — wyrzekła zniżonym głosem, — to tylko taka, co mnie chowa.. Moja matka!.. ho! ho!..

Urwała i wzruszyła ramionami.

— Stary mówił — dokończyła, — że djabli wiedzą, gdzie moja matka!

Katarynka wciąż grała znanego walca:

*An der schönen, blauen Donau!*

Pewnego dnia, powróciwszy z przechadzki, zastałam w kuchni Kasiunię, siedzącą na zydelku, z mnóstwem obszarpanych książek pod pachą. Tabliczka z nieodstępną gąbką i szyfrem dopełniała tego pakunku.

Gdy mię zobaczyła, wstała czempredzej, i gubiąc po drodze książki, pobiegła za mną wewnątrz mieszkania.

— Ja mam do wielmożnej pani pokorną prośbę — mówiła jednym tchem: — ja już nie mogę chodzić do szkoły, bo mnie wyrzucili. Mamcia mi zgodziła nauczyciela, ale u nas to ciemno i nawet stołu niema. Kowbasiuk nie chce przychodzić, bo mówi, że nie ma na czem łokcia położyć. Wielmożna pani pozwoli mi do kuchni na lekcję, panna Karolka już się zgodziła, a ja tylko godzinkę z panem Kowbasiukiem poczytam i pójdę precz. Ja wielmożnej pani kuchni nie ukąszę!..

Mówiła niby pokornie, ale harda nuta drgała w jej głosie.

Czułam, że w razie odmowy zostanę obsypaną gorzkiemi wyrzutami.

— Owszem, przyjdź — wyrzekłam, śmiejąc się, bo mnie bawiła ta harda dusza w tak ubo-



giem ciele, — przyjdź z panem Kowbasiukiem, ale powiedz mi przedtem, dlaczego cię ze szkoły wyrzucili?

Pytanie to podziałało na Kasiunię jak uderzenie piorunu.

Rzuciła całą paką książek o ziemię i zaczerwieniła się gwałtownie.

— Wielmożnej pani nic do tego! — zawołała, marszcząc brwi i wstrząsając grzywką. — Wygnali, to mnie, a nie panią...

Ujęłam ją za rękę i starałam się uspokoić.

— Nie krzycz, bo ci nie pozwolę przychodzić do kuchni!

— To niech! — brzmiała odpowiedź.

Mimo to uspokoiła się przecież.

— Ja jestem zła jak djabeł, jak mnie kto się o takie rzeczy pyta! — mówiła spokojniejszym głosem. — Wygnali mnie ze szkoły, bo zrobiłam kanką dziurę w głowie jednemu dziecku!...

— Dlaczegoż zrobiłaś rzecz tak złą? — zapytałam.

— Wiem, że to złe — odpowiedziała, — ale czego mi się głupia nie ustąpiła z drogi? Chciała koniecznie iść pierwsza do ogrodu, kiedy ja powinnam iść w pierwszą parę!

— Dlaczego? Czy jesteś najmniejsza?

— O, nie! — odparła żywo — ona o wiele niższą, tylko...

Zawahała się chwilkę.

— Tylko co? — nalegałam.

— Tak się należy!... — dokończyła, podnosząc dumnie głowę.

Widocznie słowa pijanej stróżki nie były grochem o ścianę.

Wrażliwe dziecko chwyciło je i utwarzało sobie z nich wysokie pojęcie o swej wielkości i przewadze nad innymi ludźmi.

Rozpoczęły się więc lekcje pana Kowbasiuka i Princessy, lekcje, które mnie nieraz do łez rozśmieszały.

Pan Kowbasiuk był to chłopiec czternastoletni, kość z kości Rusin, o olbrzymiej, czarnej czuprynie, która zdaleka zdawała się tworzyć wysoką czerkieską czapkę. Za lekcje, udzielane Princessie, brał guldena miesięcznie. Obowiązki swe wypełniał sumiennie, ucząc Kasię dosłownie całego elementarza i czytając z nią po całych godzinach jedną i tę samą bajkę. Princessa dość cierpliwie poddawała się tej operacji, krępowana widocznie obecnością Karolki. Niedługo jednak trwała ta pozorna zgoda. Kasiunia nie uznawała metody pana Kowbasiuka. Od czasu do czasu słyszałam wykrzykniki wcale niedwuznaczne tak uczennicy jak nauczyciela. Nakoniec, pewnego południa, wpadła nagle do mego pokoju, czerwona, z poszarpaną bluzką, z włosami w nieładzie.

— Ja tego chama wygnałam! — zawołała triumfująco. Chciał mi dać kanką po plecach, ale ja mu za to z chyry wydarłam tyle sierści... ol

Z zaciśniętej dłoni wyrzuciła całą garść kędzierzawych, czarnych włosów.

— Bój się Boga, Kasiu! — zawołałam — jak śmiałaś zrobić coś podobnego?

Ona rzuciła się z wściekłością.

— Czemu ma taki leb kuderawy? — zawołała, zanosząc się spazmatycznym płaczem.

Patrzyłam na nią ze smutkiem.

W przystępie złości zaczęła drapać się i kalczyć twarzyczkę. Szalony temperament, niehamowany nieczem, miotał nią, czyniąc z niej jakąś furję piekielną. Kilka kropel krwi spływało po jej policzkach — ona wiła się na dywanie w konwulsjach, wstrząsających jej drobnym ciałem.

Pozostawiłam ją samą, czując, że wszelkie perswazje rozdrażniłyby ją jeszcze więcej. Wyszłam do kuchni zwiedzić pobojowisko. Książki porozrzucane, kajeta poszarpane, linja złamana, atrament rozlany — oto co przedstawiło się moim oczom. Pana Kowbasiuka już nie było.

Karolka, zanosząc się ze śmiechu, opowiedziała mi, że Kasia, broniąc się od uderzenia linją, rzuciła się na swego światłodawcę i, wyrwawszy mu pęk włosów, wyrzuciła za drzwi z niezwykłą w tak drobnym dziecku siłą.

— Myślałam, że go zadusi, ale puściła go, krzycząc tylko ciągle: niech mnie nie biją! niech mnie nie biją!...

Powróciłam do pokoju i w milczeniu spojrzalam na Princesse.

Leżała ciągle na dywanie, ukrywszy twarz w masie rozczochranych włosów. Płakała teraz cicho, jęcząc boleśnie.

Była w swem prawie.

Broniła się od krzywdzącego ją uderzenia. Duma jej, wcześniej zbudzona i doprowadzona do potęgi, oburzała się, nie chcąc przyjmować niewolniczych razów. Dziecko to nie chciało być „bite.“

Miało wstyd i poczucie własnej godności. Czyż za to zasługiwało na karę? Przyznam się, że nie umiałam sobie poradzić w tym wypadku.

Usiadłam na fotelu i zaczęłam przeglądać jakąś książkę.

Ściemniło się prawie zupełnie.

Odłożyłam książkę.

Kasiunia leżała wciąż na dywanie. Zdawało się, że zasnęła.

Wstałam i zbliżyłam się ku niej — chciałam ją podnieść.

— Nie ruszaj mnie! — jęknęła tak boleśnie, jak ciężko ranny jęczeć musi na placu boju.

Usiadłam przy pianinie i zaczęłam grać piosenkę, śpiewaną w opowieściach Hoffmana.

Kocham tę pieśń nad wszystkie melodje na świecie.

Tak słodka! tak rzewna! tak smutna jak sieroce wspomnienia.

Ciemność zaległa salonik, tylko latarnia, pałająca się na ulicy naprzeciw okien, rzucała przez szyby snop światła, rozścielający się na posadzce i poprzecinany deseniami firanek.

Nagle coś miękkiego poczułam pod łokciem. Była to głowa Princessy. Dziewczyna cichutko przysunęła się do pianina i teraz, zasluchana w melodję, klęczała tuż przy mnie, cicha, uspokojona zupełnie. Chciałam przestać grać, ale ona szarpnęła mnie nerwowo.

— Graj jeszcze!

Muzyka uspakaja dzikie zwierzęta! Kasia była także dzikiem zwierzęciem, szamocącym się w szalonym rozdrażnieniu.

Spojrzałam na nią.

W jasnym świetle gazu zdała mi się jeszcze piękniejszą, ale zarazem bardzo smutną i zgnębianą. Nie przestając grać, wypowiedziałam jej małe kazanie o niewłaściwości wyrywania włosów nauczycielowi, jako też o rozkoszy nauki. Ten ostatni szczegół przyjęła Princessa z obojętnością, rozpacz jej jednak doszła do kulminacyjnego punktu, gdy wspomniałam, że, wypędziwszy Kowbasiuka, po-

zbawiła go guldena, a więc tem samem odebrała mu środki utrzymania i pograżyła w nędzy.

Princessa znów upadła na ziemię.

— Och! jestem bardzo zła i bardzo nieszczęśliwa! — wołała, tarzając się u nóg moich. — Niechby mnie już upiekli tak, jak tego Świętego Wawrzyńca, bo poco ja mam żyć na świeciel... Choć chcę być grzeczną, to mnie coś skusi i wszystkich bym gryzła i drapała. O! Boże mój, Boże!...

Nagle porwała się z miejsca.

— Ile ja mam u wielmożnej pani pieniędzy?

Od pewnego czasu składała wszystkie swe kapitały u mnie i suma ta wynosiła przeszło guldena.

Powiedziałam jej tę cyfrę, ale ona wstrząsnęła niedowierzająco głową i popatrzyła na mnie podejrzliwie.

— Szkoda, że niema tabliczki i szyfru, tobym zliczyła — wyrzekła po chwili.

— Czy mi nie wierzysz? — zapytałam, szczerze zdziwiona takim brakiem wiary.

Machnęła ręką za całą odpowiedź, ale gest ten wspaniale wyrażał jej wewnętrzne względem mnie usposobienie.

— Niech wielmożna pani da tego guldena — zaczęła, ocierając oczy i podnosząc się z ziemi.

— Na co?

— Dam Kowbasiukowi — niech kupi [sobie plaster na gębę, a za resztę co zechce do jedzenia...

Dałam jej pieniądze. Wypełniła widocznie powzięte postanowienie, bo na drugi dzień widziałam ją razem z panem Kowbasiukiem spacerującą koło sklepiku, gdzie, według jej zapewnień, były najlepsze laski miętowe. O dalszych jednak lekcjach nie mogło być mowy. Stróżka, dowiedziawszy się o całym zajściu, oświadczyła stanowczo, że nie pozwoli, aby „cham“ znęcał się nad książęciem dzieckiem, i uraczyła Princessę kilkoma kieliszkami różanej wódki.

W ten sposób edukacja Kasiuni została przerwana na czas dłuższy.

U mnie jednak rozgospodarowała się Princessa nie na żarty. Od rana kręciła się po kuchni, a we dnie po całym mieszkaniu. Z każdym dniem była piękniejszą, smuklejszą. Z prawdziwą rozkoszą patrzyłam na tę arystokratyczną osobkę, znoszącą mi całe pęki bzu lub jaśminu. Poza sztachetami, okalającymi dziedziniec, rozciągał się wielki ogród, schodzący spadzisto aż do placu mustry. Kasia przedzierała się przez sztachety ze zwinnością kotki, powracała obarczona masą wonnych kwiatów. Delikatna jej buzia jaśniała jak zjawisko w tej barwnej oprawie bzu i jaśminu, zdała się jednym kwiatem więcej, tak prze-

rzystą była jej cera, tak mieniły się jej oczy barwami bławatów. Mówiła mi bardzo często „ty“, za co nie gniewałam się wcale. Wypływało to tak naturalnie z jej mowy, że nie raziło mnie zupełnie. Chwilami przybierała nawet ton rozkazujący, ale czasem znów przypadała mi do nóg, łaszcząc się jak przywiązane szczenię. Gdy byłam chora, spała na ziemi przy mojem łóżku i ani prośbą, ani groźbą nie pozwoliła się ode mnie oddalić. Nie przeszkodziło to jednak, że złąjana przeze mnie za kłótnię z doktorem, rzuciła mi w twarz flaszeczkę z lekarstwem, dodając swoje zwykle:

— Nie wymyślaj!

W nocy przecież przysłała znów i, milcząc, położyła się na ziemi, aby mnie „pilnować“ — jak się wyrażała.

Było to dziwne stworzenie — łączące w sobie cały świat sprzeczności, z fantazją obudzoną przedwcześnie, z dumą wrodzoną i płynącą w żyłach, z zepsuciem wielkiem, wypiętnowaniem w każdym ruchu, w każdym słowie, z całą bezmierną potęgą uczucia, z duszą poetyczną, miękką jak воск, lub naprzemian jak stal hartowaną. Pomimo pozostawania od kołyski pomiędzy najniższą warstwą społeczeństwa, nienawidziła swoje otoczenie, podnosząc wysoko głowę i traktując wszystkich z pogardą niewysłowioną. Nawet dla mnie była

rzadko przystępną, a nie pocałowała mnie w rękę nigdy. Gdy obdarzyłam ją czemkolwiek, mówiła krótko jeden tylko wyraz:

— Dziękuję!

Nie było to wszakże podziękowanie, żadnego tonu wdzięczności w jej głosie nie było. Muzyka działała na nią zbawiennie, kołysała jej nerwy, od szalonej złości powstrzymywała. Skurczona przy moich nogach, słuchała, a często wybuchała nagle spazmatycznym płaczem. Na moje zapytanie odpowiadała zwykle:

— Ot, płacę, bo mnie coś w gardle dusi, kiedy takie granie posłyszę. Pani nawet nie wie, jak mi wtedy smutno...

Smutno jej było!

Cóż dziwnego, że sierocie tej łzy do oczów biegły, gdy tęskną piosenkę posłyszła. Wszystkie wrodzone pragnienia, całą tęsknotę do innego życia, z którą na świat przyszła, bezwiedną rozpacz za niedościgłym a należnym jej dostatkiem, wszystko zamykała w jednym słowie:

— Smutno mi!

Nie wiedziała, dlaczego jej było smutno, ta biedna Princessa, której białe, wężle ciało domagało się cienkich tkanin, a uboga krew zdrowego odżywienia. Dusza zaś jej, ta uosobiona namiętność, pełna dziwacznych błysków złego i dobrego, buntowała się chwilami, wybuchając rozpaczą,

gniewem napozór bezpodstawnym, a przecież tak bardzo usprawiedliwionym.

Książęce dziecko, tułające się po podwórzach i izdebkach stróży, spijające likier, podniecający tylko gorączkę, jaka ten młody organizm trawiła, otoczone dokoła tłumem pijaków i złodziei, padało chwilami ze znużenia i wołało ze łzami:

— Smutno mi!...

Nikt nie odpowiadał przecież na ten jęk bolesny, posyłany w dal pustą i głuchą. Princessa bosa i obdarta skarżyła się daremnie na swoją dolę sierocą. Ciemne, szafirowe źrenice migotały łzami, usta spieczone gorączką, drżały nerwowo. Cała ta drobna, doskonale piękna postać dziecięca była uosobieniem istoty niewinnej, cierpiącej za błędy i występki cudze, za winy niepopelnione!...

Dziwnym był stosunek Princessy do swej opiekunki. Kasiunia uważała stróżkę za istotę, stworzoną tylko na to, aby ją pielęgnowała i dawała pieniądze na ulubione przysmaki. Chwilami jednak okazywała znów wiele serca i, gładząc pomarszczoną twarz baby drobnymi rączkami, nazywała ją „swoją mamusią“. Oddawała jej wtedy wszystkie posiadane laski miętowe i figi, a nawet proponowała użycie swych zeszytów szkolnych na „podpałkę“ do pieca.

Stróżka, rozczulona tak jawnymi dowodami przywiązania wychowawicy, rozjaśniała swą po-

marszczoną twarz i zwykle na zakończenie tej rozczulającej familijnej sceny szły w najlepszej harmonji do pobliskiego szynku, aby się uraczyć kilkoma kieliszkami farbowanego likieru.

Tam jednak harmonja psuła się cokolwiek. „Mamusia“ lubiła przebierać miarę i prędko zapominała o obecności Princessy, — ta znów, obrażona w swej godności, opuszczała progi szynku i powracała do domu, słaniając się koło murów z twarzą rozpaloną, ożywioną, z oczyma płonącymi pod wpływem alkoholu. Był to straszny widok, przejmujący zgrozą. Kilkakrotnie upominałam Kasiunię, aby nie towarzyszyła swej opiekunce do szynku. Popatrzyła na mnie pochmurnie i wzruszyła ramionami.

— Czy to ja się upiję? — zapytała — ot, człowieka zaciągną i tyle. Jak starą to napadnie, to wiem, że już w domu nic do jedzenia nie będzie. To już muszę tak. Niech się choć co napiję...

Machnęła ręką i, kaszląc, zawlokła się do izdebki.

Pewnego razu zapytałam Princessę, czy nie zechciałaby przenieść się do mnie i pozostać u mnie na zawsze.

Pomyślała chwilę, wreszcie potrząsnęła odmo-wnie głową.

— Widzisz, nie mogę tej pijaczki samej zo-

stawić! Ona [bezemnie sobie rady nie da. Leć sobie o jaki kant rozwali. Już ja przy niej muszę zostać, póki się nie poprawi, albo nie umrze.

— Ale ty sama zmarniejesz przy niej — nalegałam, wzruszona tym niezaprzeczoną dowodem wielkiej szlachetności w tak małym i na- pozór zepsutem dziecku.

— Ha, no! niech tak! — odparła ze smutkiem — ale już ja od nich nie odejdę, bo... nie mogę.

Zalzawionemi oczami wpatrzyła się w niebo i stała długą chwilę.

Nagle porwała się z miejsca, wydając dziki krzyk, i jak huragan wpadła na wchodzącego w bramę handlarza w obszarpanym chałacie.

— Won, żydziel — wołała — tutaj niema nic dla ciebie!... tu sami panowie mieszkają... tu się nic nie sprzedaje!...

Uspokoila się, gdy przerażony handlarz uciekł z bramy, zostawiając ją zwyciężcą na placu boju.

W kilka dni później, siedząc przy oknie, zobaczyłam początkowo małe, później większe zbiegowisko przed bramą. W tłumie czerniły się mundury policjantów i błyskały ich żółte półksiężycy. Nieludzkie, przerażające krzyki napelniały powietrze. Wśród tych wrzasków zdawało mi się, że rozróżniam głosy stróżki i Princessy. Zaciekawiona, wyjrzałam przez okno. Rzeczywiście, w środku zbitej masy ludzi migaly suche, kościste ręce „ma-

mnsi“, a jej głowa, przystrojona w znaną mi żółtą chustkę, kręciła się jak na sprężynach. Dwóch policjantów usiłowało obezwładnić pijaną kobietę i zawlec zapewne do cyrkułu. Ona jak hjena, jak dzikie zwierzę bronila się przedstawicielom władzy. Posiniaczona, skrwawiona, z włosami w nieładzie, wyziewała z siebie tysiące przekleństw, które, ostrym głosem wyrzucane, przecinały powietrze. Widocznie po pijanemu dopuściła się kłótni z kimkolwiek z przechodzących, co jej się zresztą zdarzało dość często.

Nareszcie, po długich usiłowaniach zdołano cokolwiek uspokoić rozwściekloną kobietę, ale teraz policjanci napotkali na nową przeszkodę.

Była to Princessa, która w przystępie szalonej rozpaczycy czepiała się ich rąk i ubrań, napełniając powietrze nadludzkiemi wrzaskami.

— Puście ją! — wołała, pieniać się ze złości — puście, to moja mamusia! Nie szarpacie, bo was zabiję! Wam nie wolno!.. nie wolno!..

Jeden z policjantów porwał ją za kark i, rzuciwszy na bok, uderzył lekko.

— Ah, ty łapaczul ty hyclu! — krzyknęła Princessa, rzucając się ku niemu — ty nie bij! ty wiesz, kto ja jestem!.. ty!..

Głosu jej zabrakło — porwała rękę policjanta i ugryzła go w palec, snadź dotkliwie, bo aż krzyknął z bólu.

— Na tobie bicie! — zawołała — a teraz puść mamusię!..

Napróżno jednak policjanci, przyzwawszy do pomocy dwóch jeszcze swych kolegów, wyruszyli w pochód, napróżno silili się ująć także Princessę, która z szaloną zrzęczością wymykała się im z pod ręki. Wprędce cały tłum zniknął mi z oczu. Długo jeszcze tylko słyszałam krzyk Princessy, biegnącej za tłumem, krzyk spazmatyczny, powtarzający się z ciągłym uporem, a słabnący w odaleniu:

— Puście mamusię!

Wieczorem już późnym powróciła Princessa do domu. Pomimo spóźnionej pory zastukała do drzwi mego mieszkania.

— Widziała pani? — zapytała grobowym głosem — ten pies, policjant, mnie palnął!

Miałam ochotę się roześmiać, ale głęboki smutek i nieklamana rozpacz, jaka się rozlewała na twarzy Kasiuni, powstrzymały mnie od śmiechu.

— Chciałam się nawet utopić! — mówiła dalej powoli, wpatrując się w płomień świecy — byłam koło Pełczyńskich stawów, ale bardzo było straszno i woda czarna, więc wróciłam do domu..

Nieproszona usiadła na fotelu i ujęła w rękę małe lusterko.

Przypatrywała się chwilę swej własnej twarzy, poczem zaczęła znów mówić:

— To wszystko przez tę pijaczkę. Żeby nie zaczęli jej rwać na ulicy, byłabym nie dostała w kark od takiego policajaka... Przez nią to tylko człowiek musi znosić wstyd... już nie wiem niedługo co mnie spotka...

Oczy jej błysnęły niedobrem światłem.

— Żebym miała nóż, byłabym go zabiła... — zaczęła, wyrывая się z fotela — mnie nie wolno bić! nie wolno! ..

Urwała chwilkę, poczem dodała:

— No, i jej także nie!..

Na drugi dzień rano, wyszedłszy na dziedzińiec, dostrzegłam rzecz niezwykłą. Przed szczelnie zamkniętymi drzwiami izdebki siedziała stróżka, drzemiąc i kiwając się ze znużenia. Zapytana przeze mnie, czemu nie wejdzie do mieszkania, odpowiedziała mi:

— Nie mogę, zamknęła się!

— Kto?

— Princessa.

— Dlaczego?

— Powiedziała mi, że mnie nie wpuści do stacji, bo zrobiłam jej za dużo wstydu. Ma recht! Ja to wiem. Ona mię nie wpuści prędko, ale kiedy racja, to racja. Poczekam!

Oparła się o ścianę z wyrazem zupełnej rezygnacji. Śmieszna była uległość tej starej, krzykliwej kobiety wobec drobnego dziecka, które

z dziwnym uporem zabraniało jej wstępu do własnego mieszkania. Princessa z zaciętością wielką pozasuwała wewnątrz rygle i odcięła się w ten sposób od reszty świata. Przesiedziała tak w ciemnościach i o głodzie blisko czterdzieści osiem godzin, aż gdy zwalczona głodem i znudzona samotnością otworzyła z trzaskiem drzwi mieszkania, ukazała się na progu blada i zmęczona, a mimo to z głową hardo do góry wzniesioną. Na stróżkę nie spojrzała nawet, ale udała się wprost przed bramę i tam z dziwnym wyrazem przypatrywała się stojącemu na środku ulicy policjantowi.

Gdy w kwadrans później wychodziłam z bramy, słyszałam wyraźnie głos Kasiuni, głos zmieniony wycieńczeniem i zdławiony gniewem:

— Ja ciebie naznaczę!..

Odwróciłam się.

W promieniach słońca stała Princessa, skąpana zda się w złocie, płynącym z góry. Obszarpana, brudna, prawie naga, patrzyła z pod rozczochranych włosów, zawracając podsiniałymi oczyma jak dzikie zwierzę. Drobnę, kształtnę ręce zacisnęła konwulsyjnie i wyciągnęła z wyrazem groźby w stronę, w której na tle jasnych murów czerniła się postać policjanta. Nie mogła mu snadź przebaczyć obelgi, bo ciągle potrząsając grzywką, szeptała:

— Ja ciebie naznaczę!



Dziecko to rosło bez najmniejszego pojęcia o Bogu, o Jego istnieniu, o początku swego własnego ja...

Umiało wprawdzie katechizm na wrywkę, ale, wyuczone jak papuga, nie rozumiało treści zdań, które wygłaszało. Od pewnego czasu przychodziła do mnie w południowych godzinach na tak zwaną „lekcję“. Głowę traciłam wobec tego chaosu, jaki panował w nieszczęśliwej głowie Princessy.

Przeczytawszy jakąkolwiek powiastkę, kazałam jej opowiedzieć treść. Wzruszała ramionami i nie była zdolna wypowiedzieć ani słowa z posłyszanej przed chwilą bajki. Gdy wprowadziłam ją na jaki taki początek, ożywała się nagle i rozpoczęła improwizować najnieprawdopodobniejsze, fantastyczne baśnie, które snuła z własnej głowy z łatwością niewypowiedzianą. Cała harda i nieugięta natura dziewczyny malowała się w tych słowach, bohaterką opowiadania była ona sama, walcząca zwykle z prześladowającymi ją ludźmi. Słuchając tych bezładnych, gorączkowych opowieści, zapytywałam siebie, co będzie z tej istoty, obdarzonej tak niezwykłym temperamentem, strojnej w doskonałą piękność, hardej, nieugiętej lub pełnej szlachetnych uniesień?

W szkole jeszcze powiedziano jej, że po prawej ręce stoi niewidzialny dla niej Anioł Stróż,

strzegący ją od złego, a po lewej djabeł, szepczący jej do ucha rozmaite pokusy.

Pewnego dnia spostrzegłam z niemałym zdziwieniem, że Princessa, przerywając co chwila kreskę kreski, któremi zapełniła polinowany zeszyt, wymierza w przestrzeń energiczne kulaki, kierując je ku lewej stronie.

Zapytana o znaczenie tej pantominy, wahała się chwilę, nareszcie odrzekła:

— To, proszę wielmożnej pani, djabeł wale, bo mię już od kwadransa kusi bestja!..

— Cóż chce od ciebie? — zapytałam, powstrzymując się od śmiechu.

— A to, proszę pani, kusi mnie, żeby wielmożnej pani atrament na głowę wylać... — odpowiedziała, rzucając wejrzenie na stojący przed nią kałamarz.

Odsunęłam się mimowoli, nie będąc pewną, czy moja uczennica nie usłucha wreszcie głosu swego doradcy.

Często zasypywała mnie takim gradem dziwnych zapytań, że nie byłam w stanie uczynić zadość jej ciekawości. Umysł jej wtedy zdawał mi się dość rozwiniętym i chęć wiedzy niezwykłą.

Z niezmierną jednak szybkością zmieniała się w bezmyślną bryłę bez żadnej widocznej przyczyny. Szeroko rozwartymi oczami wpatrywała

się w przestrzeń, i — mówiąc słowami Dumasa — chęć brała postukać palcem w tę nieruchomą głowę, aby się przekonać, czy nie jest z drzewa. Naprawdę siłiłam się wtedy wyrwać ją z tego osłupienia, — nie odpowiadała mi wcale. Gdy usiłowania moje ją zmęczyły, — wruszając ramionami, wychodziła z pokoju, pozostawiając mnie pośród książek i zeszytów. Ze swych lat dziecinnych wyniosła wiarę w fatalizm, którą chłopci określają słowami „tak sądzono“. Gdy chciałam ją przekonać, że przy dobrej woli może się pozbyć wad i nałogów, odpowiadała mi z niewysłowioną pewnością siebie:

— Phil... bo to prawda! W katechizmie jak woł napisano, że Pan Bóg wszystko od wieków przewidział i urządził. Już ja ta nic nie wskóram. Będzie, jak być ma...

Tegoż samego dnia nad wieczorem zauważyłam, że Princessa rozmawiała długo na ulicy z jakąś podziłą kobietą, dość strojnie ubraną.

Wymalowana twarz i jaskrawy strój źle świadczyły o tej osobie. Gdy zapytałam Kasiunię o temat jej rozmowy z tą jejmością, spojrzała chmurnie, mówiąc:

— Co ci do tego!

Po chwili przecież przyszła, przynosząc mi srebrnego guldena, i prosiła o schowanie tego skarbu w szufladkę od tualetki.

— Skąd masz te pieniądze? — zapytałam tknięta przecuciem.

Zawahała się z odpowiedzią i według zwyczajn odeszła, mrucząc:

— Tobie nic do tego.

Wieczorem wszakże dobrowolnie wyznała mi, że gulden ów pochodził od tej grubej, czerwonej, według jej słów „ceglatej“ pani, która rozmawiała z nią dość długo na ulicy.

— Za cóż dała ci pieniądze?

Wruszyła ramionami.

— Djabeł wie, ot, za nic i powiedziała, że jakbym ją polubiła, to miałabym więcej takich pieniędzy, dużo, dużo... ot, tak, jak gwiazd na niebie.

Wyciągnęła obnażone ramię ku górze i, zakreślając półkole, wskazała mirjady gwiazd, drżących nad nami.

Siedziałyśmy obie na stogu świeżo skoszonego siana, pośród owej łąki, która się poza dworkiem rozciągała.

Był tam jednak kasztan, rosnący samotnie, wspaniały, ciemny, szumiący, — kilka jabłonek, trochę bzu, jaśminów i cały obszar ziemi, porośniętej gęstą trawą. Kasia dostała od rządcy klucz od furtki i w ten sposób całe dnie przewracała się wśród masy siana, kryjąc się nieraz w świeżych pokosach i wyskakując z nich nagle

pokryta roślinami, polnemi kwiatami i badyłami, które czepiały się jej włosów i ramion, jak wodne rośliny ciała ondyny.

W upały sypiała na tej łące, kąpiąc się cała w blaskach księżyca i woni schnącej macierzanki.

Teraz siedziała, a raczej leżała u stóp moich, pokryta masą siana, które nagarniała na swe drobne ciało. Tylko jej piękna twarzyczka wychylała się z trawy, biała jak zjawisko — błyskając ciemną barwą oczów lub purpurą drobnych ustek.

Widząc ją tak piękną wśród tej nocnej ciszy, niewinną jeszcze i pełną dziecięcego wdzięku, uczułam żal wielki na myśl, że to urocze zjawisko może niedługo stoczyć się w kałużę błota, z której niema już wyjścia prócz śmierci.

I łagodnie, powoli zaczęłam jej tłumaczyć, prosić prawie, aby unikała dalszej znajomości i rozmów z „cegłą“ kobietą. Nie mogłam ostrzedz jej wprost o niebezpieczeństwie, które jej groziło; czułam, że pomimo zepsucia, dziecko to nie zbażało jeszcze wszystkiego kału, jaki świat w swem łonie kryje.

Mówiłam długo. Princessa patrzyła wciąż na gwiazdy i chwilami tylko poruszała się niecierpliwie. Nakoniec porwała się i, z szumem strząsając siano za siebie, stanęła koło mnie.

— El — zaczęła — pani wie jedno, a ja drugie. Ta pani powiedziała mi, że jeśli bym z nią

poszła, dałaby mi dużo ślicznych sukien i lasek miętowych. Ta pani nie chce mnie w służbę, tylko za swoją. Gdybym u ciebie była, to musiałabym ci służyć, a ty wiesz, że ja nie lubię służyć nikomu...

— No, a twoja matusia?...

Pomyślała chwilę.

— To sęk z tą babą! Zostawić jej nie mogę, bo sobie łeb rozwali... ha! to i ją chyba zabiorę...

— A skoro ta pani nie zechce?

— Ale! musi. Inaczej nie pójdę.

Przed nami zarysowała się nagle ciemna sylwetka stróżki; zwróciłam się ku niej — w kilku słowach opowiedziałam, o co chodzi. Baba nawpół pijana złożyła ręce jak do modlitwy.

— O, Trójco Przenajświętsza! — zawołała — a toż byłoby szczęście dla sieroty, jakby *los* znalazła i mnieby jeszcze dobrze było... Princessa by na puchach spała, a na srybrze jadała!... To pańskie dziecko! niech w pańskie życie idzie!

W pańskie życie!

Uczułam się wobec tego bezsilną i zamilkłam zasmucona.

Princessa teraz leżała cichutko u stóp moich i znów patrzyła w gwiazdy. Uśmiechała się łagodnie, niewinnie jak aniołek z obrazu. Srebrnawe, niepewne światło drgało w jej rozburzonych

włosach, ona, wpół naga, promieniała w tem oświetleniu bezmierną pięknoscią; rozchylone uśmiechem usta błyszczały podwójnym rzędem równiutkich pereł. Spojrzałam na nią i doznałam dziwnie przykrego uczucia.

Te niewinne usta miały się skalać pocałunkiem, będącym wynikiem ohydneho targu, pieczęcią rozpusty, ubranej chwilowo w błyskotliwą szatę!

Od strony miasta dolatywał szmer tysiąca głosów, turkotów kół, tajemniczych nawoływań, rozpaczliwych łkań, wyuzdanych śmiechów... Szmer ten wdzierał się przemocą do cichego ustronia i płynął wzdłuż skoszonej trawy razem z zapachem świeżych ziół i kwiatów. To miasto wydawało z siebie ten potężny krzyk, przyciszony oddaleniem, pomieszany, pełen tajemniczości, pragnień, skarg i obietnic...

Był to ryk dzikiego zwierzęcia, domagającego się wciąż świeżych ofiar...

Princessa leżała wciąż uśmiechnięta, wsłuchana w ten szmer, w ten głos potężny, który wołał o jej ciało, jej pięknosc promienną, — i nie czując niebezpieczeństwa, patrzyła w gwiazdy, lśniące nad jej głową.

Opodal stróżka, oparta o pień drzewa, mruzczała z pijackim uporem:

— Niech idzie w pańskie życie! w pańskie życie!...

Szmer miasta wtórował jej słowom i dziwnie harmonijny tworzył się z tych dwóch głosów akord.

Minęło kilka tygodni jasnych, letnich, pełnych promieni słońca i pyłu ulicznego.

Princessa zmieniła się dziwnie.

Stała się o wiele poważniejszą, łagodniejszą. Mówiła ciszej, nie wyrwała włosów ani sobie, ani komu innemu — pieściła stróżkę i uczyła się dość pilnie.

Zmianę tę wywołała drobna napozór okoliczność. Nadchodziło Boże Ciało.

Kasiunia miała jedną myśl, jeden cel, jedną dążność: wziąć udział w procesji ubrana w białą sukienkę, z przejrzystym welonem na twarzy, z wianuszkami róż na rozpuszczonych włosach.

Widząc to niewinne żądanie, obiecałam sprawić jej odpowiedni strój, ale w zamian wymagałam absolutnej zmiany.

Widocznie chęć błyszczenia na procesji pokonała chwilowo jej nieugięty charakter, bo zmieniła się z małej wilczycy w pokorną owieczkę.

Bujna jej fantazja pracowała teraz bezustannie. Całe mistyczne historie snuła na temat szeregow białych ubranych dzieci. Stała się nabożną i często zastawałam ją klęczącą w kącie izdebki

pomiędzy pustymi flaszkami od wódki i piwa, w postawie pełnej pokory i bijącą się w piersi z gorliwością godną lepszej sprawy.

Z jednej ostateczności przerzucała się w drugą. Wczorajszy niemal szatan pychy i zarozumiałości stawał się pół-aniołem o łagodnych, zakłamanionych źrenicach, wpatrzonych w niebo, bez śladu owych niepoczciwych ogników, błakających się w chwilach uniesień.

Mówiła często o Bogu i o Matce Boskiej, której białą chorągiew otaczać miała wraz z innymi dziewczętkami tejże dzielnicy.

— Matka Boska wygląda jak księżna na tej chorągwi — mówiła, składając ręce w ekstazie.

Pomimo wszystkiego, ideałem jej nie przestała być owa księżna.

Mamusia pijaczka dobrze ziarno zasiała.

Gdy w gwiazdzistą noc znalazłyśmy się znów na łące, pośród siana, kwiatów jabłunki i woni macierzanki, Princessa uklękła przy mnie i wpatrzyła się w srebrne światełka, zawieszane nad naszymi głowami. Nagle szarpnęła mnie za rękę.

— Powiedz! tam Pan Bóg mieszka? — zapytała, wskazując ręką ku górze.

Nie chciałam utrudniać jej rozwijającego się wyobrażenia o Stwórcy zagmatwanem zdaniem, wyjętem z katechizmu, że Bóg jest wszędzie i na każdym miejscu. Odpowiedziałam jej, że Bóg prze-

bywa tam wysoko, nad gwiazdami, owinięty w błękitny nieba. Wolałam jej zostawić tę poezję dziecięcą, pełną wdzięku i prostoty.

Ucząc się przez ten czas pilnie katechizmu, zapamiętała, że dusza opuszcza ciało ludzkie z chwilą śmierci i idzie do Boga.

— A kiedy umrę — zapytała, odgarniając włosy, — pójdę także tam, pomiędzy gwiazdy?

— Zapewne — odparłam, dotknięta niemile temi słowami o śmierci, wychodzącymi z ust świeżych, młodych, pełnych życia.

— Czy i pijaczki przyjdą tam także?

— Jeśli się poprawią, zapewne.

— A złodzieje?

— Tak samo!

— To dobrze... i mamusia i tatuś znów będą ze mną. A ty przyjdiesz także?

— Nie wiem, moje dziecko! — odparłam po chwili milczenia.

— Proszę cię, przyjdź, będziemy znów się uczyć. Ja już będę zawsze taka grzeczna jak teraz, nie zrobię ci przykrości... Wiesz, chciałam tego policajka, co mi dał wtedy przez łeb, pod tremaj (tramwaj) wtrącić... Byłby ręce i nogi polamał... Ja mała, wiem, ale jak tremaj byłby przejeżdżał, ja pchnęłabym go z tyłu. Musiałby paść... Teraz już tego nie zrobię!

Pochyliła głowę, zamknęła senne oczy.

— Dopiero... po procesji! — dodała po chwili.

Zasnęła z tą myślą zbrodni, którą odkładała tylko chwilowo, do czasu — oznaczała termin jej wykonania „po procesji.“

Kto wie jednak, czy umiejętne prowadzenie dziecka nie mogłoby zniszczyć w jego umyśle podobnych zamiarów. A może chęć do pijaństwa, zbrodni i rozpusty miała już we krwi, jak chorobę dziedziczną, jak ten nieokiełznany temperament, który jej istotę nurtował i do szaleństwa pobudzał?

Kim był ojciec tego dziecka, zrodzonego w tajemnicy, poczętego w chwili szału i pobudzenia zmysłów?

Kto była ta matka umitrowana, owijająca swe dziecię w batysty i rzucająca je w noc ciemną na pastwę świata, bez troski o ten płód, który ukrywała starannie pozorami nieskalanej enoty?

Princessa spała niespokojnie, przewracając się na stogu siana; łagodne księżycowe światło oblewało jej główkę. Była w tej chwili podobną do małego dziecka, uspięnego nad przepaścią. Widziałam dawno bardzo podobny obrazek na jednym ze straganów, otaczających Katedrę. Czyż nie stała ona w tej chwili nad przepaścią nędzy i bezwstydu? Rozpusta zaczerpnięta w matce, pijaństwo i podle instynktu przelane ze krwi ojca, pochodzącego może z gminu, cała ta mieszanina najnędrniejszych pierwiastków, kiełkująca w duszy

dziecka, musiałyby prędzej czy później doprowadzić do upadku. Zaiste, wyrządzonoby dzieciom, porzuconym przez matki, najwyższą przysługę, gdyby je po przyjściu na świat topiono jak małe szczenięta!

Aż do samego dnia, w którym odbyć się miała owa uroczysta procesja, Princessa zachowywała się wzorowo. Raz jeden tylko miałam z nią zatarg z powodu trzewików, kupionych przeze mnie, a które przewędrowały do szynku zaraz dnia następnego. Był to jednak znów jeden poryw szlachetności tej dziwnej istoty. Gorąco upragnionymi trzewikami wykupiła z szynku swą mamusię — pijaczkę, która zabrnęła tak dalece w dług, częstując swe kumoszki, iż szynkarz nie chciał jej wypuścić z szynku — i tylko interwencja Kasi, oraz jej trzewiki, które cisnęła w głowę szynkarzowi, zdołały uwolnić stróżkę z arcynie-milej sytuacji. Skończyło się na kupieniu drugiej pary, z wyraźnem zastrzeżeniem co do jej nietykalności.

Nakoniec zabłysł najpiękniejszy czerwcowy poranek. Słońce rozsypywało szczerze złote blaski, siejąc na dachy domów, głowy przechodniów, szpiczaste krzyże wieńczące chorągwie, które setkami całami powiewały nad tłumem. Był to las purpurowych, zielonych i błękitnych tkanin, połykających w jasnym świetle dziennem; gdzienie-

gdzie biała chorągiew Marji wznosiła się czystą, nieskalaną draperją, bielejąc zdala i srebrząc się jak obłok na tle nieba. Setki, tysiące głów otaczały ołtarzyki, wyłoczone pretensjonalnie, postrojone w kwiaty, jak rzemieślniczki, które je dźwigały. Spoczone, czerwone twarze, lyse lub kryte gęstemi o różnych barwach włosami głowy, kapelusze dziwaczne, poskładane ze zmiętych koronek, rozfryzowanych piór, lub proste chustki wiązane, — cały ten tłum, piekący się dobrowolnie w upale śródlecia, mieszczanie o tłustych podbródkach, rzemieślnicy muskularni, ze zgiętymi plecami, żony tych ostatnich — kobiety wyżółkłe, chude, anemiczne, dziewczki zdrowe, czerwone, o lśniących policzkach, strojne w krochmalne, białe sukienki — wszyscy ci ludzie, tłoczący się, popychający, wyjący niezwykłymi głosami jeszcze niezwyklesze pieśni — płynęli szeroką falą wśród ścieśnionych rzędów kamienic, wznoszących się po obu stronach jak ocembrowanie nadto ruchliwej rzeki.

Białe suknie dziewcząt trzepotały się w tej zbitej masie jak skrzydła gołębi. Zdaleka widniał baldachim, kryty spłóviałym welwetem, a dokoła rozlegał się przerażający głos dzwonek, które co sił potrzęsali mali chłopcy, zaplątani w nazbyt długie komeżki, lub pochowani w zadziwiająco szkarłatne peleryny.

Kasia, wymyta, uczesana, ubierała się w kuchence, starając się nie wszczynać nieuniknionych zwykle sprzeczek z Karolką, która *par force* przyglądała jej włosy, utrzymując, że z „rozzechranym łbem ludzie na procesję nie chodzą, bo to grzech...”

Nareszcie stanęła przede mną Princessa i mimowoli wyrwało się z ust moich słowo podziwienia.

Skromna muślinowa sukienka nabierała na tej uroczej istotce wdzięku najdroższego stroju. Ubranie króciutkie odsłaniało jej proste, kształtne nogi prawie aż do kolan, jeszcze dziecinne, a przecież już kobiece — tak czysto zarysowane były ich kontury. Przezroczysty welon zasłaniał całą twarzyczkę, która z poza białej iluzji występowała dziwnie urocza, anielska niemal. Wieniec z białych róż dopełniał jej stroju, podniesionego niezmierną rasową dystynkcją dziewczynki. Rasa ta uwidoczniła się jeszcze więcej przy odpowiedniej oprawie. Nadzwyczajna delikatność cery i rysów nadawała się wybornie do przejrzystej iluzji i muślinów.

Śliczną była nad wyraz wszelki.

Mamusia pijaczka, na cześć uroczystego święta spita od samego rana, płakała rzewnie nad pięknoscią swej wychowanki i proponowała mi z kuchui, abym pożyczyła Princessie jakiego „fechera“, bo

według jej słów „każda pani do takich sukien nosi fecher w ręku“.

Fecher znaczyl — wachlarz.

Odmówiłam stanowczo, na co stróżka, zaklnawszy pod nosem, wytoczyła się z kuchni, a ja udzieliłam Princessie kilku moralnych nauk i sposobów przyzwoitego zachowania się pomiędzy ludźmi.

Stała przede mną dziwnie pokorna i miła. Oczy, przysłonięte rzęsami, patrzyły spokojnie, prawie smutno przed siebie. Ręce miała splecione jak u aniołków, otaczających Madonnę.

Usteczka jej drżały z powstrzymywanego wzruszenia, widocznie cały ten strój, śpiew, który płynął w powietrzu, tysiące ludzi, te chorągwie, wiejące pod oknem, oddziaływały na jej wyobraźnię. Gdy odchodziła, zwróciła się jeszcze ode drzwi i z niebywałą w niej łagodnością szepnęła stłumionym głosem:

— Niech Bóg wielmożnej pani zapłacił

Gdy zniknęła, miałam ochotę zawołać ją i nie puszczać w ten tłum rozfanatyzowany, zdenerwowany upałem i dzikim głosem dzwonek. Tysiące światełek chwiała się żółtawym blaskiem, drżąc w niepewnych rękach kumoszek. Światełka te zbliżały się bezustannie do iluzjowych welonów lub powiewnych wstążek. Płomień ślizgał się po lekkich tkaninach jakby bawiąca się tanecznicą.

Patrzyłam długo na te płomyki, migające w blaskach słońca...

Wreszcie cała fala znikła mi z oczu, unosząc w swem łonie Princessę, a pozostawiając poza sobą echo śpiewanej pieśni, mdłą woń kadzidła i tysiące listków kwiatów, zabarwiających bruk uliczny.

Dnia tego wyjechałam z miasta i powróciłam późno w nocy. Zdziwiłam się niemal, zastawszy otwartą bramę pomimo spóźnionej pory. Dopiero nazajutrz rozjaśniła się zagadka. Napróżno dnia tego czekałam na zwykłą wizytę Princessy. Sądziłam, że wczesnym rankiem przybiegnie opowiedzieć mi o wrażeniach, otrzymanych na procesji. Zdziwiona, zawołałam Karolkę. Weszła chmurna i zapłakana.

— Gdzie Princessa? czemu nie przyjdzie?

— Ona nie przyjdzie już nigdy! — brzmiała odpowiedź — spaliła się wczoraj na procesji...

Serce mi się ścisnęło.

— Jakto?... spaliła się? w jaki sposób?

Wtedy Karolka opowiedziała mi, że w najwyższym tłoku, gdy wszyscy przyklękali podczas błogosławieństwa, od nachylonej świecy zajął się welon dziewczynki, a następnie cała sukienka. Kilka jej towarzyszek również stanęło w płomieniach. W pierwszej chwili wszyscy uciekali od tych słupów ognia, które krzycząc wciskały się



w tłum, instynktownie szukając w masie ratunku. Gdy przyniesiono pomoc w formie kilku naprędcie ściągniętych surdutów, było już zapóźno, przynajmniej dla dwóch dziewczynek. Jedną z nich była Princessa, która w godzinę później w szpitalu życie zakończyła.

Spaliło się więc jak óma to promienne zjawisko, zanim kał i brud ziemi zdarł z niej białą niewinności szatę! Stróżka zaniósła do szpitala cienką książeczką bieliznę, w którą zawinięto biedne ciało nieszczęśliwej sieroty, stanowiące teraz jedną wielką ranę. Na zakrwawionem ciele przylepiła się książęca mitra, piętnując trupa na wieczny sen. Krew pomieszała się z mitrą i stworzyła z tego monogram, który Bóg odcyfrować potrafi...

Długo jeszcze tęskniłam za tą dziewczynką, tak doskonale piękną i pełną najlepszych porywów. Brakowało mi jej w każdej chwili. Najwięcej wśród szarej godziny, gdy skurczona u stóp moich słuchała opowieści Hoffmana.

Była ona sama wcieloną melodją, pomimo instynktów, pchających ją do zbrodni i pijaństwa. Wydała mi się jak piosnka Heinego, rozpoczynająca się nutą rzewną, uroczą, a kończąca się straszliwym dysonansem.

Lecz kto wie, czyby dysonans nie przeważył w życiu tej dziewczyny. Bezwątpienia, lepiej się

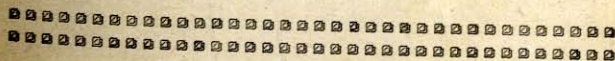
stało, że odeszła pierwej, nim świat wyssałby z niej młodość i wdzięki.

Czemby się stała, będąc tak niezwykle piękną, popychana do złego przez matkę — pijaczkę, pragnącą, by jej Kasiunia poszła „na pańskie“? Jaki los czekał ją później, ją, książeczką córę, nad której piękną głową świeciła mitra, jedna z pierwszych w Europie?...

Pod oknami memi, wychodzącymi na dziedziniec, rozległ się nagle przenikliwy, schrypnięty, ohydny głos kobiety:

— Kości kupuję... kości!...

Miałam więc odpowiedź na moje pytanie.



**JEJ USZKO**  
DROBNOSTKA

◻◻◻  
◻◻◻

◻◻◻◻◻◻  
◻◻◻◻◻◻  
◻◻◻◻◻◻  
◻◻◻◻◻◻  
◻◻◻◻◻◻  
◻◻◻◻◻◻  
**P**o stanowiłem zaślubić ją, gdy dorosnie. Była bowiem jeszcze małą dziewczynką, gdy zakochałem się w niej na dobre. Wszystkiemu zaś było winno .. jej uszko! Nie prawe, broń Boże! — lewe, narażone częściej na słuchanie szepców, morałów, pochlebstw, a może pokus.

Uszko to różowe, maluchne, delikatne, przejrzyste. Istna muszelka!

Zakochałem się w tem atlasowem cacku, okolonem snopami złocistych jedwabii; patrzyłem nań godzinami całemi, snując roje marzeń i sny jasne, złote.

Nie sama forma tego uszka zachwycała mnie przecież, niewątpliwie było ono doskonale piękne, ale owładnęła mną myśl inna i inne pragnienie.

Chciałem mieć za żonę istotę czystą, nieskałaną, nieświadomą brudów i mętów świata. Przez uszy kobiet tyle przesuwa się głosów, drżących kłamstwem, obłudą lub nietłumionemi namięt-

ściami! I czasem prześliczne ucho kobiety staje się ściekiem wielu niegodziwości, nurtujących społeczeństwo, a ona, wrażliwa, nerwowa, chwyta zasłyszane słowa i utrwała w pamięci. Gdyby kobiety rodziły się głuchemi, więcej zbliżałyby się do aniołów, do których pragniemy je mieć podobnymi.

Ale to uszko! to nieszczęsne uszko!...

Przez nie to wpada pochlebstwo, które dymem niezdrowym upaja młodą istotę; przez nie pokusa zakrada się do śpiącego serduszka i budzi do życia, a czasem do grzechu...

Widziałem w mem życiu tysiące kobiet, kochałem niejedną, ale za żonę pragnąłem mieć istotę białą, niewinną, pełną najszlachetniejszych dążeń i porywów, — kochającą szczerze i wiernie, nieświadomą własnej piękności, wrażliwą tylko na to, co dobre, co piękne, co wzniosłe, — niewiedząca o istnieniu złego, słowem kobietę, której uszko przyjęłoby tylko dobrą część szeptu, jaki ze świata się wzbija.

Na to trzeba było cierpliwości wielkiej i przywiązania bez granic, — nic mnie jednak nie odstraszało. Matka moich dzieci była dla mnie zawielką świętością, abym nie podjął się ciężkiej pracy zabezpieczenia jej od szkodliwych wpływów świata. Uszko jej otwierać się powinno tylko dla

dobrego — na złe stanowczo powinno być... głuche.

I drobną dziecinę otoczyłem opieką troskliwą, serdeczną, kierując jej wychowaniem, otoczeniem. Była córeczką wdowy po mym najlepszym przyjacielu, łatwo więc mi przyszło upozorować zajęcie się dzieckiem. Nie chciałem zdradzać mych planów. Gdy uszko jej przyjmie wszystkie przeze mnie wybierane wiadomości, gdy należycie zostanie obznajmione z celem istnienia kobiety, ze świętem posłannictwem, jakie spełniać winna matka i żona, wtedy dopiero ośmielę się cichym szeptem zapytać mej dziewczynki:

— Zechcesz być żoną moją?

Wiem, że odpowie mi twierdząco.

Jestem może dla niej za stary, bo wtedy będę czterdzieści lat skończonych, ale ona na wiek uważać nie będzie. Wychowana w tych warunkach, zrozumie, że szczęście — to nie młodość, pełna wrzących uniesień i chwilowej może namiętności; ona swe uszko skłoni ku mnie, który w niej całą nadzieję położyłem, wypieściłem, do życia przygotowałem, — słowem, byłem dla niej wszystkim i wszystkim też nadal pozostać pragnę.

Odgradziłem więc chińskim murem jej uszko od reszty świata. Z troskliwością skąpeca czuwałem nad tym skarbem, obawiając się, aby ktoś

jednym słowem nie zburzył tak kunsztownie wzniesionej budowy.

To, co ludzie zdziałali dobrego, całe skarby wiedzy wlewałem przez to uszko, które otwierało się przede mną chciwie, drżące, pełne chęci poznania niezrozumiałych słów, zbyt zawiłych zapytań lub tych szmerów tajemnych, jakimi natura przemawiać zwykła.

Starania moje odnosiły skutek.

Dziewczynka moja rosła piękna, czysta, wśród mętów świata nieskalana, — o spojrzeniu jasnym, pogodnym, uśmiechu niewinnym, serduszką tylko dla dobrych wrażeń przystępnem. Próżności nie miała żadnej. Ubrana skromnie, biegła, napelniając cały dom wrzawą swych lat dwunastu. Wzbudzała ogólne uwielbienie, nie wiedząc o tem. Gdy promienna pięknnością zwróciła czyją uwagę, posyłała mu uśmiech za zapłatę zdziwionego wejścia. Mówiła wtedy:

— Patrz, mój przyjacielu! ten człowiek musi być bardzo dobry, kiedy na mnie tak mile spogląda.

Nazywała mnie swym „przyjacielem“ i siadała często na mych kolanach, kołysząc się jak małe dziecko. Czasem obejmowała mnie za szyję i prosiła, abym jej powiedział coś „rozumnego“.

Nachylała ku mnie swe uszko i słuchała w milczeniu słów moich. Byłem wtedy nad wyraz szczęśliwy. Mówiłem długo i gorąco. Uszko,

wciąż zwrócone ku mnie, migotało tysiącem odcieni najdelikatniejszej różowej barwy. Purpurowe żyłki przecinały delikatną skórę, a włoski, pokrywające brzeg uszka, złociły się jak linijka, najdelikatniejszym pędzlem pociągnięta.

Dziewczynka moja kończyła lat dwanaście. W wigilję jej urodzin przyszedłem, jak zwykle, na poobiednią lekcję, ale dziś jej uszko odwracało się ode mnie z jakimś roztargnieniem, dotąd niebywałem. Gdy odchodziłem smutny i zaniepokojony, przyszła moja żona rzuciła mi się na szyję, szepcząc:

— Zobaczysz, jutro!...

Wyszedłem, rozmyślając nad niespodzianką, jaką mi to jutro przynieść miało.

Nie była to jednak niespodzianka przyjemna. Gdy solenizantka wybiegła, aby odebrać przyniesione przeze mnie podarunki w formie ozdobnego wydania „Pana Tadeusza“, z największą przykrością spojrzałem na jej uszko. Jakaś barbarzyńska ręka przekłóła je, kalecząc i raniąc bez miłosierdzia. W świeżej jeszcze ranie tkwił cieniuchny kolczyk złoty, ozdobiony koralem. Ona, szczęśliwa, uśmiechnięta, prezentowała mi te klejnoty jako dar swej kuzynki, świeżo ze wsi przybyłej.

— Mówiła ciocia Locia, że to wstyd, że tak duża panna jak ja nie nosi kolczyków. Przekłół mi jubiler uszy i założył te koraliki. Bolało mnie

bardzo, ale teraz nie żałuję. Zaraz ucho inaczej wygląda.

Nie odpowiedziałam nic, ale cały wieczór siedziałem zasepiony i smutny. Ten koral krwawiący się zdala, ta złota oprawa błyszcząca złotem niezdrowem światłem, — to był pierwszy posłannik świata pychy i próżności. Zdało mi się świętokradztwem kaleczyć to delikatne, czyste ciało, dla zawieszenia błyskotki..

Jednak stało się. W dziecku zaczynała budzić się kobieta; czy ze wszystkimi narowami, płci jej właściwemi? O, nie! to być nie mogło. Wszakże ja życie moje poświęciłem, by żonę moją od wad uchronić. Będziesz świat silniejszy nade mnie? Nie — ja go zwalczyć muszę.

I od tej chwili podwoiłem starania. Jakkolwiek tkwiący w uszku kolczyk działał na mnie w niezmiernie przykry sposób, starałem się pracować gorliwie i nie upadać na siłach. Ona przemawiała moje słowa z pozorną uwagą i napozór nie zmieniała się wcale. Tylko ten kolczyk! ten nieszczęsny kolczyk zdawał mi się urągać, jak żmija błyskając i krwawiąc się na tle różowej skóry. Kilkakrotnie chciałem prosić, aby wyjęła kolczyki, ale czułem, że sprawiłbym jej tem wielką przykrość, a przytem zostałyby i tak blizna, jako okrutny ślad rany, zadanej ręką próżności. Wal-

czyłem jednak wytrwale i zdawało mi się, że osiągnąłem skutek.

Minęło lat trzy.

Z dziewczynki podlotka wyrosło dziewczę kształtne, miłe, pełne uroku i poezji. Wskutek moich starań i nieustającej pracy dziewczyna piętnastoletnia prostotą uczuć zbliżała się do drobnej dzieciны. Natomiast umysł jej inteligentny przyjął cały zasób wiedzy, jaki w jej uszku przelałem, i rozwinął się jak kwiat pod promieniami słońca.

Patrzyłem na nią z radością i rozkoszą wielką. Była dziełem mojem i własnością, mą niezaprzeczoną; kochałem ją teraz nie jak ojciec swe dziecko, ale jak kochanek kochankę...

Nie mówiłem jej tego przecież, — wydało mi się świętokradztwem mówić o miłości tej niewinnej, dziecinnej istocie. Bałem się przerazić jej uszko, które z dawnem zaufaniem ku mnie skłaniała. Chciałem poczekać jeszcze lat kilka... aby odkryć przed nią cały świat czarów wzajemnej miłości. O! jakże piękną będzie ta chwila, gdy słowo „kocham“ wyszepczę w jej uszko! Ona podniesie na mnie swe wielkie, błękitne oczy, zdziwiona, przerażona prawie tem słowem, które po raz pierwszy usłyszy od mężczyzny wymówione tym głosem. Po raz pierwszy!..

I na tę myśl nie żałuję trudów, poniesionych koło jej wychowania. Ta jedna chwila wynagro-

dzi mnie dostatecznie. Rumieniec, który obleje jej uszko pod wpływem mych słów gorących, wystarczy mi za wszystkie namiętne wynurzenia innych kobiet... Będę szczęśliwy!

Telegram, wzywający mnie do chorego ojca, odwołał mnie na wieś. Zabawiłem tam kilka tygodni. Przez ten czas dziewczynka moja pisywała do mnie długie, serdeczne listy, nazywając mnie ciągle swoim „przyjacielem“. Czasami dodawała: „stary przyjacielu“, ale to mnie nie raziło zupełnie. Znaliliśmy się tak dawno!

Niektóre listy zaniepokoiły mnie wszakże.

Ciocia Locia przybyła ze wsi i zaprowadziła reformy w życiu mej przyszłej żony.

— Bywamy w teatrze, na koncertach i spacerach; ciocia mówi, że jestem dorosłą panną i powinnam być w świecie. Dostałam długą suknię, w której nie umiem chodzić. Muszę być w niej bardzo śmieszna...

Śmieszna nie była, ale inną, zupełnie inną. Gdy zobaczyłem ją na peronie, oczekującą na mnie i zdaleka błyszczącą jasnymi barwami satynowej, jaskrawej sukienki, nie poznałem prawie mej pieczętki w tem papuzim ubraniu. Obok niej ciocia Locia zwracała ogólną uwagę dziwnej formy parasolką. Dwóch młodych ludzi, przystojnych, wyrosniętych, ubranych gustownie, eskortowało te panie. Gdy wyskoczyłem z wagonu,

moja dziewczynka podbiegła ku mnie, witając serdecznie. Była w niej jednak jakaś sztywność, której dawniej nie było nigdy. Gdy pochyliła się ku mnie, żądając sprawozdania z podróży, spostrzegłem w jej uszku zamiast korala duży turkus, ujęty w piękną srebrną oprawę..

Przyzwyczałem się do jej dzieciennych koralowych kolczyków, pogodziłem się nawet z niemi. Turkus sprawił mi przykrość nową.

Był to zapewne dar cioci Loci.

I od tej chwili zapragnąłem wziąć moją dziewczynkę wyłącznie dla siebie, bo czułem, że jej uszko razem z turkusem zaczyna chętniej skłaniać się w stronę świata, niż ku mnie. Wolała teraz wesoły śmiech, niż jęk cierpiącego bliźniego.

Dawniej wsłuchiwała się chętnie w skargę nędzarza i biegła mu z pomocą, dziś tony polki wabiły ją ku sobie nieprzpartym czarem. Ale ja wierzyłem zbyt silnie w potęgę uczucia, które kierowało mną i było myślą przewodnią w zajęciu się wybraną przezemnie kobietą. Nie miałem jednak czasu do stracenia, — trzeba było otoczyć ją miłością jawną, stworzyć jej ognisko domowe, do którego ją przeznaczyłem, — wprowadzić w czyn to, nad czem pracowałem.

W dodatku dziewczynka moja zmieniała się z dniem każdym. Bezustanne rumieńce, wybiegające na twarz bez przyczyny, nadmierna wesołość

lub jakiś przygnębiający smutek, czyniły z niej istotę nerwową, prawie kapryśną. Ciocia Licia znów zjawiała się jak duch opiekuńczy i pewnego poranku uwiozła moją dziewczynkę na wieś, pod pozorem, że świeże powietrze oddziała zbawienie na jej zdrowie. Czekałem tydzień cały na list od mej przyszłej żony. Nie przyszedł przecież — widocznie zapomniała o mnie. Czekałem jeszcze dni kilka.

Napróżno!

Bez namysłu udałem się w strony, gdzie leżała wieś, będąca własnością ciotki Loci. Ciotka zapraszała mnie kiedyś nawet dość uprzejmie. Skorzystałem z zaproszenia. Po kilkunastogodzinnej podróży byłem na Wołyniu. Ze stacji kolei żelaznej wziąłem konie i podjechałem pod samą bramę ogrodu, okalającego dwór.

Przy bramie wysiadłem, a wzięwszy mą podróżną walizkę w rękę, wszedłem do ogrodu, kierując się raczej instynktem, bo ogród obszerny był czystym labiryntem ścieżek i alej. Olbrzymie lipy szumiały dokoła, stykając się gałęziami i tworząc w ten sposób łuki triumfalne, pod którymi przechodziłem szybko, pragnąc zobaczyć... moją dziewczynkę.

Teraz byłem zdecydowany stanowczo. Słowa miłości drżały na ustach moich. Powiem jej, jak ją kocham; nauczę ją kochać, otworzę przed jej

oczami świat uczuć i słodkich obowiązków. Dłużej wahać się nie mogę dla niej i dla siebie..

Nagle, wyszedłszy z za gęstwiny drzew, stałem olśniony pięknnością widoku, jaki mam przed sobą.

Wielka, gładka tafla wody, ujęta w zielone brzegi, srebrzy się jasnymi smugami, jakie pozostawia po sobie pływające koło brzegów ptactwo. Płaczące wierzyby maczają swe gałązki, przysiadłszy małemi grupami dokoła stawu. Poza wodą wioska bieli się na tle ciemnego boru, wznoszącego się jak liściasty wał szumiący, pełen tajemnic, które w swem wnętrzu mieści.

Ponad tem niebo czyste, lazurowe, pogodne, jak przyszłość, którą sobie wymarzyłem i która mi się słusznie należy. Nad brzegiem stawu bieli się postać dziewczęca.

To ona!

Biegnę ku niej. Za chwilę jestem koło mej dziewczynki, jeszcze piękniejszej wśród tej przyrody, wśród tej zieleni i błękitnych niezabudek. Ona wita mnie z radością, ale z pewnem pomieszaniem. Kąpała się przed chwilą, bo włosy w nieładzie spadają jej na ramiona, zakrywając uszka i szyję. Jest jednak tak uroczą, piękną jak rusalka z bajki. Tęsknota, obawa utraty, wreszcie miłość moja dodają mi sił. I wśród tej ciszy, tego słonecznego piękna, jakie mnie otacza, po-



wstaje we mnie nieprzeparte pragnienie powiedzieć jej długo tajone słowo.

Ujmuję ręką zwoje jedwabistych włosów i odsuwam, pragnąc zbliżyć się do mego ukochanego uszka. Nagle z pośrodku masy włosów błyska coś, jak ogień mieniający się barwami tęczy.

Zamiast turkusa w uszku mej dziewczynki tkwi wielki, wspaniały brylant.

Chcę mimo to powiedzieć jej, jak ją kocham, — ale nie mogę. Słowa więzną w gardle, jakaś mgła zasłania oczy...

Urywam głosem zapytuję:

— Skąd masz takie brylanty?...

Ona płoni się cała jak zorza i kryje swą główkę na mej piersi.

— To od cioci Loci prezent ślubny! — mówi ledwie dosłyszonym szeptem.

— Prezent ślubny?...

— Tak, idę za mąż, za pana Leona, tego z blond włosami, który bywał u nas czasami w Warszawie. Od tygodnia jesteśmy zaręczeni. Nikt, oprócz mamy i cioci, nie wie jeszcze o tem... Chciałam ci to sama powiedzieć, mój stary przyjacielu!

Stary przyjacielu!

Tak — miała słusność. Byłem dla niej tylko starym przyjacielem. Przyszedł inny, młodszy i zabrał ją jak swoją.

Zwykła kolej rzeczy.

A przecież doznałem wielkiego bólu, widząc, że mi wydzierano skarb, który przywykłem uważać za swoją własność. Wychowałem ją dla siebie, ucząc obowiązków miłości bliźniego, nauk przyrodniczych i wielu innych pięknych rzeczy.

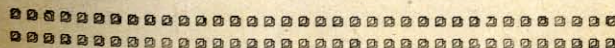
Spóźniłem się tylko z nauką miłości.

Pan Leon mnie uprzedził, a że uczył z większym powodzeniem, powiedziało mi to jej uszko, oblane w tej chwili gorącą purpurą i ozdobione blaskiem brylantu.

Smutno mi!

Na mej piersi spoczywa jej główka, złocąc się w promieniach letniego poranka. Tuż przy ustach moich mam drobną, różową muszelkę, w którą przelewałem duszę moją, a teraz pragnąłem miłość przelać. Muszelka ta różowa, delikatna mieni się siatką purpurowych żyłek...

Jej uszko!... mój Boże! jej uszko!...



DLA CZEGO?

• OBRAZEK

Przrzekła, że przyjdzie, — pomimo głuchego  
cierpienia, jakie jej to przyrzeczenie spra-  
wiało. — Walczyła długo, tak jak zre-  
szta walezy każda kobieta, przestająca być uczciwą.

Nic jej nie usprawiedliwiało.

Mąż jej był młodym człowiekiem, pełnym sił  
żywotnych i gorącego przywiązania. Spokojne do  
tej chwili pożycie mogło być rajem dla każdej in-  
nej kobiety, — Klarze przecież stało się torturą.

Od rana do nocy kręciła się jak pantera po  
ciasnem, ale miłym mieszkanku, błyskając zielona-  
wemi oczami, w których paliły się jakieś niepocz-  
ciwe żądze. Miała nieszczęśliwy temperament ómy,  
biegnącej do ognia, lubiła kradzione pieśczoty  
i blask fałszywych kamieni. Wychowana źle, a ra-  
czej nie wychowana wcale, nie różniła się w ni-  
czem od zwykłych żon urzędników, kobiet-paso-  
żytów, zganiających na męża całą troskę o chleb

powszedni. On w pocie czoła pracował dniami i nocami całemi, ona z miłą bezczelnością pieniądze te włóczyła z szelestem jedwabnych sukien lub w delikatnych obłóczkach koronek. Była przecież „kobietą“ — to jest istotą, złożoną z różowego ciała i kilku drobnych kosteczek. Zapewne dla tej delikatnej budowy ramion nie mogła dzielić wspólnie pracy z człowiekiem odmiennych form i muskularniejszych członków. Udawała wprawdzie, że się zajmuje „domem“, ale zajęcia to bardzo ograniczone. Wieczorem, z miną zdetronizowanej królowej, robiła rachunek, kreśląc nie dbale cyfry, krzywo, nieregularnie, a potem z niezwykłą przebiegłością udawała, że dodaje te hieroglify, których sama odcyfrować nie mogła. Płaczliwym tonem wydawała dyspozycje na dzień jutrzejszy. Mówiąc: „śmietanki jak zwykle“ — nadawała swemu głosowi intonacje, z jaką Ofelja przemawiała w chwili obłąkania: „Dla ciebie piolun, królowo!..“

Zdawało się jej, że jest lilją, złamaną przedwcześnie, — topolą, w którą ugodził piorun i rozdarł ją na dwoje, słowem — istotą wyższą, pogiębioną na niziny, znękaną nad wyraz wszelki.

Po całych dniach pochłaniała angielskie romanse, zalewające falami dodatki pism tygodniowych. Cierpiała z miss Heleną, lord Rossbeery

lzy jej wyciskał, a umierała z boleści nad losem lady Carlington.

W gruncie rzeczy była to bardzo dobra kobieta, tylko brakowało jej rozsądnie wszczepionych zasad; chorowała na blednicę i sentymentalizm już w wilgotnych murach „pensji wyższej żeńskiej“, na którą dzieckiem ją oddano. Dziś — zdrowe odżywianie się wyгнаło blednicę, lecz nie zdołało rozegnać tej śmiesznej tęsknoty za romansowemi przygodami, jakie jej duszę trawiły.

Przyrzekła więc schadzkę, pełna niezadowolenia z samej siebie — podniecając się przecież myślą, że jest jedną z bohaterek romansu, naprzykład lady Brascomby, którą fatalność popycha w ramiona pięknego sir Raverta.

Czy rzeczywiście pan Adolf miał jakie podobieństwo do sir Raverta? Widocznie tak było, skoro Klara zauważyła go odrazu i w swem bezczynnem, ślimaczem życiu zrobiła sobie zeń ideał, ubierając ten ideał w coraz piękniejsze barwy.

W gruncie rzeczy pan Adolf był urzędnikiem c. k. namiestnictwa, przystojnym brunetem o szerokich barkach i wspaniałych zarysach profilu. Profil ten uderzał odrazu szlachetnością i czystością linii, mówił nawet wiele więcej niż sam pan Adolf, który odzywał się bardzo rzadko i tylko w nadwyczajnych wypadkach. Dla Klary zrobił jednak wyjątek. Ta blada blondynka o zielonych

oczach zajęła go trochę. Czuł w niej niezadowolenie rozgrymaszonej kobiety. Takie rozkapryszone próżniaczki stanowią zwykły kontyngens istot, fotografujących się przynajmniej trzy razy na miesiąc, dysponujących codziennie na obiad cielęcinę i wyciągających ręce do seduktorów ulicznych lub salonowych, uganiających się za ładną a ponętą zwierzyną pod postacią młodej mężatki.

Pan Adolf miał już podobno kilka takich grzeszków na sumieniu, jeśli to wogóle za grzech przyznać można. Mówiono nawet o romansie, na serio związanym z pewną mężateczką, która na skutek tej miłości zerwała wszystkie pęta — i umarła gdzieś w dalekich krajach. Było to przecież dość dawno — o! tak dawno, że piękne panie przypominały sobie ten rok przez zmianę, zaszła w fasonach kapeluszy. Był to niezwykły rok... Kapelusze „Niniche“ wzięły górę nad innymi fasonami — i piękna pani R. zniknęła z horyzontu. Potem podobno umarła, ale nikt się o to nie troszczył. Któż pyta, gdzie się podziła gwiazda spadająca? Znikła w przestrzeni! *Voilà tout.*

Klara słyszała o zdobyczach pana Adolfa. Nie od niego samego, broń Boże! Adolf miał tę wielką zaletę, że nigdy nie podkreślał ironicznym uśmiechem rzuconych mu podejrzeń, ani protestował zbyt gorliwie, gdy ktoś zapytał otwarcie o sto-

pień łask, jakimi go ta lub owa mniej okrutna piękność obdarza.

Zawsze *correct*, ubrany modnie i gustownie, przedstawiał typ skończonego dżentelmena, zaplątanego w urzędniczym świecie. Nic więc dziwnego, że kobiety zwracały ku niemu omdlewające spojrzenia.

Klara jednak wyprzedziła wszystkie. W gruncie rzeczy uczciwa, umiała sobie nadać pozory przewrotnej kokietki. Gdy z poza wachlarza uśmiechała się ku niemu, można było sądzić, że to nie debiutantka, stawiająca pierwsze kroki, ale wprawna artystka. Otoczenie dopomagało wiele. Widywali się pod kasztanami ogrodów publicznych, mieszając swe westchnienia ze szmerem liści. Nieraz na koncercie, przy fermacie, Klara rzucała zażawione spojrzenie w stronę Adolfa — i, rzecz naturalna, spotykała jego wejrzenie pełne obietnic, zachęcające do występku.

Zgubą ich wszakże był... teatr.

Ta sztuczna atmosfera, niezdrowy blask kinokietów, chorobliwa wesołość, spadająca z pod paludamentów sceny, wysuwająca się ze zniszczonych fałdów aksamitnych portjer, wybielonej maski bohaterki tragicznej, pijącej truciznę z blaszanego kubka, wszystko to podniecało wyobraźnię Klary do zenitu.

Wiarołomstwa, stanowiące główną treść sztuk, obecnie przedstawianych, — te wiarołomstwa, uplastycznione przez ludzi w niezłe skrojonych tużurkach, lub szeleszczące w trenach aktorek, zachwycały ją, wabiąc ku sobie niepojętym czarem.

A muzyka? opery, pełne uroku słodkich melodyj, przysiąg, obietnic...

Cały ten język miłości, śpiewany z akompaniamentem instrumentów dętych i rżniętych!...

Jakże się rozkosznie słucha:

„Pozwól mi, pozwól, ach!

Patrzeć w twe oblicze!...”

Błękitne światło oblewa ublanszowanego tenora, na którego berecie powiewa zadziwiająca pióra... Dokoła cisza, — każdy mężczyzna wyobraża sobie, że jest Faustem, a każda kobieta wciela się w Małgosię, która w blond peruce z filozeli wyprawia niepojęte grymasy, wsparta o tekturowe okno.

W takich chwilach rozgorączkowane głowy tracą równowagę, ręka osuwa się powoli i natrafia na drugą rękę, ubraną w bardzo zresztą dystygowaną rękawiczkę. Następuje długi uścisk — i sprawa skończona. Faust tymczasem rozplywa się wśród frazy:

„Ach mów! ach, mów jeszcze!”

Małgosia wypada prawie z okna — a mąż pocziwiec, który za ciężko zapracowany grosz ku-

pił łożę, słucha uważnie muzyki, reasumując swe wrażenia w następującym frazie: „To byłoby o wiele ładniejsze, gdyby tyle nie śpiewali“.

Tu następuje ze strony rozpoetyzowanej żony wymowne wzruszenie ramion, a ręka, zniechęcona nadmiarem cierpienia, opada z całym zaufaniem na dłoń, strojną w glansowaną rękawiczkę. Na scenie światło staje się coraz błękitniejsze, a melodja płynie słodka, uroczą...

„Ja kocham cie!...”

Kobiety uchylają głowy i poprawiają grzywki, mężczyźni opierają się melancholijnie o ramię sąsiada, a przez całą salę biegnie jakiś prąd miłosny, owijający gorącymi kłębami drżącą od wzruszenia publiczność. Namiętność cicha, szlachetna, pełna wdzięku, płynie na skrzydłach pieśni i budzi zmysły każdego. Inny to rodzaj Offenbachady. Operetka — to jawna rozpusta, trywjalna, rozpasana, kończąca się przy blasku świec, tak zwanych osiem na funt, — opera — to występek, pełen pozorowego czaru, ciągnący za sobą nieszcześnie, upadek i lzy...

Mężowie powinni kupować swym żonom łożę tylko na operetki.

Dla kobiety uczciwej kankan jest rzeczą niezrozumiałą, nie doprowadzi jej do zguby. Widzi w tej muzyce galopadę, którą radaby zatańczyła

z jakim dobrym tancerzem — i nic więcej. Ale opera upaja ją zatrutą wonią idealizowanego występku. Któraż, powróciwszy z przedstawienia „Piękną Heleną“, zamarzy o zdradzeniu męża, tak jak to córka Ledy uczyniła ze swym Menelajem? Wiarołomstwo ośmieszona, podane w karykaturze, może tylko otrzeźwić śmiesznością swoją rozgorączkowaną głowę... Ale za to ileż gorących westchnień i pragnień wzbudzi Walentyna, czepiająca się nóg Raula i zawodząca cienkim sopranem:

„Ach! co za los!“

Ta bohaterka z rozczochranemi włosami, w koronkowym peniuarze, jest o wiele ponętniejszą, niż królowa grecka ze swoim naiwnem dla kochanka zaproszeniem:

„O siódmej punkt waza na stole.“

Klara nie stanowiła wyjątku pod tym względem. I na nią opera działała w sposób denerwujący. Oparty prawie o jej krzesło, siedział Adolf, śledząc drobne kręcone włoski, wijące się po osłoniętym grecką fryzurą karku. Włoski te, umiejętnie fryzowane zapomocą żelazka, kręciły się w sposób niezmiernie kokieterijny, złocąc się na tle białej jak mleko skóry. Płec Klary nie pozostawiała nic do życzenia. Za młodą była jeszcze, aby wszelkie „nieporównane“ balsamy i rosy piękności mogły zeszpecić przezroczyłość jej cery.

Była to cera doskonale biała, podniesiona całą siatką błękitnawych żyłek, snujących się ku skrońcom. Adolf uwielbiał ten rodzaj piękności. Sam silny brunet, żądał kontrastu. Takim kontrastem dla niego była porcelanowa białosc blondynek. Klara właśnie była skończonym typem jasnowłosej, porcelanowej lalki. Gdy rozłożona nie dbale w fotelu prezentowała swą kształtną figurkę, obciśniętą w jasny błękitny kaszmir, zdawała się być wyjętą z wystawy sklepowej, tak elegancko zimną była jej powierzchowność. Ale Adolf wprawmem okiem szczęśliwego w swych zdobyczach mężczyzny dostrzegał drganie nerwowe jej powiek i przygryzanie ust wilgotnych. Dlatego, gdy Faust ścisnął Małgorzatę, ręka Adolfa szukała uparcie smukłych palców Klary; a znalazłszy te palce w fałdach kaszmiru, rozpoczynano pieśń bez słów, niby niemy akompanjament do akcji, rozgrywającej się na scenie.

„Dla ciebie umrzeć chcę!..“ jęczała Małgorzata. Klarze wilgotna mgła zasłaniała oczy. O! jakżeby chętnie i ona stanęła w takim okienku, oblana młodym blaskiem księżyca. Adolf Faust klęczałby wśród splotów dzikiego wina, a ona, zarzuciwszy mu ręce na szyję, szeptałaby konającym głosem: „Dla ciebie umrzeć chcę!..“ Jakże daleką była od niej w tej chwili proza codziennego życia! „Śmietanki jak zwykle“ — czekało

na nią; wiedziała o tem, ale starała się zapomnieć o tej ciężkiej chwili. W tej atmosferze melodji, gazu i księżycy płynęła na chmurkach zachwytu na wzór niektórych rozanielonych poetek, które w przystępie ekstazy wzlatają w krainy, do których sens i logika nie mają stanowczo przystępu.

Ale wszystko ma swój koniec. I opera, choć pięcioaktowa, trwać wiecznie nie może. Kurtyna z zamorusanemi nimfami spadła, był to znak odwrotu. Małgorzata biegła czempredzej do garderoby, zrywając z głowy perukę, a Faust domagał się „szmalcu“.

Złudzenie zniknęło, ale nie dla Klary. Mileząc, kładła podawane przez męża okrycie, otulała się koronkową chusteczką i przyjmowała z niechęcią ramię swego pana i władcy. Rozmarzona kroczyła przy jego boku, słuchając głosu Adolfa, który zwykle odprowadzał ich aż do samej bramy. „O! mów! o! mów jeszcze...“

Pomimo turkotu dorożek, ciągłego odzywiania się męża, ona snuła ciągle legendę poetyczną, transponując ją wedle swej potrzeby. Budziła się dopiero przy samej bramie, gdy Adolf żegnał się z nimi i napozór zwyczajnym głosem mówił jej: „dobranoc panil“

Ona, równie napozór spokojna, odpowiadała mu: „dobranoc panul“ — ale oczy ich w blasku zawieszanej nad bramą latarni mieniły się dziw-

nie. Jej porcelanowe, niebieskie oczy stawały się prawie czarnymi, a jego ciemne źrenice błyskały błękitnym fosforycznym blaskiem. Mąż tymczasem najspokojniej dzwonił i szukał „dziesiątki“ dla stróża, nie przezuwając nawet, jakiego rodzaju błyskawice ścierają się poza jego plecami.

Prosty lud wierzy, że błyskawice bez grzmotów zwiastują pogodę, — czy jednak w tym wypadku pogoda i spokój mogły być wynikiem podobnej wymiany spojrzeń, tryskających błyskawicznym światłem?

Klara czuła w głębi duszy, że leci w przepaść, ale romanse co innego mówiły. Wszakże lady Brascomby, kochając sir Raverta, nie zginęła w przepaści; przeciwnie — mąż jej uciekł z jakąś śpiewaczką i został za to przeszyty szpadą przez dawnego wielbiciela swej kochanki. Lady Brascomby padła w objęcia sir Raverta — i tak wiarołomna żona została wreszcie wynagrodzoną. Klara jednak nie sięgała tak daleko marzeniem swoim. Nie chciała, aby mąż ją porzucił dla śpiewaczki, a tem mniej został przeszyty szpadą, ale miłość jasnowłosej lady miała w sobie tyle poezji...

Na schadzkiach nie mówiono: „śmietanki jak zwykle“, ale szeptano w blaskach księżycy rozkoszne przysięgi. Klarze głowa płonęła, gdy pomyślała, że i ona mogłaby mieć chwile podobne-



go szczęścia i rozkosznych uniesień. Od niej zależało sięgnąć po zakazany a tak ponętny owoc. Miała go też przy sobie, o kilka kroków, potrzeba było tylko przyzwolenia z jej strony, jednego kiwnięcia głową, jednego słówka... O to słówko prosił bezustannie Adolf, naznaczając schadzkę, na której (według słów jego) pragnął tylko ucałować jej rękę i pomówić z nią spokojnie, bez świadków. Zresztą nie żądał nic więcej, — czcił ją zanadto, szanował jak świętość!.. Miłość miała być ich aniołem stróżem przed niepocziwą pokusą...

Klara, słuchając tych słów, bladła lekko, a po jej twarzy przesuwał się cień znużenia. Rzeczywiście, walka, którą staczała z sobą, z własną ciekawością, chęcią do złego i rozegzaltowanem uczuciem dla Adolfa, męczyła ją niewypowiedzianie. To też gdy pewnego majowego ranka rzekła owo nieszczęsne „tak!“ — odetchnęła swobodniej. Spaliła mosty za sobą. Słowa musi dotrzymać, choćby jej zginąć przyszło. Zresztą dłużej się opierać byłoby śmiesznością. Mąż ją zaniedbuje, sam popycha w przepaść, każąc codziennie robić rachunki z kucharką i dysponować obiady! Dusza jej niezrozumiana błąka się jak ptak w klatce wśród ścian mieszkania, złożonego z trzech pokoi, przedpokoju, kuchni, piwnicy i góry wspólnej. Nie! takie życie jest nie do znośnienia! Czyż wczoraj

jeszcze mąż nie zapytał się, po czemu funt polędwicy?

I w swej ciasnej główce, pełnej żądzы występku, stawiała całe szeregi urojonych zarzutów przeciw człowiekowi, który wziął ją, ubogą dziewczynę, pod swój dach wprowadził i miłością i względnym dostatkiem otoczył. Nie doznała nigdy braku, często miała nawet zbytek — i w głębi duszy oceniała to dobrze. Ale teraz przyszła na nią chwila szału, jakaś dzika chęć zboczenia z prawej drogi, po której dotąd kroczyła. Dlatego to, pełna niezdrowego zadowolenia, powiedziała owo straszne, choć napozór nie nieznaczące słówko — „tak“, obowiązujące ją do przyjsicia o oznaczonej porze do... mieszkania Adolfa.

I tu rozegzaltowana wyobraźnia grała wielką rolę. Klara chciała użyć wszelkich wrażeń, przywiązanych do pierwszej schadzki. Chciała wejść, okryta ciemną zasłoną, do mieszkania mężczyzny, drząc z trwogi, oglądając się co chwila, czy nie jest śledzoną. Była to jakaś fantazja dziecinna, jakieś igranie z płomieniem świecy, bez względu na ból, jaki ten płomień może nieostrożnej rączce sprawić. Z bijącym sercem przygotowywała się do tej wyprawy. Sprawiała sobie szal koronkowy, długi, czysto jedwabny, aby we wszystkim przypominać lady Brascomby.

Ponieważ włosy fikcyjnej bohaterki woniały

zdaleka heljotropem, Klara, pragnąc, aby złudzenie było zupełne, oblała się obficie takiemiż perfumami. Szeleszcząc czarnym jedwabiem, pełna tajemniczych spojrzeń, siedziała przed lustrem, upinając na głowie szal koronkowy i czekając niecierpliwie oznaczonej godziny.

Mąż dnia tego miał tak zwaną „inspekcję“. Musiał pozostać w biurze cały wieczór, tembardziej, że był to ważny dzień wyborów z „mniejszych posiadłości“. Siedzieli więc ojcowie kraju i czuwali, drzemiąc na wygodnych sofach, poustawianych ku poobiedniej drzemce w c-k. namiestnictwie galicyjskiem. Bezpłatni c-k. „konceptpraktykanci“ zajmowali się przez ten czas bardzo pilnie czyszczeniem paznokci, ku czemu mieli bardzo ładne pilniczki, a płatni komisarze i sekretarze powierzali sobie nawzajem poufne zwierzenia co do stanu umysłu wysokich radców i dygnitarzy, zwąc ich po przyjacielsku i z wielkim zresztą szacunkiem „staremi flacznicami“, to jest bajczarkami.

I wszystko było w porządku w tem najpiękniej zorganizowanem ze wszystkich namiestnictw na kuli ziemskiej, tylko zupełnie niepotrzebnie mąż Klary siedział przy swem biurku i wydierał kawałki bibuły z teczki, rzucając je na ziemię.

Zapewne, że zajęcie to, jak na cesarsko-królewskiego komisarza powiatowego, było dość ważne, ale lepiejby było, gdyby ten cesarsko-kró-

lewski komisarz powrócił do domu i zapytał wychodzącej właśnie żony: „Gdzie idziesz? kiedy wrócisz?“ Ale inspekcja była nieubłagana... mąż kończył wydierać szustą kartkę bibuły, zapewne dla dobra kraju, a Klara wsiadła w dorożkę, mówiąc zgrubiałym i nienaturalnym głosem: „Na plac Marjacki“.

Jadąc, zastanawiała się jeszcze chwilę.

Możeby kazać zawrócić? Ale ciekawość przemogła. Doznawała tego samego wrażenia jak wtedy, gdy ze swoją przyjaciółką wsuwały się ukradkiem do muzeum Gassnera. Wiedziała, że bezwarunkowo isć tam nie powinna. Dostała nawet wypieków gorączkowych na twarzy, a mimo to weszła do tej płóciennej budy, którą okalał cały tłum żydziaków i uliczników. Teraz, gdy jedzie w tej ciemnej i brudnej dorożce, doznaje tego samego uczucia jak wtedy, gdy zapadała za nią brudna czerwona firanka przy wejściu do muzeum. Tak samo gorąca fala krwi uderzyła na jej chłodną zwykle twarzyczkę i pozostała tam długi czas, nawet po opuszczeniu zakazanego miejsca. W tej dorosłej, rozpróżnianej, pełnej niezdrowych pragnień kobiecie pozostało jeszcze dziecko fantastyczne, rwące się do zakazanych rzeczy z uporem nieokreślonym. Trwoga, drżenie, jakie oparowało jej członki, niemal fizyczny ból, jaki sprawiał jej ten postępek, wszystko to było dla niej

rozkoszną męczarnią, różniącą się bardzo od prozy codziennego życia.

Wysiada z dorożki i, pełna zbytecznych ostrożności, pragnie przemknąć niepostrzeżona przez bramę i wejść na schody. W zbytniej gorliwości robi jednak taki szum jedwabiami swych spódniczek, że zwraca uwagę kilku sług, rozmawiających w sieni. To nie! — nie poznały jej przecież, dla tej prostej przyczyny, że jest im zupełnie nieznaną. Ona jednak przypisuje to gęstości swego koronkowego welonu i w duszy dziękuje wydawcom moralnych i sentymentalnych powieści, które pouczają, jak można wejść niepostrzeżoną do mieszkania mężczyzny. Chwila jeszcze, a już stoi przy drzwiach, na których błyszczy mosiężna tabliczka, świecąca zdaleka imieniem i nazwiskiem jej ukochanego.

Jej ukochanego?

Chyba nigdy jeszcze nie kochała go tak jakoś mało, jak właśnie w tej chwili. Nie pragnęła ani pieszczot, ani pocałunków... Miły Boże! wszak miała tego pod dostatkiem w domu. Pragnęła czegoś nieznanego i dlatego szarpie febrycznie mosiężną gałką, złoczącą się na tle ciemnego drzewa.

Drzwi się uchylają i Klara z szumem wchodzi do przedpokoju. Drzwi zamykają się dyskretnie — i Klara, chwilowo niemogąca się rozpoznać wśród

gęstych nitek koronki, widzi teraz przed sobą... nie Adolfa, lecz jego służącego, Michasia, zręcznego, wysmukłego chłopaka, który nieraz podczas nieobecności męża przynosił snopy kwiatów i wręczał je zasmolonej kucharce Klary. Miałaby ją teraz poznać, a jutro po całym mieście opowie dzieć jej upadek?

Cóż za nieroztropność ze strony Adolfa! Nie mógłże oddalić na godzinę tego chłopca i sam drzwi otworzyć? Nie! ci mężczyźni nigdy nie mają taktu.

Ale Michaś pełnym szacunku tonem tłumaczy swego pana:

— Pan hrabia potrzebował wyjść koniecznie; powróci za chwilę. Pan hrabia poszedł do namiestnictwa na kwadransik, bo Jego Ekscelencja tak kazał. Ale niech jaśnie pani będzie spokojna i raczy przejść do salonu. Pana hrabiego spodziewać się można za chwilę...

Klara słucha tej mowy z podziwieniem. „Pan hrabia! „Jaśnie pani...“ Zapomniała widocznie, że jest w Galicji... Dlaczegożby służący, któremu pan sprawił szare spodnie z lampasem, kurteczkę z zielonym kołnierzem i czapkę z piórkiem, a w dodatku nie płaci mu pensji, — dlaczegożby więc taki służący nie miał wydać swemu panu hrabiowskiego dyplomu?

Do sądu nikt Michasia za to nie pociągnie, swoboda w tym kraju kwitnie na równi z pokrzywą pod płotem lub z serwilizmem w sali sejmowej. Dlatego to Michaś, błyskając dwoma rzędami wspaniałych świecących guzików, mówi bardzo dobitnie: „Pan hrabia za chwilę powróci, jaśnie pani raczy poczekać“. Delikatnym wędchem kawalerskiego sługi przeczuł w tej zawołowanej kobiecie „coś lepszego“, choć niezupełnie z tej arystokracji, którą zna już potroszę.

Bał gdyby Michaś chciał być niedyskretnym... zachmurzyłby się cokolwiek horyzont miasta Lwowa. Ale Michaś wie, co do niego należy, i teraz, wpuściwszy Klarę do salonu, sam siada na sofce tuż przy drzwiach, wyprostowany, jakby na straży honoru kobiety, kompromitującej się przyjściem do tego mieszkania.

Zresztą on usprawiedliwia potroszę te biedne warjatki, przepadające za jego panem. On sam jest także pięknym, roslym chłopcem i ma czasem kłopot z podobnego rodzaju sprawkami. Odwiedzają go wprawdzie nie takie szumiące jedwabiami i pachnące figurki, ale ma czasem szczęście nielada i to szczęście uczyniło go względnym i wyrozumiałym na błędy ludzkie. Dlatego Klara może być zupełnie spokojną. On jej nie zdradzi; co najwięcej, jeśli ją pozna na ulicy, odwróci znacząco głowę, lub śpiesznie przejdzie na drugą stronę

ulicy. To jest jego system. Nie miesza się do spraw pana, tak jak nie lubi, aby się do jego spraw wtrącano.

Klara, wszedłszy do jasno oświetlonego saloniku, zatrzymała się chwilę. Welon krępował ją. Widząc, że drzwi przedpokoju przysmykają się dyskretnie, a Michaś znika jakby za pomocą czarów, odrzuciła koronkę i spojrzała dokoła.

Było to mieszkanie kawalerskie w całym słowa tego znaczeniu. Składało się tylko z obszernego pokoju i alkowy. Można je było objąć jednym rzutem oka. Firanki, zasłaniające alkowę, były rozsunięte i podtrzymane zapomocą dość ciężkich oksydowanych łańcuchów. Japońska latarnia oblewała żółtawem światłem wnętrze alkowy, oświetlając łóżko szerokie, niskie, przysłonięte kapą ze staroświeckiej zielonej materji w srebrne półksiężyce. Nad łóżkiem, na tle ciemno-czerwonej perskiej makaty, błyszczała rozmaita broń, poukładana w artystyczny sposób. Reszta alkowy tonęła w cieniu.

Natomiast w saloniku jasno było od mlecznych kloszów lamp, płonących na stole i etazerce. Klara usiadła na niskiej, aksamitem krytej sofie i zaczęła uważnie spoglądać dokoła. Całe to urządzenie, pełne harmonji w swym nieladzie, ta mieszanina wszystkich stylów i wieków była dla niej rzeczą zupełnie obcą i prawie nie-

pojętą. Przyzwyczajona do czystych symetrii filisterskich mieszkań, zdumiała się nagle wobec tych otomanek, pokrytych skórą niedźwiedzi, tych foteli ciężkich, wysokich, o oparciach kilkulokciowych, rzeźbionych misternie, niemal koronkowo. Oczy jej błąkały się po ścianach, pokrytych całą masą makat, dywanów wschodnich, gobelinów, oprawnych w pluszowe ramy lub rozpiętych na dębowych stalugach.

Na jednej ze ścian, na tle ponsowego sukna, ujętego w bardzo szerokie dębowe ramy, widniały rogi jelenie, krzyżujące się w najrozmaitszych kształtach. Naokoło zaś porozpinana broń rozmaita: ciężkie, niezgrabne staroświeckie strzelby, lekkie teraźniejsze dubeltówki, pistolety nabijane srebrem, zgrabne rewolwery, nawet jałagany o rękojeściach z kości słoniowej, nasypywanej turkusami. Wszystko tam było przeplatane drobnymi sztylecikami w safianowych pochewkach lub myśliwskimi nożami, błyskającymi zdala błękitnym blaskiem stali. Kilka łbów odyńców wyszczerzało swe kły z rozmaitych kątów pokoju, a ponad etażerką w formie harfy, całej bronzami pokrytej, w zgrabnym zgięciu gotował się do skoku wielki, żółty ryś, umieszczony na kawałku gałęzi przybitej do ściany. Szklane oczy mieniły się zielonem szmaragdowem światłem jak oczy męż-

czyzny, kłamiącego miłość i bezinteresowne przywiązanie.

Klara mimowoli odwróciła głowę. Ryś ten miał jakiś dziwny wyraz — patrzył na nią drwiąco, jakby pytając, czego chce ta kobieta? czego szuka z tak rozgorączkowaną twarzą? za czem biegnie ta szalona, depcząc po swych obowiązkach?...

Klara powstała i zbliżyła się do stołu, pokrytego prześliczną szwedzką serwetą, złożoną całą z drobniuchnych trójkątów różnokolorowej skóry. Stół ten stał na środku, a dokoła niego porozrzucono szerokie czworograniaste taburety, pokryte czarnem suknem, haftowanem w tysiące arabesk jasnymi jedwabiami.

Na stole leżały całe stosy książek francuskich, angielskich, ozdobnych zagranicznych wydawnictw — Herman i Dorothea, *La femme*, Albumy Makarta, *La Parisienne*, Herbarze, Wykazy działalności c.-k. namiestnictwa, kalendarze, — wszystko to pomieszczone bez ładu, porozrzucone, świecące purpurą okładki, błyszczące złoceniem brzegów, — wszystkie te książki świeże, nienaruszone, jakby wzięte wprost z półek księgarskich, zalewały szeroki owal stołu, kąpiąc się w mlecznym świetle lamp.

Był w tem chaos, panujący zwykle na stołach w salonie dentysty, który, przeznaczwszy pewną kwotę na „zabawienie“ gości, skupuje w księgarni

cały stos książek, oprawnych w ponsowy lub niebieski safjan.

Klara usiadła przy stole i machinalnie wzięła książkę do ręki. Była to wiązanka francuskich poezyj, zatytułowana „*La femme*“, ozdobiona ładnymi drzeworytami. Ale Klara czytać nie mogła. Zanadto była wzburzoną.

Z poza zamkniętych i szczelnie zasłoniętych okien wdzierał się gwar uliczny, turkot dorożek, hałas przechodniów. Mimowoli wyobrażała sobie, że właśnie teraz może przechodzi pod temi oknami jej mąż, nie przypuszczając, że ona tu siedzi... Ta myśl sprawiała jej ból nieokreślony.

Chcąc się rozerwać, zaczęła rozglądać się znów po pokoju. Powoli oko jej rozróżniało i oceniało wszystkie drobiazgi i cenniejsze rzeczy, nagromadzone tu z całym starokawalerskim zamiłowaniem. Podziwiała więc ciężkie, bogate portjery, nawleczone na hebanowe strzały, dwa małe foteliki i stolik z jelenich rogów, wielkie zwierciadło, oprawne w błękitną kamienną ramę, pokrytą delikatną siatką złotych nitek, niskie taburety, złożone z trzech aksamitnych poduszek, związanych ze sobą purpurowymi sznurami, stoliki z przyrządami do palenia i wiele innych drobiazgów, których w swem mieszczańskim ubóstwie nie widziała, ale odczuwała instynktem kobiety pełnej pragnień komfortu i zbytków, których posiadać nie mogła.

I w tej niezadowolnionej chęci nie zrozumiała, jak niewłaściwym i śmiesznym był tego rodzaju przepych, zamknięty w obrębie jednego pokoju i alkowy, jak dziwnie wyglądały te pyszne strzelby, jatagany, porozwieszane obok etażerek z chińskiej laki, zapchanych mnóstwem cacek, lub założonych numizmatami. Broń domagała się zbrojowni, gobeliny jadalnej sali o wspaniałym dębowym suficie, marmurowy kominiek zacisznego gabinetu, a wygodny, bujający się fotel — eleganckiego buduaru, wybitego takim samym błękitnym atłasem, jakim fotel był obciążony.

W umeblowaniu tego pokoju znać było zapobiegliwość parwenjusza, przy pomocy kariery biurowej wtrąconego w sferę arystokracji. Adolf zbierał starannie i skupywał rzeczy piękne i cenne, pragnąc urządzić sobie mieszkanie tak, jak je miał urządzone hrabia Staś, Kazio lub mały, jednooki Wero. Miało to nastąpić z chwilą awansu c.-k. komisarza na starostę, a wtedy oczy mieszkańców małego miasteczka mogły się spodziewać nadzwyczajnego olśnienia. Apartament odpowiedni miał przyjąć w swe mury owoce starań i trudów pana Adolfa, owoce te jednak tymczasowo mieściły się w ściankach kawalerskiego mieszkania, nadając temuż mieszkaniu pozór sklepu starożytności lub tymczasowego składu ruchomości po jakimś zbankrutowanym bankierze.

Klara jednak nie czuła tego wszystkiego. Widziała rzeczy nowe, niespotykane dotąd nigdzie — i nagromadzenie tych rzeczy w tak ciasnej przestrzeni imponowało jej niezmiernie. S r Ravert musiał mieszkać w takim pokoju, a lady Brascomby siadała zapewne w takim błękitnym foteliku, który tak uprzejmie wyciąga do Klary swe lśniące ałtąsem ramiona.

Fotel stał przy biurku, zarzuconem całemi stosami książek i papierów. Dokoła marmurowego kałamarza czerniły się fotografie kobiece rozmaitych rozmiarów, oprawne w oksydowane, pięknie wyrobione ramki.

Klara zbliża się do biurka. Długą chwilę patrzy na fotografie, — w jednej z ramek poznaje twarz swoją i mimowoli robi się jej niezmiernie przykro. Nie jest tu sama jedna, dokoła niej śmieją się rozmaite twarze kobiece, jest ich kilkanaście. Niektóre mają dziwny wyraz oczów i mocno obnażone gorsy. Te mają podpis „Levy“, dowodzący pochodzenia z wiedeńskich *ateliers* fotograficznych. Klara mimowoli wyciąga rękę i chce cofnąć swój wizerunek z pomiędzy tego tłumu kobiet, zaludniającego półki biurka. Wie, że Adolf miał już nie jedną przygodę miłosną, ale pocóż ją pomieszał z temi istotami, pełnemi szablonowych uśmiechów i moralności tak ela-

stycznej, jak tkanina ich trykotowych staników, pokrywających okrągłe ramiona.

I teraz dopiero spostrzega całą kolekcję fotografii, poustawianych na stolikach, konsolkach, poprzyeczepianych do ponsowego sukna, pokrywającego niski parawanik. I wszędzie kobiece twarze, rozwiane włosy, szeroko rozwarte oczy... Wszędzie te sztuczne, nienaturalne pozy, wydaniające przepych koronek lub cienkość kibici. Klara cofnęła rękę i przez długą chwilę stała nieruchoma, z pochyloną głową. Te kobiety są to zapewne kochanki Adolfa... Każda z nich kolejno osuwała się w objęcia, w które ona dziś za chwil kilka upadnie.

O! czemuż te martwe twarze przemówić nie mogą! Gdyby jedna z nich chociaż opowiedziała jej dzieje swej miłości, — cały przebieg, od lekkiej przedwstępnej kokieterji aż do ostatecznego przejścia, do tej strasznej chwili, gdy dwoje ludzi złączywszy się poprzednio węzłem gorącej miłości, staje przed sobą z pustem sercem, z wystygłą wyobraźnią i, patrząc obojętnie, wymawia te słowa, dzwoniące jak echo pogrzebowej pieśni:

— Rozejdźmy się...

Klarę przebiegl dreszcz trwogi.

Rozejść się! Czyż warto schodzić się po to, aby kiedyś rozejść się na zawsze, unosząc z sobą żal i wspomnienie chwil minionych? A przecież tak

być musi. Te wszystkie kobiece twarze szeptały słowa pożegnania, — kto wie, może z tych oczów płynęły łzy gorzkie, palące, bolesne...

Cała przeszłość Adolfa spogląda na nią z tych martwych, zimnych twarzy, — ona jedna świeci się jeszcze jak znak zapytania, jak przyszłość niepewna. Ale za chwil kilka i ona rozwiąże zagadkę występku i ona stanie się już tylko przeszłością, spadnie do rzędu tych, po których tylko fotografie ustawia się na biurku.

Tymczasem w pokoju robiło się coraz ciszej, coraz spokojniej. Gwar uliczny ustawał powoli, a miasto układało się do snu leniwie jak piękna kobieta, pragnąca użyć wypoczynku. Wypchane głowy dzików, jelenie rogi, kły odyńców — wszystkie trofea zręcznego myśliwca błyskały pod jasnym światłem lamp, mając okrutną analogję z wystawianymi na półkach fotografjami kobiet. Cała próżność męczyzny odbijała się w urządzeniu tej domowej wystawy. Odwiedzający mogli dowolnie podziwiać wspaniałość rogów jelenich i piękność kobiecych twarzy.

Adolf przecież nigdy nie uchybił zasadom prawdziwej rycerskości. Nie mówił o swych zdobyczach... On je tylko ilustrował! Mój Boże, cóż w tem dziwnego? — tak fotografie, jak i jelenie rogi, a nawet wypchanego rysia kupić można..

Klara sięgnęła ręką i wzięła jedną z foto-

grafji, pierwszą lepszą, bez wyboru. Był to wizerunek młodej i bardzo pięknej kobiety. Głowa, zwrócona na bok, ukazywała profil o bardzo regularnych, kształtnych linjach. Ciemne włosy, zczesane gładko i zwinięte w duży węzeł, opadały na wysmukłą szyję. Oczy czarne, smutne, wpatrzone w przestrzeń z wyrazem wielkiego, bezbrzeżnego smutku, były najpiękniejszym szczegółem w jej twarzy. Była to jedna jedyna fotografia kobiety, ubranej w zwykłą codzienną sukienkę ze stanikiem, szczelnie zapiętym pod szyję. Wyróżniała się dziwnie wśród całego tłumu dekolowanych wiedeńskich piękności. Klara wpatrzyła się w smutną twarz tej kobiety i długą chwilę nie mogła oderwać od niej oczów. Czyż i ta upadła także w objęcia Adolfa? czy i ta przyszła do niego w wieczór majowy, kryjąc swą twarz za gęstą koronkową zastoną?

Klara powoli wysunęła fotografię z ramek i zaczęła szukać jakiegoś napisu dedykacji.

Znalazła. Na odwrotnej stronie portretu drobniuchnymi literkami czerniły się słowa: „Do śmierci!“

Żadnego podpisu, imienia, daty, nic, tylko krótkie „do śmierci!“

Klara zamyśliła się znów i wpatrzyła w twarz tej kobiety, która ze smutkiem tak wielkim obiecywała kochać... do śmierci.



Czy dotrzymała obietnicy? Gdzież jest teraz ta istota, tak piękna, a smutkiem swym sieroca? Cóż po niej zostało tu, w tym pokoju, w którym może niedawno stała na tem miejscu, gdzie właśnie Klara stoi? Dlaczegoż jest tak smutna, a oczy jej patrzą łzawo? Czyż miłość Adolfa szczęścia nie daje? Czy zamiast uśmiechu, łzy sprowadza na twarz kobiety?

Klara nie wie dlaczego, ale oderwać się od tej twarzy nie może. Wszak tyle innych kobiet śmieje się z ciemnej koronki ramek, ona przecież uparcie wpatruje się tylko w tę jedną jedyną, smutną, cierpiącą, pełną tęsknoty. O! gdyby wpaść na ślad jakiś, dowiedzieć się, kto ona, jakie były jej dzieje, co ją skłoniło do pozostawienia swego wizerunku na wieczną pamiątkę pomiędzy temi wszystkimi, które tu obecnością swoją zaświadczaają, że choć dni kilka były tem, czem Klara ma zostać za chwilę! Kobieta ta musiała należeć do „lepszego towarzystwa“. Klara poznaje to łatwo po skromnej, wełnianej sukience, która ciemną barwą odbija na jasnym tle fotografii.

Tylko kobiety z lepszego świata, pozując, nie kładą na siebie dekoltowanych staników i nie czeszą włosów po balowemu.

Przecież musiała po niej pozostać jeszcze ja-

kaś pamiątka, coś więcej, niż zimna fotografia, osadzona w jednakowe oksydowane ramki.

Klara spogląda dokoła. Z dziwnym jakimś uporem pragnie dowiedzieć się czegoś więcej o tej smutnej kobiecie. Oczy jej zatrzymują się mimowoli na szufladkach biurka, w których tkwią pozostawione kluczyki. W szufladkach tych muszą być listy, listy od niej — od tej, która jakąś bolesną tajemnicę w głębi swych ciemnych oczu więzi.

Klara stoi chwilę wahająca się, niepewna, czy ma wyciągnąć szufladę, skorzystać z tej chwilowej zwłoki i zrozumieć, co daje miłość Adolfa? Drży cała z ciekawości i trwogi. Wrodzona uczciwość huntuje się w niej, zabraniając podobnego czynu, — ona wszakże z dziwaczną, kobiecie tylko właściwą logiką tłumi głos sumienia, motywując swój postępek chęcią zgruntowania przepaści. Samobójca nawet, rzucając się ze skały, spogląda na dno i patrzy chwilę na kamienie, o które ma roztrzaskać swą czaszkę. Zresztą Klara nie może sobie zdać dokładnie sprawy z tego, co ją popycha do przejrzenia biurka kochanka, — ona czuje tylko jakiś głos, nakazujący jej spojrzeć w oczy niebezpieczeństwu, dowiedzieć się, co ją czeka za godzin kilka. Wszystkie te kobiety, których zimne, martwe twarze patrzą na nią w tej chwili, przeszły przez

to, przez co ona właśnie przejść zamierza. Co jednak działo się z niemi potem? co czuły, lub mówiły po chwili szalu? — żalowały swego postępkę, płakały, czy śmiały się i były szczęśliwe?...

Dziwnym zbiegiem okoliczności Adolf nie nadchodził. Jego Ekscelencja zażądał, aby mu towarzyszył do sali ratuszowej, czego Adolf pierwotnie przewidzieć nie był w stanie. Klara, ochłodłszy z gorączki i nerwowego wzruszenia, stawiała sobie teraz pytania, które z wielką konsekwencją tłoczyły się do jej umysłu. Gdyby za wejściem w te progi Adolf otoczył ją swem ramieniem i nie pozwolił zastanowić się chwilę, ogłuszając ją gorącemi pieczytami, poddałaby się następstwu nierozważnego kroku bez refleksji i tem samem byłaby zgubioną.

W tej chwili jednak znajduje się sama w mieszkaniu kawalerskiem, otoczona pamiątkami i wizerunkami swych poprzedniczek, i poznaje dokładnie swe położenie. Nie była pierwszą, nie będzie też i ostatnią...

Nerwowym szybkim ruchem wyciąga szufladę biurka. Zuajduje w niej tylko trochę papierów urzędowych i konwencjonalnych listów. W druzgiej, środkowej, jeszcze kilkanaście fotografii kobiecych i kilka książek dwuznacznej treści. Trzecia szuflada jest całkiem próżna.

Zawiedziona w swych nadziejach, z trzaskiem

zamyka szufladę. Nie zważa na Michasia, drzemającego w przedpokoju. Jakaś gorączka opanowuje ją — ona chce znaleźć koniecznie listy dawnych kochanek Adolfa, a zwłaszcza tej smutnej kobiety, która ją przed innemi zajmuje.

Nagle oczy jej zatrzymują się na niewielkim kluczyku, leżącym na japońskiej popielniczce. Kluczyk ten swą powierzchownością zdradza strażnika sekretów: mały, zręczny, z uszkiem misternie wyrobionem. Klara chwyciła go i instynktowo kieruje się ku małej ozdobnej szafce stojącej w rogu pokoju. Szafka ta staroświecka, ozdobiona bronzami, ma w sobie zagłębienie, otoczone dokoła kolumnadą i opatrzone drzwiczkami w wewnętrznej, głęboko posuniętej ścianie. Drżącą ręką Klara przymierza znaleziony kluczyk do zameczka, ozdobionego brązowym, zczerniałym liściem. Po kilkakrotnym obrocie drzwiczki otwierają się z łatwością. Całe paczki drobnych kobiecych liścików mieści skrytka.

Klara zatrzymuje się dla nabrania oddechu. W tej chwili może zrozumieć i poznać przyszłość swoją. — „Co mnie dziś, jutro tobie“ — powiedzą jej wonne liściki. Ona przecież pragnie tylko znaleźć pismo tej jednej, która przysięgała aż „do śmierci“. — Pozna łatwo jej listy — fotografię z napisem trzyma ciągle w ręku.

Ochłonawszy z wzruszenia, wyjmuje paczki

jedną po drugiej i porównywa charakter pisma. Nie to, nie to jeszcze!... Czyż Klara musiała poprzestać na słowach którejkolwiek z wygorsowanych kobiet? I dziwne robią wrażenie te posortowane tak porządnie liściki, zapisane mniej lub więcej wprawnym pismem, niektóre eleganckie, głupie płaską elegancją pięknych kobiet, zarozumiała w swej śmiesznej czystości, woniejące heljotropem lub corylopsisem jak szablonowa elegantka.

Wszystkie te paczki mają w sobie trupi chłód skończonych i wystygłych miłości, śmieszne już teraz zwietrzałym sentymentalizmem. Klara odrzuca je ze wstrętem i szuka, szuka ciągle. Jest przekonana, że listy smutnej kobiety powiedzą jej coś więcej, niż puste wykrzykniki lub nieortograficzne westchnienia uśmiechniętych i rozbawionych istot.

Znajduje wreszcie tyle upragnione pismo. Tak! mylić się nie może. Jest kilkanaście liścików, nakreślonych tą samą ręką, która pisała „do śmierci”. — Klara zamyka szafkę i śpiesznie kładzie kluczyk na popielnicze. Fotografję wkłada w ramki. Tak! jeżeli Adolf nadejdzie, ona te listy zřęcznie ukryje, a potem weźmie z sobą. W ten sposób dowie się wiele, o! wiele więcej, niż z ust samego Adolfa lub z jego płomiennego wejrzenia.

Cała drżąca, z rozpaloną twarzą, rozrywa nitkę, wiążącą w całość kilkanaście stronic rozma-

tego formatu i gatunku papieru. Nie są w porządku poukładane te listy, ale Klara według daty sortuje je szybko i ułatwia sobie w ten sposób poznanie ich treści. Rzecz dziwna, że każdy z listów nosi datę, — wszakże są to listy kobiece, a więc powinny nie mieć tego rodzaju nagłówków. Widocznie istota, która je kresliła, była wyjątkową pod tym względem.

O! nie tylko pod tym! Klara zrozumiała i odczuła łatwo, że smutek tej kobiety płynął z niewesołych kolei, przez jakie przejść musiała. Pierwszy bilecik był tylko drobną, małą karteczką, na której czerniły się tylko dwie linijki, złożone z kilkunastu wyrazów: „Serdeczne dzięki za przesłaną książkę; o godzinie siódmej jestem w domu”.

Oto treść bileciku. Pismo wprawne, bez drżenia, bez tych kresek, któremi kobiety przedłużają zwykle wyrazy, gdy ręka niepewna waha się, czy nakreślić ma słowa, cisnące się pod pióro. Widocznie było to pisane w samym zawiązku, gdy kobieta nie przeczuwa jeszcze swego upadku i ufna w swe siły idzie śmiało nad brzeg przepaści, sądząc, że zdoła zatrzymać się w porę. Następne bileciki zawierały tak samo podziękowanie za łożę, za bukiet kwiatów, za życzenia przesłane w dniu imienin. Klara знаła to wszystko. I ona pisała tak samo do Adolfa, — jej bileciki muszą

się znajdować także w oddzielnej paczce, na samym dnie skrytki. Nie napotkała tej paczki, ale jest przekonana, że tam właśnie być muszą.

Czwarty liścik nieznanym był dłuższy i, oprócz podziękowania za łożę, zawierał kilka gorętszych słów, jakby zapowiedź zbliżenia się na krawędź przepaści:

„Wczorajsze przedstawienie rozmarzyło mnie. Do tej chwili czuję wpływ tych czarownych melodji, zasłyszanych wczoraj. Muzyka, obecność pana, kilka słów, któreśmy zamienili podczas duetu w akcie trzecim, wszystko to podziało na mnie w dziwny sposób... Co mi jest? czy mam łez pełne, — czy są to łzy radości?..“

Klara przestała czytać.

Więc i ona, tak samo jak tamta, słuchała słów Adolfa na tle melodji? I tamta, ta smutna, wracała nocą do domu rozmarzona, stęskniona, pełna niezaspokojonych pragnień. Więc nie ona sama tylko upadała w taki sposób!

Piąty bilecik był krótki, rozpaczliwy jakiś. Widocznie sił brakowało do walki, choć walczyć pragnęła...

„Gniewasz się za moje wczorajsze postępowanie... odszedłeś, nie pożegnawszy się ze mną.. o! miej pan litość nade mną! nie żądaj zbyt wiele! ja mam obowiązki, nie jestem przecież wolną“.

Była więc mężatką, tak jak Klara, a mimo to szukała wrażeń poza domem. Klara uczuła jakiś wstyd za tę upadającą kobietę. Ten romans, pisany na kawałkach papieru, kreslony teraz już gorączkowo, nerwowo, wyglądał zupełnie inaczej jak drukowana miłość lady Brascomby do sir Raverta.

— „Przyjdę!“

Tylko to słowo zawierała następna kartka, ale Klara rozumiała znaczenie. Słowo to, nakreślone jakoś dziwnie ostro, krzywo, wyglądało jak rana, zadana cienkiem ostrzem sztyletu. W tem jednym słowie widziała całą głębię rozpaczliwego postanowienia, z którym samobójca chwyla za postronek, mający za chwilę służyć mu jako narzędzie zgonu. Klara czuła, że z taką samą ostrością musiała wymówić słówko — „taki“ — które sprowadziło ją w ściany mieszkania Adolfa.

Następny liścik:

„Wiem, że mną pogardzasz, tak jak ja pogardzam sama sobą! Niech mnie tylko w oczach twych wytłumaczy bezgraniczna miłość dla ciebie. Posyłam ci moją fotografię, — na odwrotnej stronie napisałam tylko dwa słowa. Teraz mam jedno tylko życzenie: być twoją... do śmierci! Gdybym mogła ci opowiedzieć, jak bardzo się czuję nieszczęśliwą, pomimo twych przysiąg i zapewnień wzajemności! jak strasznym był mój powrót do

domu! jak bardzo cierpiałam, wchodząc pod dach mego mieszkania! Ty tego odczuć nigdy nie zdołasz! Było mi tak, jakbym wracała z pogrzebu najdroższej mej istoty. Nie myliłam się przecież. To *ja* umarłam, *ja* sama, bo dziś już tylko trup mój błąka się wśród ścian mego domu. Dusza moja przy tobie, myśl moja u ciebie, pragnienie, tęsknota, — słowem wszystko lepsze pogrzebałam wczoraj. Boli mnie serce bardzo...“

Klara przeczytała kilka razy ten list i zamyśliła się głęboko.

Jakto? więc nazajutrz po schadzce pisała; „boli mnie serce bardzo...“ Więc nie znalazła szczęścia i uspokojenia w tem, do czego dążyła? Więc i ona, Klara, miałaby powrócić do domu tylko zimnym trupem po to, aby później pisać: „wszystko pogrzebałam wczoraj...“

I dalsze listy nie zawierały nic nowego. Wszędzie smutek bezbrzeżny, jakaś dziwna rozpacz za czemś utraconem, czego już odzyskać nie było można. Nawet była chwila później rehabilitacji, — jakaś chęć zerwania, powrócenia do dawnego spokojnego życia. Ale zaraz namiętność, już zbyt silnie rozwinięta, brała górę i w kilku słowach triumfowała nad spóźnionem pragnieniem poprawy.

„Daruj mi — weź mnie znowu, bez ciebie już żyć nie mogę! Umrę, gdy cię widzieć przestanę.“

Jakto? więc taka miłość wrasta z czasem w głąb duszy tak, że staje się koniecznym warunkiem istnienia? Więc ta kobieta już nie w życiu nie miała nad miłość dla kochanka, nad jego pocałunki, pieścioty, nic już więcej nie wiązało jej ze światem, że mówiła o śmierci w razie nieujrzenia go więcej? Klarę przebiegł dreszcz trwogi. A gdyby ona przywiązała się tak do tego człowieka i oddała mu się na wieki duszą i ciałem? Jakież straszne byłoby wtedy jej życie! Podzielona pomiędzy kochankiem i mężem, szarpałaby się w bezustannej walce z sobą, z sercem swoim!

A gdyby Adolf opuścił ją, — czyż i ona wtedy pisałaby: „Umrę, gdy cię widzieć przestanę...“

Ani śladu szczęścia, rozkoszy, spokoju w tych kartkach, — wszystkie one smutne, bez uśmiechu, posępne jak noc grudniowa. Czyż miłość występna szczęścia nie daje? Klara zniechęcona, zgnębiona, podniosła głowę, chciała doczytać do końca leżące na jej kolanach listy. Kto wie — może dalej znajdzie jakiś promyk jaśniejszy, weselszy od innych...

„Niech się stanie według twojej woli. Dla ciebie uczynię wszystko — porzucę dom, który i tak obecność moja kała i brudzi. Niech ucieknę z pod tego dachu, pod który wnoszę tylko kłamaną uczciwość i pamięć o tobie. Pójdę za tobą, gdzie mi iść każesz, — wszak jestem twoją... do śmierci!“

Uciekała więc, uciekała z domu z nim, z kochankiem swoim, a mimo to wlokła za sobą smutek i rozpacz za utraconą uczuciowością... W tem biernem poddaniu się woli kochanka znać było tylko chęć ucieczki przed groźnem widmem sumienia, które to widmo stawało widocznie na progu domu i witało ją przekleństwem, gdy wracała ze schadzki z twarzą rozpaloną od pocałunków kradzionych. Czy i Klarę spotka na progu też samo groźne widmo i naznaczy jej czoło piętnem smutku i zgryzoty? Tamta kobieta opuszczała ognisko domowe, które widocznie darzyło ją serdecznem ciepłem, bo bezustanny żal za utraconem szczęściem przebiegał się w każdym jej słowie. W objęciach kochanka nie znalazła zadośćuczynienia za to, co dobrowolnie w chwili szalu straciła, bo ciągle odwracała głowę, patrząc poza siebie jak sierota, powracająca z cmentarza.

W datach listów nastąpiła przerwa znaczna. Następne były już pisane w rok później, z Paryża, — a Klara przypomniała sobie, że właśnie był to rok, zaznaczający się panowaniem kapeluszy „*Niniche*“ i ucieczką pani R. A więc to ona była tą panią R., o której mówiono tyle i tak głośno? Wprawdzie Klara jej nie znała wcale, widziała ją raz jeden, podczas loterii fantowej, zdaleka w namiocie oświetlonym różnokolorowemi lampami. Wskazano ją Klarze jako kobietę glo-

snej piękności i nieskalanej dotąd reputacji. Odalenie, tłumy ludzi, przedzielające obie te panie, niedozwołyły Klarze dostrzec dobrze, jakiego rodzaju była piękność pani R. Później jednak, gdy ucieczka jej stała się *nouvelle de jour*, Klara przypomniała sobie smukłą postać brunetki, strojonej w przejrzystą tkaninę koronek i zarysowującą się jak zjawisko w niepewnem świetle lamp błękitnych. Za towarzyszów podróży owej dawano pani R. rozmaitych seduktorów, między innymi wymieniano i Adolfa, który w tymże czasie znikł także z horyzontu, ale nie stawiano żadnych pewników, nie mając do tego rzeczywistych podstaw. Mąż pani R., człowiek spokojny, cichy, dobroduszny, odczuł cios spadający na jego głowę z wielką wrażliwością, właściwą tylko usposobieniom na pozór zimnym, a w gruncie rzeczy niezmiernie łatwo odczuwającym tak radość jak smutki. Wkrótce wyjechał za granicę — jak twierdzili jedni: dla odzyskania wiarołomnej, — według zdania drugich: pragnął ująć z oczu ludzi, z których jedni żalowali go, inni sztydzi, a wszyscy zajmowali się zbyt gorliwie jego nieszczęsnym losem. Dość, że po tem rozbitem domowem ognisku pozostały tylko meble, sprzedawane częściowo przez plenipotentą, i wspinały fortepjan koncertowy, na który Klara dłuższy czas miała wielką chętkę.

O pani R. nie wiedziano nic pewnego,

przez jakiś czas zajmowano się nią jeszcze, kobiety powstawały przeciwko niej w cnotliwym oburzeniu, ściskając równocześnie w rękę karteczkę kochanka, oznaczającą godzinę *rendez-vous*; mężczyźni dziwili się, skąd, u diabła, pani R. znalazła tyle odwagi i temperamentu dla wykonania podobnego kroku. Zdawała się być uśpioną wodą i robiła wrażenie lunatyczki, gdy zwracała na kogokolwiek swe wielkie, ciemne oczy, nigdy żywszym nie drgające blaskiem.

Tak! Klara przypomina sobie dokładnie wszystkie te szczegóły. Ona nie była jedną z ostatnich w potępieniu pani R. Owszem, bardzo gorliwie rzucała na nieobecną kamieniem obmowy i oburzała się na myśl podobnego postępku. Dziś wszakże ona sama idzie w ślady potępionej przez siebie kobiety, — dała się uwieść temuż samemu człowiekowi i przy melodjach Gounoda słuchała tych samych słów, wypowiedzianych pewnie z jednakowym uczuciem, z jedną miarą zapału,

I zeszyły się razem z obrzuconą błotem kobietą wśród tych samych ścian, które kryły w sobie tyle występków i w zagłębieniach swych chowały jeszcze zamierające echo pocałunków i szlest jedwabnych sukien. Pani R. była tu niedawno, dwa lata temu, wchodziła, tak jak Klara, zasłonięta welonem i tenże sam Michaś otwierał jej drzwi, nazywając „jaśnie panią“. Potem siadała

na błękitnym fotelu i czekała na Adolfa, jeśli go w domu, tak jak dziś, nie było. Wszystko tak samo jak Klara — wszystko tak samo!

Listy, pisane z Paryża, zawierały same prośby o szybki powrót Adolfa. Zostawił ją widocznie samą i powrócił do kraju. Tak! Klara pamięta dobrze tę chwilę, gdy mąż jej, powracając z biura, oznajmił jej nowinę, według niego dość ważną:

— Jego Ekscelencja zatwierdził dziś przyjęcie Adolfa S. na „koncepts-praktykanta“. Dobrze zrobił pan Adolf, że wrócił z zagranicy i wstąpił do namiestnictwa. Przy swych stosunkach i koligacjach może szybko zrobić karierę. Będzie awansował, przeskakując. To pewna!

Od tej chwili Adolf nie wyjeżdżał nigdzie. Całe dnie przykuty do służbowego pokoju, spełniał powierzone mu obowiązki z całym pedantyzmem galicyjskiego karjerowicza. Spokrewniony przez matkę z tą kastą ludzi, którzy to przy tronie pełnią funkcję stojących filarów i nadal w ten sposób „stać pragną“ — prostował swe nogi i wystawał również, pragnąc pozyskać łaskę u „stojących“ ojców narodu. Panią R. widocznie pozostał w Paryżu — ona przecież do Galicji powrócić nie mogła. Cóżby tu robiła po podobnym skandalu! Ale on przecież dla chwilowej mrzonki przyszłości swej gubić nie chciał. Powrócił i roz-

począł „robić swą karierę“ — ona zaś karierę swą skończyła.

Z wielkim smutkiem odczytywała Klara dalsze listy. Pani R. bezustannie błagała Adolfa o powrót, przyobiecany jej gorąco i poparty zapewne przysięgą w chwili odjazdu:

„Wiem, że nie mógłbyś mnie oszukać — za nadto ci wierzę i ufam. Rozstanie nasze jest chwilowe, ale przez to niemniej bolesne. Daie całe siedzę w swoim mieszkanku, otaczając się wspomnieniami i żyjąc nadzieją przyszłości. Martwi mnie stan mego zdrowia... Chciałabym być czerstwą i wesołą, gdy wyjdę na twoje spotkanie, — a jakaś ogólna niemoc, ból piersi i kaszel zmuszają mnie do częstego leżenia w łóżku. Skoro cię zobaczę, wiem przecież, że to minie — twój widok uleczy mnie odrazu.“

Klara przypomniała sobie, że właśnie w tym czasie Adolf został jej przedstawiony na balu akademickim. Mówił jej, że zamierza osiedlić się we Lwowie, z którego nie ma zamiaru nigdzie już wyjeżdżać.

„Dlaczego nie dotrzymałeś obietnicy i kazałeś mi spędzić Wigilię bez ciebie? Pomyśl tylko, jak ciężka to była dla mnie chwila. Sama jedna wśród obcych, myślałam, że zamrę z tęsknoty...“

Przed oczami Klary przesunęła się jakby mgła, poza którą ujrzała panią R., płaczącą rzewnie w sa-

motnem mieszkanku w Wigilię Bożego Narodzenia. Dla Klary ten dzień bywał zawsze wesołym. Mąż, rodzina, znajomi wszyscy przynosili jej podarki, a wieczorem gwarno było w ich szczupłym domku. Pani R. przed ucieczką swoją miała tak samo serdeczne ciepło dokoła siebie, — poszedłszy jednak za kochankiem, na gwiazdkę miała tylko. . lzy. Więc występna miłość szczęścia nie daje?..

Klara febrycznie przerzuciła kilka innych listów. Były to kartki, przesiąknięte tęsknotą i łzami i stopniowo wznoszącą boleścią opuszczonej kobiety, widzącej już jasno swe położenie.

„Opuściłeś mnie! — wołała — opuściłeś.. czuję to, pomimo listów, które mi pragniesz uspokoić boleść moją. Dobrze mi tak... zasłużyłam na karę, jaka mnie spotyka. Szalona! potargałam niebacznie krępujące mnie więzy... Wzamian za wstyd i hańbę, jaką ściągnęłam na dom i nazwisko, które noszę, dałeś mi ból i opuszczenie. Sprawiedliwa to kara, a przecież ciężka do przeniesienia. Niechże więc tak będzie... Zapomnij, że istnieję.. kiedyś, gdy czas nadejdzie, dam ci znać o sobie.“

Więc w ten sposób płacił Adolf za bezgraniczne przywiązanie, jakim darzyła go ta kobieta? On torował sobie drogę do kariery dyplomatycznej i, bywając w świecie, zachwycał strojne damy niezrównanym chłodem i spokojem, wyrzniętym na jego posągowo pięknej twarzy. Wyrwał panią R. z jej



otoczenia, zburzył domowe ognisko, zdeptał i zdruzgotał przyszłość kobiety, idącej za nim jak cień, jak pies wierny. A w jego życiu cóż się zmieniło? Czy ludzie odwracają się od niego tak, jakby to uczynili, gdyby pani R. pomiędzy nich weszła? Każdy ojciec chętnie oddałby rękę swej córki człowiekowi, który tak pięknie rozpoczynał swą karierę pod egidą hrabiego Kazia i przy boku Jego Ekscelencji.

Klarę przeszedł dreszcz trwogi.

Życie z całą brutalną niesprawiedliwością swoją stawało przed nią, nagie, przerażające nieubłaganą zemstą dla istot, zbaczających ze swych ścieżek. Któż mógł zaręczyć Klarze, że i ona nie popęlni takiego szaleństwa i, zwiedziona słodyczą chwilowej miłości, nie powie Adolfowi: „Pójdę za tobą, gdzie każeś — jestem twoją... do śmierci!”

Tylko pierwszy krok kosztuje. Przychodząc na schadzki, nie przedstawiała sobie tak tragicznych następstw, mogących wynikać z podobnego kroku. W drukowanym angielskim romansie sir Ravert inaczej kochał lady Brascomby, — pani R. przedstawiała występki w mniej ponętnej świetle. Nerwowa Klara odczuła i pojęła całą prawdę i nędzę, zawartą w tych kilkunastu ćwiartkach, zapisanych krwią i łzami. Jakże nędznym, nieprawdopodobnym wydał się jej w tej chwili romans angielski, rozpalający przedtem jej wyobraźnię! Jakże ina-

czej wyglądała rzeczywistość, pełna grozy, smutku i bólu!

Znów w datkach listów nastąpiła długa przerwa; następujące korespondencje były krótkie i nie w wielkiej liczbie.

„Nie mogę przenieść na siebie, aby ci nie przesłać adresu nowego mego mieszkania. Wyprowadziłam się z dawnego, bo nadto mnie bolało widzieć się otoczoną pamiątkami po tobie; przeto musiałam się bardzo ograniczyć, chcąc, aby resztki pieniędzy, pozostałe ze sprzedaży moich klejnotów, wystarczyły mi na długo. Może przypomnisz sobie mnie i odszukasz mnie na 5-tym piętrze, w małej izdebce, którą zajmuję. Zdrowie moje pogarsza się z każdym dniem. Zabiłeś mnie opuszczeniem swoim..“

Następny list zawierał tylko te słowa:

„Dziękuję ci za pamięć i za usiłowanie wzbudzenia we mnie chęci do życia. Nie mam żyć dla kogol! Jestem na dzień przepaści i pragnę w niej umrzeć. Cierpię bardzo, moralnie i fizycznie. Dziś ja cię proszę, nie przyjeżdżaj! Przeląkłbyś się, zobaczywszy mnie. Nie należę już do żyjących..“

Na kolanach Klary leżały już tylko dwie kartki, — jedna, pisana ręką pani R., druga obcą, z dopiskiem nieszczęśliwej kobiety. W pierwszym liście pani R. zawiadamiła swego kochanka, że

dla braku funduszków zmuszoną była przenieść się do szpitala, nie podawała wszakże adresu, ani nazwy miejscowości. Drugi zaś list był to arkusz papieru, zapisany ołówkiem, pełen urywanych zdań, niepowiązanych ze sobą, tak, jak majaczenie człowieka, bliskiego zgonu:

„Powrócę do domu do siebie — czytała Klara, drżąc ze wzruszenia. — Tam wyzdrowieję, przebaczą mi, przytulą... odzyskam siły, spokój!..“

W rogu ćwiartki drżącą ręką nakreślono kilka razy: „do śmierci! — do śmierci!“

Całą stronicę przecinało imię „Adolf“, jak rozpaczliwe wołanie przedśmiertne, ostatni jęk konającej. I pełno tam było tych słów bez związku, na pozór bez znaczenia, a tak wymownych dla Klary, tyle zawierających przestrogi! Na drugiej stronicy naczelny lekarz zawiadamiał Adolfa o zgonie pani R., zmarłej na suchoty płucne, powstałe wskutek bezmiernej anemji i poczęści zapewne dziedziczne. Adres Adolfa znaleziono w papierach nieboszczki, która nigdy nie chciała wyjawić sw. go prawdziwego nazwiska, a tem samem uniemożliwiła zawiadomienie kogokolwiek ze swych bliskich o grożącym niebezpieczeństwie. Dopiero po śmierci znaleziono koło zmarłej mały pugilaresik, z którym nie rozstawała się nigdy; był w nim bilet i adres Adolfa. Nie wiedząc, jakie węzły łączą go ze zmarłą, lekarz czuł się w obowiązku

zawiadomić go o śmierci, zapytując zarazem, czy pani R. ma być pochowaną w osobnym grobie, czy też we wspólnym dole... Ze względu na widocznie lepsze pochodzenie zmarłej złożono tymczasowo jej zwłoki do murowanego grobowca, oczekując na dalsze rozporządzenie.

Całe to zawiadomienie, uskutecznione w formie bardzo wykwintnej, z całą kurtuazją francuską, było zakończeniem romansu Adolfa z panią R., a zarazem ostatnim wspomnieniem po zmarłej. Tylko fotografia czerała się na biurku pośród wygorsowanych piękności.

Klara ze wstrętem odwróciła oczy.

I w tej ciszy, jaka panowała w saloniku, zdawało się Klarze, że słyszy jęk opuszczonej, wiarołomnej żony, konającej w szpitalu i przyzywającej człowieka, który, wydarłszy jej wszystko, nie dał wzamian nic, porzucił na pastwę bólu i rozpaczu. Umarła opuszczona, samotna, umarła z tęsknoty za minioną przeszłością. A przecież ona, tak jak Klara, żyła, śmiała się, bywała w świecie, miała dom, męża, nieskalane nazwisko.

Wszystko to zdeptała dobrowolnie, pisząc jedno słowo:

— „Przyjdę!“

Przyszła tu, kryjąc twarz swoją wśród cieni, zalegających miasto, przyszła po zgubę, po lzy, po zgon przedwczesny, zgon straszny pomiędzy obcy-

mi, bez przychylniej ręki, zamykającej stygnące powieki.

I oto ona, Klara, przychodzi tu także po to samo, po te łzy, może po taką samą śmierć wśród murów szpitalnych!... O! nie — po tysiąc razy nie! Siatka złudzenia spada jej z oczu. Ona teraz widzi zbyt jasno, jak straszny przygotowuje sobie upadek i nad jak głęboką przepaścią stoi. Co robi tu, w tym pokoju, gdzie błąka się jeszcze cień niedawno zgasłej kobiety? Może to jej duch nakazał Klarze szukać listów i poznać całą sromotę występku...

Rozpaczliwie rzuca się ku drzwiom, rozsypując po dywanie listy nieszczęśliwej swej poprzedniczki. Nie zważając na zdziwionego Michasia, drżącymi rękami otwiera drzwi wchodowe i zbiega po schodach.

Za nią woła dyskretny głos lokaja:

— Niech jaśnie pani się zatrzyma, pan hrabia zaraz powróci!

Ona go już nie słucha. Na ulicy wsiada w dorożkę i każe wieźć się do domu. Chce tam być jaknajprędzej, w swem zacisznym mieszkanku, którem do niedawna jeszcze pogardzała tak bardzo. Teraz jej sypialny pokój, pełen błękitnych franek i białych muślinów, wydaje się rajem, do którego z upragnieniem zmierza. Myśl o zgonie pani R. nie opuszcza jej ani na chwilę. Raz je-

den była w szpitalu, gdy żona stróża zachorowała ciężko i wzięto ją na kurację do Św. Ducha. O! Klara dobrze pamięta wysokie, posępne korytarze, olbrzymie, białe ściany, wychudłe postacie chorych, obojętne twarze dozorców, sztywne kapłury Sióstr Miłosierdzia. I wśród takich samych posępnych murów skończyła życie piękna i młoda kobieta, zstępująca samotnie do przedwcześnie otwartej przed nią mogiły!

Gdy w godzinę później Klara, pochylona nad księżeczką, spisywała wydatkiienne, zadzwoniono silnie u drzwi wchodowych. To mąż powracał do domu. Z jaką radością wybiegła na jego spotkanie! jak długo tuliła się do piersi człowieka, którego przed chwilą mogła ściągnąć swą nierozwagą w przepaść hańby i niedoli! On ujął ją w pól i wpatrywał się w jej oczy ze szczerem, lecz spokojnem uczuciem. Po chwili zbliżył usta do jej czoła i złożył na niem długi pocałunek.

— Jak twe włosy dziś pięknie pachną! — wyszeptał, wciągając woń heljotropu, jak człowiek rzadko obdarzony podobnego rodzaju rozkosznymi wrażeniami.

Klara splonęła cała ze wstydu. Czyż miała powiedzieć mężowi, że nie dla niego pragnęła otoczyć się tą miłą wonią? Za całą odpowiedź tuliła się do niego z dziwną, niebywałą nigdy serdeczno-

ścią, i po chwili milczenia zapytała przyciszonym głosem:

— To musi być strasznie... umierać w szpitalu?

Mąż uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Skądże ci przychodzą podobne pytania do główki? Naczytałaś się znów jakichś romansów nieprawdopodobnych... i teraz majaczysz.

Przeszli do jadalnego pokoju, gdzie przy świetle lampy widać było czystą, choć ubogą, zastawę do herbaty. Klara idzie za nim — i podczas gdy on zajmuje swoje zwykłe miejsce, ona nalewa herbatę, drżąc jeszcze od świeżo przeżytych wrażeń.

— No, przyznaj się, ty przewrócona główko, że bohater lub bohaterka świeżo przeczytanej książki umarli w szpitalu... — rzecze mąż, dolewając śmietanki do herbaty.

Klara podniosła głowę i spojrzała na niego.

— O tak! Czytałam piękną powieść, w której kobieta przez występłą miłość umarła w szpitalu w najwyższej nędzy i opuszczeniu. Piękna to powieść, a pisana z taką dziwną prawdą...

Urwała nagle, głos jej drżał, a po rzesach spłynęły dwie łzy gorące.

— Zanadto się przejmujesz drukowanymi bajkami, moja droga — odrzekł mąż, spojrzawszy na płaczącą. — Takie rzeczy nie zdarzają się w rzeczywistości, a jeśli czasem się tak skończy, toć słu-

sznie. Podobna kobieta zasługuje na karę. Wszakże sama nazwałaś ją występłą..

Klara przysunęła się do męża i badawczo utkwiała wzrok w jego twarzy. Widocznie chciała mu zadać jakieś ważne pytanie i pragnęła znaleźć na nie odpowiedź.

— Powiedz mi — zaczęła, — powiedz, dlaczego ona właśnie cierpiała tak bardzo? Dlaczego ona jedna odpokutowała za obojga? Przecież i on był jednakowo winnym, a nic się w jego życiu nie zmieniło i wszyscy cisnęli się, aby uścisnąć jego dłoń, tę dłoń, która pociągnęła ją do przepaści i skłoniła do występku. Dlaczego tak jest na świecie... dlaczego?

I płonącymi oczami patrzyła wprost w źrenice męża. Ale on milczał, nie umiejąc znaleźć logicznej odpowiedzi na to śmiałe pytanie, rzucone przez usta kobiety.

— Dlaczego? — powtórzył po chwili — dlaczego?...

I głos jego brzmiał pytająco.

Mężczyzna nie umiał rozwiązać tej zagadki, a komunałami zbywać podobnego pytania nie chciał — czy nie śmiał.



WYCHODZĘ  
Z CZTERDZIESTU!

DROBNOSTKA



isza zaległa małe pokoiki ubogiego urzęd-  
niczego mieszkanca.

Po wczorajszym gwarze i wesołości  
dziwnie smutno było tu i pusto.

Nie gości wczorajszych brakowało przecież, —  
przyszli jak wędrowne ptaki, zjedli, wypili i ode-  
szli, — ale inna musi być tego smutku przyczyna.  
Jakaś pustka niczem nie wypełniona panuje wśród  
ścian mieszkania, a głównie w sercu dwojga sta-  
ruszków, kręcących się niespokojnie po ciasnych  
pokoikach.

On — siwy, wychudły, żółkły, prawdziwy  
typ nieszczęsnej ofiary biurowej — ma w swej  
kościstej twarzy wyraz serdecznej dobroci, a w przy-  
gasłych, zmęczonych oczach jakąś niemal dziecin-  
ną łagodność. Kręci się po saloniku, ustawiając  
skromne mebelki, kaszle często i co chwila spo-  
gląda na duży portret, zawieszony na ścianie.

Ona — niska, szczuplutka, blada — to uoso-  
bienie kobiety, dla której wyraz „emancypacja“  
przedstawia krwiożerczego potwora, a „pan i mąż“  
jest po Bogu najwyższą władzą na ziemi. I ona

ma siwawe włosy i wychudłą twarz, snąć oboje walczyli nieraz z niedostatkiem i cierpieniem, zanim doszli do względnego dzisiejszego dobrobytu.

Staruszka poprawiła płomień lampy, który zdawał się zniżać, i westchnąwszy, wydobyła robotkę z drucianego koszyczka, stojącego na stole.

Ale robota nie szła jej sporo.

Zrobiwszy kilka oczek, opuściła ręce z wyrazem niechęci.

—Lampa się popsowała, tak ciemno!—wyszeptwała.

Staruszek usiadł przed biurkiem, stojącym w rogu pokoju.

Patrzył wciąż na portret, zajmujący środkowy punkt najszerszej ściany saloniku.

Oczy kobiety pobiegły w tym kierunku i miłośnie objęły postać młodej dziewczynki, uśmiechającej się z tła ciemnego.

Spojrzenia obojga rodziców zbiegły się na płótnie, przedstawiającem rysy i postać ich ukochanej jedynaczki.

I ten portret niemy, milczący, mówił wiele.

Mówił przedewszystkiem o bezgranicznej miłości, jaką ludzie ci otaczali swą córkę, miłości, posuniętej do przesady w najdrobniejszym szczególe.

Ojciec pracował w godzinach pozabiurowych, nie chcąc, aby Jadzia poczuła brak jakiegokolwiek. Matka uszczuplała swoje i męża potrzeby, aby córka odebrała staranne wykształcenie i zawsze

uśmiechała się do życia. To też Jadzia śmiała się zawsze i jak majowe słonko rozjaśniała dom cały.

Jej to dziś zabrakło, jej szczebiotu, jej różowej twarzyczki, jej srebrnego śmiechu, szelestu jej sukienki.

Wczoraj spłonioną i drżącą powiedli družbowie do ołtarza. Z objęć spłakanej matki przeszła uśmiechnięta dziewczyna w objęcia kochającego ją nad wszystko młodzieńca.

Dzisiaj jemu rozwesela życie — dzisiaj jej srebrny głosik dźwięczy już we własnym gniazdeczku. Ptaszyna, nabrawszy sił do lotu, wyfrunęła daleko.

W cichem mieszkaniu zostało dwoje staruszków — samych... ze wspomnieniami!

I tylko portret na ścianie uśmiecha się do nich w świetle lampy, i tylko biała chusteczka, porzucona na biurku ojcowskim, przypomina swą właścicielkę...

W sypialni matki znaleziono mały pantofelek — zniszczony, z wykrzywionym trochę obcasikiem...

Matka pantofelek starannie schowała pod stopy bielizny — tak przypominał drogą pieczętotkę, gdy nawpół senna, różowa, z potarganymi włoskami, domagała się kawy, ukazując się w pół ubrana we drzwiach jadalnego pokoju.

Była zawsze za to lekko złąganą.

Przepraszala z pokorną miną, ale kawę dostała — i nazajutrz zjawiała się znów w zaniebanym stroju we drzwiach jadalni.

Drogie, kochane dzieckol...

Osiemnaście lat żyły razem te dwie istoty — matka i córka, stanowiąc niemal jedną całość.

Dziś je rozłączono.

Matce zdawało się, że jej serce z piersi wyrwano.

Ale nie matce jednej, boć i ojciec pochylił głowę z niewypowiedzianą tęsknotą. I on kochał to dziecko nad wyraz wszelki, i on żył tylko jej istnieniem. Od chwili pojawienia się w domu tej małej tyranki przestał mieć swoją wolę, naginając się pod władzę despotki. Uczył ją sam w godzinach pozabiurowych, zachęcając do pracy pocałunkami, prośbą, pieścizotą. Jadzia z przebiegłością kobiecą wyzyskiwała pocałunki ojcowskie.

— „A“, powiedz „a“ — prosił ojciec.

— Nie powis, az pocałujes! — skrzeczała dziewczynka.

I ojciec całował.

Właśnie teraz wyciągnął szufladę biurka i z rozrzewnieniem spogląda na stopy rozmaitych rupieci, przepelniających jej wnętrze. To całe muzeum pamiątek.

Oto czepeczek — czepeczek Jadzi, tak maluchny, że pięśćby się weń zmieściła. Jaka ona była śmieszna, gdy przystrojona w ten czepeczek krzyczała w niebogłosy, broniąc się od strumienia wody, jaką ksiądz na chrzcie św. ją polewał.

Albo ta grzechotka pognieciona, popsuta — grzechotka, która nieraz spadła na jego głowę, gdy Jadzia była w dobrym humorze.

A tu elementarz, sławny elementarz całusowy, obszarpany, ponury, noszący ślady czekoladowych karmelków, z pozawijanemi rogami i podartą okładką.

Staruszek uśmiechnął się mimowoli do tego wspomnienia, które książeczka ta wywołała w jego umyśle.

Zdało mu się, że to było bardzo niedawno, że la-da chwila skrzypną drzwi i srebrny głosik zadzwoni:

— Tatusiu! Jadzia na elementas psysła.

Ale z tych marzeń budzi go płaczliwy głos żony:

— Boże! jak tu dziś ciemno! Kto tę lampę popsul?...

Staruszek wzrusza ramionami.

Kobiety są dziwnie nieprzenikliwe.

Lampy nikt nie popsul, — on wie, dlaczego tak ciemno...

Jej tu niema, słonka jej ocząt brak!

I znów sięga do szuflady.

Powoli ręka jego napotyka wiązanekę podłużnych papierków.

Achl — to recepty!

I czoło starca się zachmurza na wspomnienie tych chwil bolesnych, jakie spędził przy kolebce chorej dzieciны...



Och! raz myślano, że już umiera, — usteczka zsiniały, błękitne oczy mgłą zaszyły...

Jemu zdawało się, że świat cały kirem się obleka, że słońce na niebie gaśnie.

A przecież wyzdrowiała i w tygodni kilka, uśmiechnięta, stroiła lalki, bawiąc się w „salon“ pod jego biurkiem.

On pisał, schylony, zaglądając od czasu do czasu pod biurko.

Widział tam jasną główkę swego dziecka i słyszał, jak dawała nauki swoim lalkom za wielomówstwo i plotki.

I oto znów paczka papierów, związana szeroką różową wstążką.

To cały zbiór powinszowań, zaczynający się od olbrzymich arkuszy, strojnych w jaskrawe bukiety, aż do małej welinowej kartki, zakreślonej wprawmem pismem dobrze wychowanej panienki.

I wszystkie te powinszowania, czy to zaczynające się od słów: „Drogi tatusiu“, czy „Drogi ojciec“ — stanowią niemal historję tych lat kilkunastu, spędzonych wśród ścian jednego i tego samego mieszkania, w otoczeniu tych samych mebli i sprzętów. Historia to biednych rodzin urzędników, czerpiących w domu siły, potrzebne do walki o chleb powszedni.

W szufladzie leżą jeszcze cenzurki pensyjne, nagrody, listy pochwalne, pantofelek do zegarka,

dwie profitki ze srebrnych paciorków, kilka fotografii, przedstawiających Jadzię jako podrastającą panienkę, i jakiś rysunek, zrobiony jej ręką — niewprawny, śnieszny, ale w oczach rodziców uchodzący za arcydzieło.

Staruszek siedział znów nieruchomy, z ręką opartą na biurku.

Dziecko to przeszło przez jego życie jak sen pozostawiając za sobą echo srebrnego śmiechu; poszło za człowiekiem, któremu oddało serce, swoje, rzucając rodzicom na pożegnanie serdecznego całusa.

Bawiło u nich tak krótko! a tam już będzie życie całe...

A on tak nawykł do niej, do jej żarcików, do pukania jej wysokich obcasików, gdy chodziła po saloniku, — do jej głosu, gdy wieczorami czytała mu gazetę...

Co teraz będzie bez niej w tym samotnym, pustym domu?

W dzień pójdzie, jak zwykle, do biura, — a wieczory, te wieczory zimowe, takie rozkoszne, gdy się ma tych, których się kocha, obok siebie...

A przecież nie mógł przeszkodzić, by w sercu dziewczęcia nie rozwinął się kwiat miłości. To był naturalny bieg rzeczy. Gdy dostrzegł pierwszy rumieniec, oblewający jej twarzyczkę na odgłos dzwonka, zwiastującego przybycie częstszego od

jakiegoś czasu gościa, trwożne przecucie ścisnęło mu serce.

— Zabiorą ci ją, zabiorą! — szeptał mu głos tajemniczy..

I wzięli...

Wzięli jak swoją, a on błogosławić jeszcze musiał.

Co teraz będzie? co będzie?

Osiemnaście lat ta jasna główka królowała poza stołem w saloniku. Z początku włoski na główce były bardzo rzadkie — później gęste i rozrzucone, stopniowo przecież ujęte w gładsze sploty, aż wczoraj przyozdobiono je mirtowem kwieciami i dziewiczym welonem.

Staruszek machinalnie zaczął przewracać w szufladce.

Nagle zatrzymał się zdziwiony.

Pod ręką uczył jakąś paczkę twardszą, coś jakby talja kart.

Wydobył ją i patrzył na nią długą chwilę.

Tak — rzeczywiście były to karty.

Karty żółkłe, zniszczone długim leżeniem, wyblakłe, z bladymi grzbietami.

Staruszek patrzył na te karty i zdawał się przypominać sobie dawne dzieje.

O! tak, dawne to dzieje.

Lat temu dziewiętnaście wprowadził pod dach tego domu swoją żonę.

Biedni byli oboje — czekali długo na chwilę pobrania się. Ona była nauczycielką, on urzędnikiem, pobierającym małą pensję.

Gdy on dostał awans, a ona złożyła skromną sumkę, potrzebną na zakupno niezbędnych sprzęcików, przysięgli sobie przed ołtarzem miłość i wierność do grobu.

I zaczęły się dla nich dni wielkiego, promiennego szczęścia.

Czekali długo na te pieszczoty i pocałunki, nasycali się niemi dowoli, a życie nigdy nie zdawało im się tak pięknem.

I jeszcze więcej nabrało uroku, gdy pewnego majowego ranka *ona*, objawszy *jego* szyję, wyszeptala mu do ucha słów kilka, od których radosne echo rozległo się w sercu obojga.

Biedna nauczycielka kaligrafji zarumieniła się przytem jak róża.

W jakiś czas musiała zaprzestać udzielania lekcyj i całe dni spędzała w domu, szyjąc jakieś maluchne kaftaniki lub czepeczki.

On spoważniał jeszcze więcej i otaczał ją troskliwością bez granic.

Wieczory spędzali razem koło okrągłego stołu, na którym paliła się jasna lampa.

Czytali „Kurjera,“ a potem snuli plany na przyszłość.

Pewnego dnia, gdy biedna kobieta zdawała

się być bardzo cierpiącą — mąż wyjął z biurka talję kart i nauczył ją grać w tak zwanego „zecheyka“.

Z początku szło źle bardzo — ona kart nie znała prawie wcale; trzeba było uczyć, że as znaczy jedenaście, a dziewiątka nie liczy się wcale. Ale powoli uczennica przeszła mistrza i bardzo sprytnie umiała „wychodzić“, a „lewę“ zabierała jedną po drugiej. A ileż radości brzmiało w jej głosie, gdy triumfująco zawołała:

— Wychodzę z czterdziestu.

A te niewinne oszustwa — zagładanie do kart partnera, niby nieumyślnie, pod pozorem poprawienia krawata, te „wypadki“ przy rozdawaniu kart i t.p.

Tak, tak, to ta sama talja, którą zmuszeni byli złożyć pewnego grudniowego wieczora, złożyć pośpiesznie i schować do szuflady na długo... na lat osiemnaście!

Nazajutrz rankiem wczesnym zapłakała Jadzia i od tej chwili małżonkowie nie grywali w „zecheyka“, — malowane królowe ustąpiły miejsca żywej, o wiele piękniejszej królowi.

Staruszek powoli zaczął przeglądać zniszczone karty.

Przypomina je sobie teraz wszystkie. I tego króla karowego, pięknego blondyna w zielonym wieńcu na głowie i z dziwaczem berłem w rękę. Jak ona śmiała się serdecznie z jego pretensjonalnej miny i liljowej zbroi!

Albo ta dama pikowa, wachająca tulipan i mająca cztery olbrzymie czerwone róże na dziwacznie uczesanej głowie.

As trefl — ta szkaradna karta, która mimo-woli myśl o śmierci budzi.

Nie lubili jej oboje, choć była asem atutowym.

I cały szereg waletów, dziewiątek, dziesiątek, asów przesuwają się przed oczami staruszka, budząc w jego sercu najrzewniejsze wspomnienia.

Ileż razy w ciągu partji ona pochylała głowę z wyrazem bezmiernego zmęczenia — mimo to przecież uśmiech zakwitał na jej białych ustach. Jakaś myśl radośna krzepiła ją w cierpieniu. On uśmiech ten rozumiał i odpowiadał nań równym uśmiechem.

Porozumiewali się w ten sposób, odgadując wzajemnie swe myśli.

Dziecko ich rozłączyło na lat kilkanaście. Ono jedno koncentrowało w sobie ich pragnienia i było punktem świetlanym, kierującym ku sobie ich myśli i dążenia. Zapominali o sobie, wpatrzeni w to dziecko.

Dziś ono odeszło, i małżonkowie znaleźli się znów we dwoje.

Staruszka siedziała teraz cichutko koło stołu, oparłszy głowę na rękę. Patrzyła przed siebie smutno i lży nawet drżały w jej oczach.

Robótka upadła na ziemię i kłębek potoczył się aż na środek saloniku.

Z kuchni dobiegał monotonny głos służącej, nucącej jakąś piosenkę.

Nagle staruszek powstał od biurka i zbliżył się do stołu. W ręku trzymał talję kart, którą położył tuż koło lampy.

— No, stara! zagrajmy w „zechcyka!”

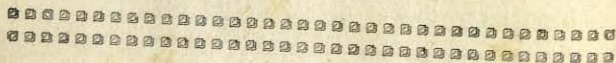
Twarz staruszki rozjaśniła się, — drżącą, wychudłą rękę wyciągnęła ku kartom, tak, jak wyciąga się dłoń dla powitania dawno niewidzianych przyjaciół.

I ona te karty pamięta...

Za chwilę walet karowy jako atu uśmiechał się do halabardy, trzymanej w ręku, a staruszka triumfalnie wołała:

— Wychodzę z czterdziestu!

DLA NIEJ



.....  
.....

.....  
» H<sup>o</sup>ejl kelner! koniak! tylko dużym kieliszkiem...  
» a prędzej, śpiesz się, niezdaro!  
»..... I rzucił na stół czapkę, nie uważając  
na szerokie strugi piwa i tłustych sosów, pokry-  
wające zniszczony blat stołu.

Usiadł pod kasztanem, tuż naprzeciwko błę-  
kitnej lampy, w której migotał jaskrawy płomień  
gazu — widocznem było, że miał ciężkie zmar-  
twienie ten biedny chłopak, gdyż głos jego drżał,  
domagając się swego „dużego kieliszka koniak“,  
a na wynędzniałej twarzy osiadła chmura jakiejś  
wewnętrznej zgryzoty. Był to człowiek jeszcze  
młody, ale przyciśnięty brzemieniem niedoli; rysy  
twarzy regularne, posągowe prawie łamały się li-  
niami smutku i miały w sobie coś z zagięć starej  
i zniszczonej książki, na której wielu ludzi uczyło  
się czytać. Wysmukła postać, zgięta i pochylona,  
z wąską klatką piersiową, nikła w fałdach zielo-  
nawego surduta, zbyt obszernego na wychudłe

członki owego chłopca. Było to stworzenie pro-  
 prostu „mizerne“ — smutne, chorowite, źle odży-  
 wione, błędzące po świecie nie wiadomo dla ja-  
 kich przyczyn, bijące się z losem od świtu do no-  
 cy, maltretowane przez wszystkich, oddychające  
 przegniłą atmosferą, którą scena wyziewa, szep-  
 czące stłumionym głosem sążniste tyrady aktor-  
 skie, drżące za każdą pauzą, wytrzeszczające oczy  
 wśród ciemności, okrywającej scenę podczas pró-  
 by, mające na grzbiecie budę, więcej do psiej, niż  
 do muszli podobną — i zamierające w tej budzie  
 z osłabienia, głodu i szkodliwych wyziewów gniją-  
 ciej pod sceną wody.

Słowem — był to sufler teatralny. Zwykle  
 smutny i milczący, zdaje się jeszcze więcej przy-  
 bitym i znękanym. Zapadnięte policzki w błękit-  
 nem świetle lampy mają ślady łez, te lśniące sre-  
 brne brózdki, które gorzka łza zostawia... Na za-  
 tarcie tych brózd chłopak żąda „dużego kieliszka  
 koniaku“. Przynosi go właśnie ufryzowany kelner  
 i brudną ręką stawia przed gościem, zakreślając  
 tradycyjne koło z dezinvolturą pełną wdzięku.

Dokoła tłumy ludzi cisną się przy okrągłych  
 stolikach, pokrytych czerwonymi serwetami o sza-  
 rych długich frendlach. Są to po największej  
 części rzemieślnicy, szwaczki, podrzędni urzędnicy,  
 którzy przybywają prawie codziennie „na raki“  
 i, słuchając fałszywej muzyki, dzielą się wrażenia-

mi dni, przebytych wśród pracy, niedostatku  
 i krótkotrwałych miłostek. Kobiety pozdejmowały  
 kapelusze, chłodząc zmęczone czoła w wieczornej  
 świeżości, i blade, zmęczone od ciężkiej pracy przy  
 popsutych maszynach, siedzą z bezmyślnymi nie-  
 mał spojrzzeniami.

Mężczyźni, więcej ożywieni, rozpostarci szeroko  
 pośród nieporządku fajansowych talerzy, po-  
 rozstawianych w nieładzie, mówią dużo i głośno,  
 tworząc w ten sposób gwar, właściwy tylko dru-  
 gorzędnym restauracjom. Pomiędzy stołami uwi-  
 jali się kelnerzy o impertynenckim wyrazie twarzy  
 i, przeciągając na ostatniej głosce „zaraz!“, starali  
 się uprzyjemnić gościom zbyt długie oczekiwanie  
 na zamówione potrawy.

Ciemne liście kasztanów tworzyły rodzaj da-  
 chu ponad głowami tych ludzi, którzy przy kuflu  
 piwa starali się wmówić w siebie i w swoich, że  
 przybyli tu, aby rozerwać się trochę. Przez szpary  
 drzew przeglądało przeczyste niebo, wysrebrzone  
 gwiazdami, jasne, pogodne, pełne niewzruszonej  
 powagi. Akacje wstrząsały cienkie gałązki, a po  
 liściach dzikiego wina, czepiającego się wzdłuż mu-  
 rów, okalających ogródek, przebiegał dreszcz, wła-  
 ściwy tylko cieniem nocy. Na oświetlonej estradzie  
 kilkunastu muzykantów przygotowywało in-  
 strumenty do wykonania nowego „kawalka“ — ku  
 wielkiej uciechy dzieci, oblegających estradę. Za

chwile „Ständchen“ Schuberta popłynęło wśród kasztanowych liści. Nie grano artystycznie, ale ta dawna, rzewna piosenka ma zawsze urok niezwalczony i niesie za sobą wspomnienie chwil jaśniejszych, śmiechu wśród łez, i wzrusza najgłębiej ukryte uczucia serdeczne.

Gwar ustał, szwaczki jeszcze niżej pochyliły zmęczone głowy, piosenka owijała się dokoła tych zwiedłych kobiet, szepcząc im o stałym, trwałym szczęściu, o prawdziwej miłości, jakiej tak bardzo wśród swej niedoli pragnęły. Mężczyźni milkli powoli, patrząc wilgotnym okiem w przestrzeń. Czuli, że są jeszcze inne rozkosze poza porcją raków i kufelkiem piwa, rozkosze dla nich niedozwolone, a przecież których istnienie oni czuli w moralnym ubóstwie swoim, w tej ciągłej gonitwie za groszem, za sposobami wyżywienia siebie i rodziny. Wrodzone poczucie piękna budziło się w ich pierśiach wraz z melodią piosenki, płynącej drżącymi tony wiolonczeli w dal nieskończoną. Najkunsztowniejsza sonata nie wzruszyłaby tu nikogo, „Ständchen“ wpadło im do głębi duszy i zalewało ich smutkiem swoim. Nawet kelnerzy nie wołali „zaraz!“ — oparli o drzewa wypomadowane głowy, słuchali.

Sufler wypił koniak i oparł głowę na rękę. Koniak nie starł łez, owszem — duże nowe srebrne krople drżały na długich rzęsach chłopca.

Ciemne, szafirowe oczy, wpatrzone z wyrazem nieokreślonego smutku w przestrzeń, skarżyły się w milczeniu na jeszcze jedno upokorzenie, które zgniotło biednego suflera ciężarem swoim.

I tego upokorzenia doznał od „niej“, od tej, która była dlań szczęściem jedynym, piosnką jego życia, marzeniem bezsennych nocy.

\* \* \*

Kochał ją nad życie, nad Boga, nad świat cały! Oprócz niej nie miał nic na świecie — ani rodziców, ani przyjaciół. „Ona“ mu była wszystkim: celem dnia całego, przedmiotem snów, pragnień, kwiatem, wyrosłym na mogile jego młodości. „Dla niej“ mógł kraść, zabijać, stać się szulerem, złoczyńcą lub najszlachetniejszym z ludzi. Jej głos wkradał się do jego duszy jak ta piosenka Szuberta, drżąca wśród wieczornej ciszy. Jej imię było jego modlitwą, a jej spojrzenie rozkoszą, którą słodził gorycz dni swoich... „Dla niej“ czuł się zdolnym wlec dalej ten gorzki żywot, pełen smutku i upokorzeń, „dla niej“ praca stawała się rozkoszą, ból gardła i piersi znikał — on nic nie czuł z bólu i cierpienia, tylko tonął w swej miłości, zapominając o nędznej rzeczywistości. Gdy „ona“ nań spojrzała i uśmiechnęła się łaskawie, on chwycił w lot ten uśmiech jak żebrak grosz

z pojazdu rzucony. Gdy pierwszy raz „jej“ drobna rączka spoczęła w jego dłoni, doznał nagle olśnienia, a oczy mu zaszły mgłą purpurową. Nie widział „jej“ kokieteryj, żartów poza plecami, śmiechów i drwinek jej koleżanek — „ona“ była dlań tak jasnym, promiennym zjawiskiem, że miał ją za Anioła Stróża, który jego sam strzeże. Swem sercem niekazitelnem mierzył wartość serca tej dziewczyny i duszę jej stroił we własne kształty, doskonaląc jej trywialną naturę i podnosząc w swej wyobraźni do najwyższej potęgi. W czasie antraktów wysuwał się ze swej budki i biegł ku garderobie chórzystek, aby dojrzeć choć w przełocie jej drobną, kształtną postać i otrzymać jedno spojrzenie. Gdy łaskawie pozwo'liła odprowadzić się do domu, febryczny dreszcz wstrząsał jego wątłą postacią, a zapadłe policzki płonęły chorobliwym rumieńcem. Nie chciał wszakże być jej kochankiem, w najśmielszych marzeniach nie myślał o tem nigdy — on pragnął uczynić ją żoną swoją i w długiej białej zasłonie wprowadzić do swej ubogiej izdebki. Wśród nieszczęść całego życia ta promienna a biała dziewczyna, wchodząca pod dach jego domu po to, aby pozostać do śmierci, zdawała mu się promieniem słonecznym, zesłanym wśród dnia chmurnego dla rozjaśnienia szarej nici oplatającej jego smutną dolę. O! tak, bezwątpienia, „ona“ mogła być jego żoną, wierną,

przywiązaną, pełną poświęcenia i łagodnego uśmiechu.

Nie pozwoliłby jej pozostać dłużej na scenie — zabrałby dla siebie ten skarb i ukrył go zazdrośnie przed okiem innych ludzi. Miałby ją tylko dla siebie, jej spojrzenie, jej ciemne kręcone włosy, szezebiot małych usteczek, jej białe ramiona, jej serce, jej myśl, jej pragnienie, jej tęsknotę — słowem ją całą dla siebie, wyłącznie dla siebie!... I myślał tak i pragnął do dziś; jeszcze przed półgodziną krył w swem sercu te rozkoszne marzenia. Teraz wszystko rozsypało się w popiół — zrozumiał, że się ludził napróżno, że cały ten gmach czarowny to smutna mogiła jego złudzeń, które na wieki pożegnać powinien.

Cały kieliszek, stojący przed nim, ciągnął go ku sobie. Ach! prawda — wszak jego matula tam, daleko na przedmieściu, zalewa zwykle robaka, a gdy ma zgryzotę, pije bez upamiętania...

I on tak robi — zapomni wtedy o wszystkim, o swych zniszczonych nadziejach, o tem promiennym zjawisku, które w białej zasłonie oblubienicy wejść miało pod dach jego — zapomni o swej niedoli, nędzy, osamotnieniu... zapomni o Bogu, o ludziach i... o niej!

„Ständchen“ Schuberta płynie w dal ciemną, rzewne jak modlitwa sieroca, a w ogródku robi się coraz ciszej. Reszta rozmów milknie, a tylko



wiolonczela skarży się drżącym, niskim głosem. Nawet akacja przestała szemrać i zasłuchana prostuje delikatne gałązki.

Nagle wśród tej ciszy rozlega się głos zachrypliwy, sforsowany, łamiący się w szept przyciszony:

— Kelner, koniakul tylko duży kieliszek, nie-  
dołęgol

\* \* \*

Dziś były jej imieniny. Cóż dziwnego, że ca-  
łem jego usiłowaniem było zrobić przyjemność  
ubóstwianej dziewczynie. Wiedział, co stanowiło  
jej słabą stronę. Lubiła błyskotki, a żółty połysk  
złota zapalał w jej oczach fosforyczne blaski.  
Marzeniem jej było złote *porte-bonheure*, takie,  
jakie widziała na ręku aktorki, grającej „wielkie  
kokietki“. Ach! mieć taką bransoletkę i potem  
umrzeć — mawiała nieraz, oparłszy swą głowę  
o kulisę. On słuchał tego głosu, drżącego od  
pragnienia błyskotki, i zapragnął zadowolnić jej  
żądanie. Bądź co bądź, zbierze potrzebną sumę  
i kupi u Völker'a złotą opaskę z gładką kulką,  
zawieszoną na cienkim łańcuszku. Cacko to ko-  
sztuje dużo, bardzo dużo — zapewne dwumie-  
sięczną jego gażę, ale „dla niej“ on gotów na  
wszystko, — pracować będzie od świtu do nocy.  
I bierze pokreślone egzemplarze, przepisuje je

z gorączkową szybkością, i prosi ciągle o nową  
pracę, prosi tak usilnie, że sekretarz podnosi gło-  
wę ze zdziwieniem, słysząc tę gorącą prośbę  
i widząc stosy ról, ołnoszonych co dni kilka. On  
pisze dniami i nocami całemi. Pochylony nad  
stolikiem, z rozgorączkowaną twarzą, kreśli całe  
arkusze, smucąc się, że jeszcze szybciej pracować  
nie może. Ubrany rzuca się na łóżko i po krót-  
kim wypoczynku pisze znów, wstając tylko dla  
wypicia niezliczonej ilości wody. Nawet przestał  
jeść, a pieniądze odkłada „dla niej“. Żywi się  
bulkami i wodą, a inaczej być nie może, bo imie-  
niny niezadługo, jubiler nie da na kredyt, a bran-  
soletka być musi koniecznie. I w nocnej ciszy,  
padając ze znużenia, krzepi się myślą o jej ra-  
dości, o tym ślicznym uśmiechu, jaki rozjaśni jej  
drobną twarzyczkę, gdy on poprosi o rączkę i sam  
zapnie na białem ciele tę złotą, błyszczącą opa-  
skę. I na tę myśl siły mu wracają, nie czuje  
znużenia i z podwójną energią zabiera się do  
pracy. Wczoraj był u jubilera, oglądał branso-  
letki i pytał o cenę. Brakuje mu jeszcze kilku-  
nastu guldenów, ale może sprzedać zimowe palto  
i ósmego wziąć tak zwane *à conto*. Zima jeszcze  
daleko, a jego zielony surdut może służyć całą  
jesień...

I wreszcie nadszedł ten dzień upragniony.  
Zmęczony, drżący z wycieńczenia i nadmiernej

pracy, chłopak przywłókł się do sklepu jubilera i wychudłą ręką złożył na eleganckim kontuarze żadaną sumę. Wzamian dostał pudełeczko, w którego wnętrzu na szafirowej aksamitnej podkładce błyszczała złota bransoletka, uśmiechając się niezdrowym, żółtawym blaskiem. Grzeczny subjekt zapytał, czy „wielmożny pan nie życzy sobie bransoletki masyw, która jest znacznie droższa, ale daleko polityczniejsza“. „Wielmożny pan“ zapiął z pośpiechem swój wytarty surdut i, zapewniwszy, że właśnie życzone sobie takiej bransoletki, jaką trzyma w ręku, wyszedł, namyślając się, jaka to bransoletka może być „polityczniejsza“.

Wieczorem wymknął się ze swej nory i pośpieszył na scenę, szukając solenizantki. Stała przy otworze kurtyny i z dziwną dokładnością wymieniała nazwiska dam, zajmujących parterowe łóżka. Była bardzo ładna w swym bretońskim kostjumie, ze zgrabnym czepeczkiem na ciemnych, kręconych włoskach.

Widząc zbliżającego się suflera, odbiegła od kurtyny i, zostawiając swe towarzyski, pociągnęła chłopca w kącik, utworzony przez zestawienie dwóch przystawek. On był bardzo wzruszony, ze ściśniętą piersią wyjąkał kilka słów, które miały stanowić życzenia szczęścia, i niepewną ręką podawał jej safjanowe pudełeczko, które ona pochwyciła z po-

śpiechem. Zmęczony, zgłodniały, z gorączką w sercu wyczekuje uśmiechu i słowa podziękii, ale ona nie śmieje się, nie cieszy, owszem brwi marszczy i usta wykrzwia pogardliwie. Z gniewnym ruchem odrzuca od siebie pudełko, które wraz z bransoletką pada na zbrudzoną sceniczną podłogę.

— Dęta! nie masyw! — cóż to warte?! Ja dętej nie chce, wolę nie mieć wcale bransoletki!

I z gniewem odbiegła na przeciwną stronę, zostawiając chłopca osłupiałego, jakby od uderzenia maczugą.

— „Dęta?... masyw?“

Te wyrazy dzwoniły mu w uszach jak dzwonnogrzebowy. Machinalnie podniósł złote cacko i wsunął do kieszeni. Cóż teraz z niem robi, kiedy ona nie chce?... wszak kupił je „dla niej“. Dlaczego odrzuciła tę bransoletę, którą on starał się nabyć, pracując tak ciężko?

— „Dęta?... masyw?“

Nie nie rozumie; wie tylko, że wszystko się skończyło. Cały brak serca tej dziewczyny stanął przed nim w swej wielkiej bezczelności. Teraz nie pragnie jej mieć żonę, ani nawet kochankę. Zraniła go zbyt ciężko, a u niego rany nie goją się nigdy. Nędza jego istnienia nie pozwala zbliżnić się moralnym cierpieniom.

Skończyło się wszystko!

I nagle poczuł głód i pragnienie, i zrozumiał, ile ofiar ponosił dla tej bezmyślnej lalki, która teraz głośnym śmiechem opowiada coś swoim koleżankom. Mówi pewnie o nim, dlatego jest tak wesolą. Mój Boże! ona się śmieje, a jego serce boli, tak boli!

I po przedstawieniu uciekł z miasta za rogatkę, pragnął się rozerwać, zapomnieć o doznanem cierpieniu.

Napróżno! Tu, w tym ogródku, na skrzydłach piosenki Schuberta spływa doń ciągle wspomnienie tej drobnej twarzyczki, która nim wzgardziła, — nawet koniak nie pomagał!

Cóż to? przecież matula mówiła, że na dnie kieliszka zapomnienie wszelkiej zgryzoty. Dlaczegoż on zapomnieć swego bólu nie może? pocóż te łzy, które go palą więcej od koniaków? Cóż to za rana, na którą niema lekarstwa? To ta wiolonczela tak się skarży żałośnie i niepoczciwa szarpie jego serce znękane, lub może wypił zamało?...

— Hej! kelner! koniak! tylko duży kieliszek, niedołęgo!

\* \* \*

Tak! stanowczo trzeba zapomnieć o niej. Nie chciała... cóż dziwnego? powiedziała, że „dęta! Tak! ale on przez tyle dni nie jadł, nie spał, tylko

pił i pił schylony, czytając z trudnością pokreślone manuskrypta. Głupił dlaczego to robił? Wszak powinien był spojrzeć raz dobrze w te oczy dziewczyny i dojrzeć w nich, zamiast szlachetności, pełno kokieterji, fałszu i chciwości.

Teraz nie siedziałby w brudnej knajpie nad kieliszkiem koniaków i nie płakałby jak dziecko nad rozbitym cackiem. Osłabiony, zgłodniały, zdenerwowany, już jest pijany tem strasznym, zatrutem pijaństwem, w którym dusza jest bardziej pijaną od ciała. Drzewa, ludzie, kolorowe lampy — wszystko wiruje przed jego oczami, kręci się, tańczy w różnobarwnych kręgach. A przecież matka kłamała — na dnie kieliszka niema zapomnienia! Serce go boli może więcej, niż przed wypiciem koniaków, a „ona“ jest ciągle przy nim z tą pogardliwą miną, z którą mówiła:

— Dęta!... nie masyw?!  
\* \* \*

I ta wiolonczela! ta wiolonczela, która się skarży ciągle z jękiem sierocym. Nie! matka skłamała — nic zapomnieć nie można... tylko ogarnia człowieka bezwładność wielka, a wszystkie wspomnienia cisną się doń z niepojętą siłą. I skarżyć się nawet nie można, tak wielki ból piersi przygniata, — tylko głowa opada i łzy płyną, płyną...

\* \* \*

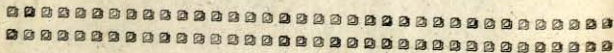
— Pan zechce zapłacić już późno, goście się porozchodzili, gaz będziemy gasić.

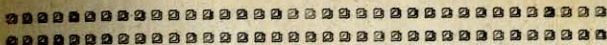
Tak, trzeba zapłacić. Ale on pieniędzy nie ma. Wszystkie wydał „dla niej“. Dokoła pustka, estrada nawet opróżniona z muzykantów. Przecież trzeba zapłacić, bo kelner stoi tuż przy nim i domaga się pieniędzy. Machinalnym ruchem wsuwa rękę do kieszeni i natrafia na safjanowe pudełko. Wyjmuje drżącą ręką błyszczące cacko i rzuca je na stół, pomiędzy strugi rozlanego koniaku.

— Nie mam pieniędzy, weźcie to jako zapłatę... — mówi przerywanym głosem — tylko dajcie mi to... co piła moja matula, gdy chciała zapomnieć o swem zmartwieniu... Dajcie mi coś mocnego... abym się napił i zasnął, zasnął twardo i zapomniał o tem, żem cierpiał... „dla niej“.

NA POSTERUNKU

OBRAZEK





zy Henryk powrócił?...

— Jutro powraca, moje dziecko!

— Jutro?... a kiedyż to jutro?...

— Skoro słońce do snu się ułoży i znów wstanie. O! patrz! już się kładzie. Pościel ma z czerwonych chmur złożoną. Samo jest także czerwone...

Obląkana zerwała się z ziemi, na której siedziała, porwała konwulsyjnie rękę siostry Kaliksty.

— Henryk lubił także czerwone róże; na jutro dasz mi dużo róż czerwonych... on powróci!...

I rzewny uśmiech przemknął po twarzy warjacji.

Zakonnica patrzyła na nią uważnie z pod białych osłon wielkiego swego czepca — wzrok ten był pełen tklivosti i współczucia dla nieszczęśliwej, której wynędzniałe ciało, okryte lekką szarą tkaniną, wstrząsały bezustannie nerwowe dreszcze, a twarz wychudzona, smutna, powleczone si-

nawą barwą, przypominała raczej trupa, niż żyjącą istotę.

Zachodzące słońce oblewało szpitalny ogródek złocistymi blaski. Przez wysoki mur dolatywał gwar miasta, turkot dorożek, nawoływanie przekupniów. Cały ruch i życie miasta koncentrowało się w tym potężnym szmerze, co wraz z tumanami kurzu i miazmatami zgnilizny unosił się w powietrzu.

W ogródku szpitalnym siedzące rzędem na ławkach obłąkane kobiety zdawały się chwilami słuchać uważnie, skąd ten szmer dochodził. Niektóre obracały nawet głowy i usuwały z włosów małe szafirowe chusteczki, aby lepiej pochwycić te dźwięki, których znaczenie rysowało się niejasno w ich zamglonych umysłach. Niejedną wybladłą twarz rozjaśniał turkot dorożki. Wołały nawet czasem „wio!“, wymachując rękami w powietrzu. Robiły wrażenie dwuletnich dzieci, cieszących się na widok koni. Kobiety te cofnęły się znów do niemowlęctwa, czarna mgła spowiła ich inteligencję, — były to dwunożne zwierzęta, obdarzone mową i kryjące w swej duszy jedną myśl, jedną wolę, do której uparcie wracały.

Mówiły szybko, wszystkie razem — to znów milkły nagle, patrząc błędnym wzrokiem dokoła. Niektóre bały się szelestu liści, te znów wykrzywiały się zachodzącemu słońcu, inne mruczały

modlitwy i biły się w piersi. Jedna z nich kołysała fikcyjne dziecko, śpiewając przytem monotonną piosenkę; druga zrywała pełnemi garściami liście i wtykała je we włosy... Liście zsuwały się po krótkich kosmykach i czepiały się jej sukni, lub spadały na piasek. Kilka z nich siedziało, patrząc ponuro w ziemię. Oczy tych chorych miały w sobie wyraz, niepodobny do określenia. Były to niezgłębione przepaście smutku i zwątpienia. Rozpacz straszna, bezgraniczna, rozpacz, w której niema pocieszenia, czarna jak otchłań i jak otchłań bezdenna, wiała z tych kilku postaci, szarzejących na tle muru szpitalnego.

Siedziały ciche, nieruchome.

Złote promienie słońca oświecały ich głowy.

One nie zważały na to.

Patrzyły w piasek i zdawały się nie oddychać prawie, tak nieruchomość ich była doskonała.

Wielką musi być boleść, której długo stwarza takie arcydzieła.

Siostra Kaliksta pełnym miłości wzrokiem ogarnęła tę grupę.

Największe współczucie budzi ciche cierpienie, które nie szuka ulgi w krzyku i şkardze, lecz, nurtując organizm, grób za życia kopie.

Lagodne oblicze zakonniczy zdawało się cierpieć wspólnie z nieszczęśliwemi.

Ona już tak żyła się z niemi, tak znała tro-

skę, która każdą z nich udręcza, tak wiedziała, czem ulgę im przynieść, ulgę choćby chwilową — że dziś cierpiała ich boleścią, smuciła się razem z niemi, a wszystkie kochała, pomimo przykrości, jakie jej nieraz wyświadczały.

Była to jedna z tych istot czystych, nieskalanych, zesłanych na ziemię, aby dobrze czyniły, — istot, które zaparłszy się swego „ja“, zarówno tułą do serca umierającą jawnogrzesznicę, jak niewinne konające dziecię.

Będąc istotnie świętymi, rozgrzeszają łatwo błędy drugich.

Nie znając nawet pokus, nie rozumieją, czy cnota jest rzeczą trudną.

Na białych ich skrzydłach niema błota, bo kałuże omijały bezwiednie, i w sercu swem mają jedną tylko wielką żądzę: pragną być użyteczniemi nieszczęśliwym.

I ona jest nią już od lat dziesięciu.

Młodem dziewczęciem wstąpiła do Sióstr Miłosierdzia. Młode, zdrowe ciało przyoblekła w skromną szatę, a na kształtną głowę włożyła wielki, brzydki czepek. Była ładną i została nią jeszcze. Jej błękitne oczy mają kolor niezapominajek, a twarz, pobladła od bezsennych nocy, zachowała nieskalaną regularność linii. Zdrowie, siły, młodość, słowem życie całe oddała na usługi chorych i zamiast zamknąć się w murach klasztornych

ona przebiega salę zawsze uśmiechnięta, słodka, łagodna, pełna dobrych chęci i zjawiająca się jak dobry anioł przy łożu śmiertelnem.

Wszyscy ją kochają, ona nawzajem wszystkich. Jest to dobry duch szpitala.

Przesuwa się po korytarzach cicha, śpiesząca do tych, którzy najwięcej cierpią.

Żadna bolesna operacja odbyć się bez niej nie może.

Z początku mdlała na widok tych strasznych ran otwartych, z których sączyła się krew zepsuta.

Prędko przecież siłą woli przemogła słabość nerwów i dziś stoi nieruchoma obok marmurowych stołów, trzymając bandażę, miednice, gąbki — i śledzi pilnie poruszenie lekarza.

Usta jej tylko szepcą „*Ave Maria*“.

Lekarze chętnie ją mają przy sobie. Wiedzą, że siostra Kaliksta nigdy nie zaśnie przy łożu chorego, jej więc powierzają najniebezpieczniejszych pacjentów.

Ona przecież najchętniej przebywa w oddziale obłąkanych.

Skoro ma tylko wolną chwilę, wysuwa się do małego ogródka lub do sal, gdzie przebywają warjatki.

Tam stara się łagodnemi słowy leczyć dusze nieszczęśliwych, bo, według niej, obłąkanie — to choroba duszy. Z anielską cierpliwością słucha

cynicznych i wyuzdanych słów, dziwacznych opowieści, bluźnierstw, przysięg miłosnych, lub namiętnych, dyszących zemstą wyrzów.

Na wszystko stara się znaleźć odpowiedź, śledząc z uwagą twarze tych kobiet, szczęśliwa, jeśli przez zezwierżoną maskę przebije się jakiś błysk rozsądku, jeśli jej słowa choć w setnej części pojęte zostaną.

Słońce błyskało coraz wspanialszym blaskiem. Purpurowe, wspaniałe, jak wielkie czerwone oko wyzierało z poza purpurą obwiedzionych lekkich chmur.

Jedna z oblakanych podniosła rękę w kierunku słońca, wołając:

— To Bóg!

Inne poszły za jej przykładem. Bezmyślnie powtarzały wielkie słowo, nie pojmując, a raczej zapomniawszy jego znaczenia.

Dziewczyna, siedząca na ziemi obok siostry Kaliksty, powtarzała ciągle:

— Czy Henryk powrócił?

Siostra Kaliksta powstała i zbliżyła się do oblakanych, które słońce Bogiem mieniły.

— To nie Bóg — wyrzekła powoli, — to słońce; ale Bóg je stworzył.

Zagłuszył ją krzyk warjatek. Protestowały wszystkie, machając rękami; jedna tylko zbliżyła

się do zakonnicy i, patrząc na nią mętnymi źrenicami, wyrzekła z wysiłkiem:

— Bóg mnie odkupił!..

Było to chwilowe przypomnienie jakiejś lekcji katechizmu, lekcji, mianej na kolanach matki, której wspomnienie ukazało się teraz w ogródku szpitalnym, zbudzone słowami zakonnicy.

Siostra Kaliksta uśmiechnęła się radośnie.

— Tak, moje dziecko — wyrzekła, głaszcząc ręką ostrzyżoną głowę warjatki, z której zsunęła się chusteczka, — Bóg cię swą męką odkupił!..

Ale ona nie słuchała już wcale; patrzyła w przestrzeń i wołała:

— Janie! czy konie już zaprzężone?

Siostra Kaliksta posmutniała znowu i obejrzała się dokoła.

Jedna z kobiet, siedzących pod murem, zsunęła się z ławki na ziemię. Zakonnica podeszła ku niej, podniosła ją i, posadziwszy na ławce, zerwała kilka żółtych (nasturcyj), usiłując zwrócić uwagę chorej na te jaskrawe kwiaty.

Ale smutna kobieta nie spojrzała nawet na aksamitne płatki kwiatów.

Oparła głowę na rękę i zapadła w zadumę.

Siostra Kaliksta złożyła kwiaty na piasku i odeszła do innych, poprawiając im chusteczki, które bezustannie zsuwały z głów, lub napomina-



jąc łagodnie, gdy jakakolwiek sprzeczka pomiędzy niemi powstała.

Z wieżyczki doleciał cichy głos dzwonka.

Był to dzwonek wieczorny.

Siostra Kaliksta uknęła na piasku i głośno „Anioł Pański“ mówił poczęła.

Większa część obłąkanych poszła za jej przykładem. Nie modliły się wprawdzie, ale kłęzały, przesypując piasek i wybierając starannie drobne kamieszczki.

Daleko, poza kratą widać było oddział męczczyzn obłąkanych, powracających do sal.

Szli parami, odziani w błękitne kaftany i szerokie spódnice.

Za chwilę znikli w otwartych drzwiach gmachu.

Kobiety niektóre patrzyły ciekawie.

Jedna uśmiechała się zalotnie. Inne nie zwracały na to uwagi.

W kilka minut później widać było znów dozorcę i dyżurnego lekarza, prowadzącego kilku maruderów.

Lekarz zatrzymał się chwilę i rozmawiał z przechodzącą Siostrą Miłosierdzia.

Ta ostatnia skinieniem głowy zdawała się coś potwierdzać lub przyrzekać lekarzowi.

Tymczasem obłąkani wraz z dozorcą weszli po kilku stopniach do gmachu.

Teraz na dziedzińcu ukazało się kilku rekon-

walescentów i spokojnych obłąkanych, którzy z wielkimi kubłami mosiężnymi śpieszyli do kuchni po wieczrę dla chorych.

Szli szybko, i błękitne ich bluzy zniknęły poza drzewami, otaczającymi gmach dokoła.

Siostra Miłosierdzia, która rozmawiała z lekarzem, skłoniwszy się pokornie, prędko udała się ku siostrze Kalikście, zajętej oswobodzeniem motyla z rąk bardzo złośliwej warjatki, która, złapawszy go, wyrwała mu już jedno skrzydło.

— Niech będzie pochwalony! — wyrzekła nowoprzybyła, pochylając głowę.

— Na wieki wieków! — odpowiedziała siostra Kaliksta — a co mi Wasza Miłość przynosi nowego?

— Rozkaz udania się dzisiejszej nocy do sali gorączkowej, na której leży chory, przechodzący bardzo złośliwy i ciężki tyfus..

Siostra Kaliksta skinęła głową.

— Będzie wykonane! — odpowiedziała.

— Gorączka silna — wyrzekła zakonnica.

— Czy to numer 21-szy?

— Tak.

— Biedny człowiek osamotniony, opuszczony przez wszystkich; podjęto go podobno z jakiegoś ogrodu, gdzie przepędził kilka nocy o chłodzie i głodzie!

— Tak, moja siostrze!

Chwila milczenia zapanowała pomiędzy mówiącymi.

— Straszne są nędze na tej ziemi, nędze ciała i duszy! — wyrzekła wreszcie zakonnica.

— A któreż straszniejsze, czy gdy duch, czy gdy ciało cierpi i w tem cierpieniu kona? — zapytała siostra Kaliksta, ukazując na otaczające je kobiety.

Za chwilę siostra Kaliksta wychodziła z ogródka.

Już przy furtce szarpnął ją ktoś za fałdy od sukni. Była to jedna z obłąkanych, która miała dziwne przywidzenia.

— Gdzie idziesz? — zawołała. — Wróc się... śmierć idzie za tobą!

Siostra Kaliksta uśmiechnęła się łagodnie.

Ona tak często spotykała się z tem straszmem widmem przy łożu konających, że słowa obłąkanej nie przeraziły jej wcale.

Mimo to objęła miłośnie wzrokiem ten mały ogródek, pełen woni kwiatów i smutków ludzkich. Słońce już skryło się zupełnie, pozostawiając za sobą pas purpurowy jakby fałdę wspaniałego płaszcza.

Trawniki zieleniały przetykane małymi kłombikami kwiatów, a jaśmin i bez przesyłały całe kłęby woni, unoszącej się i ginącej w powietrzu.

Obłąkane stawały parami, gotując się do powrotu; zakonnica, zastępująca obecnie siostrę Ka-

likstę, usiłowała zbudzić siedzące pod murem kobiety z tak bolesnej zadumy i przymusić do udania się na wieczerzę.

Siostra Kaliksta stała ciągle u fartki.

Ten jej ulubiony kącik, gdzie zwykła najchętniej przebywać, zdawał się dziś przykuwać ją do siebie.

Patrzyła na szumiące drzewa, na purpurowe nasturcje, na poblądłe i wynędzniałe twarze warjatek — i jakaś niewysłowiona tęsknota ścisnęła jej serce.

Ale przypomniawszy sobie swój obowiązek.

Na górze, na drugim piętrze czekał na jej opiekę i staranie człowiek, walczący ze śmiercią, — musiała się tam udać niezwłocznie i pozostać noc całą. Uszedłszy kilkanaście kroków, posłyszała jeszcze ostry, przejmujący głos obłąkanej, krzyczącej z głębi ogródka:

— Śmierć idzie za tobą! Wróc się!

Ale siostra Kaliksta powrócić nie mogła. Była jak żołnierz, któremu przeznaczają miejsce posterunku.

Stabo płonąca lampka oświecała wielką salę — tak zwaną „gorączkową“. Kilkanaście pustych łóżek, zasłanych czystymi prześcieradłami, wyciągały rzędem swe linje, bielejąc w mdłym świetle jak marmurowe sarkofagi.

Białe również były wysokie ściany sali, wznoszące się czysto jak ściany korytarzy klasztornych, ginących w nocnej pomroce. Czarne tablice nad łózkami były zupełnie czyste i starannie wytarte. Chorych w tej sali nie było wcale, a jedno łóżko tylko było obecnie zajęte.

Na białych tabliczkach czerniały numery za-  
tknięte wysoko ponad łózkami na żelaznych prę-  
tach.

Numer 21-szy widać było nad łóżkiem cho-  
rego.

Lekką kołdrą osłonięte ciało rzucało się nie-  
spokojnie po wąskim łóżku, a ręce wyciągnięte  
z całą siłą uderzały o ścianę, przy której znajdo-  
wało się postanie.

Był to raczej szkielet człowieka, strawionego  
głodem i nędzą — kości przeświecały prawie  
przez wyschlą skórę.

Szkielet ten zdawał się płonąć cały od we-  
wnętrznego żaru, jaki go trawił.

Skóra rozpalona wydawała z siebie gorąco  
jakieś zgniłe, a ze spieczonych warg wysuwał się  
zczerniały język, suchy, szukający bezustannie  
ochłody. Oczy krwią nabiegłe, bezprzytomne la-  
tały szybko po pustej przestrzeni, a głowa drżała  
nerwowo, zrywając się co chwila z poduszek.

Na zegarze miejskim wybiła dwunasta.

W kącie sali rozległo się chrapanie.

To stary posługacz szpitalny, znużony snem,  
zasnął twardo, upadłszy na podłogę.

Wtedy siostra Kaliksta podniosła się i zbliżyła  
do chorego.

Chłodząc ręce o marmurową kulę, którą z sobą  
przyniosła, stanęła u wezgłowia.

Troskliwie poprawiła poduszki i jedną dłoń  
położyła na rozpalonych skroniach nieprzytomnego  
człowieka.

Pod chłodnem dotknięciem miękkiej dłoni cho-  
ry uspokoił się cokolwiek. Umilkł, przerywając  
bezustanne bredzenie, które mimowoli wyrwało  
się z ust jego.

Chwilami tylko wstrząsał się cały, szepcząc:

— To głód!... to śmierć!...

Siostra Kaliksta zwilżyła usta nieszczęśliwego  
chłodzącym napojem.

— I to śmierć! — szeptał nędzarz, kurcząc  
się konwulsyjnie.

— Skoro się zbliżysz jeszcze... — zaczął znowu,  
wyciągając rękę — zaduszę cię!... Ty bezlitośna!

I suchemi, drżącymi palcami wykonywał ruch,  
odpowiedni słowom.

Poczem ręka opadła bezwładna i chory zda-  
wał się zapadać w stan półseny.

Siostra Kaliksta stała ciągle przy łóżku, zmie-  
niając dłonie, któremi chłodziła czoło chorego. Jej  
wysoka postać rysowała się w bładem świetle

lampy, a wielkie skrzydła czepca rzucały cień na jej twarz pobladłą.

Tyle już nocy czuwa ciągle przy łózkach chorych, tyle czoł rozpalonych chłodzi jej delikatne ręce pośród nocnej ciszy! Od lat, dziesięciu staje tak co noc prawie u wezłowia chorego i słucha jęków i skarg, do których przywyknąć, ani zobojętnieć na nie nie mogła.

Każdy jęk znajduje oddźwięk w jej sercu — i to współczucie sił jej dodaje, sen spędza z powiek..

Ona nie mogłaby zasnąć jak ten dozorca wobec tak ciężkiego cierpienia, jakie nęka wprawdzie obcego, ale bliskiego swem nieszczęściem chorego.

Nigdy jej przez głowę nie przemknęła obawa przed zarazą jakiejś złośliwej choroby. Jeśli przedsięwzięła nieraz środki ostrożności, to tylko ze względu na innych chorych, którym mogłaby zaraży udzielić.

Ona sama szła w bój ze śmiercią odważnie, stając nad krawędzią przepaści bez trwogi.

Jej hasło — miłość bliźniego.

Jej modlitwa — poświęcenie bez granic.

Jej pacierze — dobre uczynki!

I teraz tak czuwając w ciszy nocnej, przebiega myślą całe swe życie.

Dziewczynką już czuwała nad chorymi, naj-

sześliwsza, gdy dozwolono jej podawać lekarstwa lub zmieniać okłady.

Rozwinęła się jak kwiat, nie pragnąc innej miłości, jak miłości dla nieszczęśliwych.

Była to kobieta wyjątkowa, tak zwana „bez temperamentu“ — ale i dla takich miejsce musi być na świecie.

Ich miejsce jest przy łożu konającego.

Dnie i noce całe stała na tym posterunku jak dobry żołnierz, walczący w obronie kraju.

Żołnierzowi nie pozwala zejść z posterunku zakaz władzy wyższej i obawa przed karą — siostrę Kalikstę wstrzymywała tam miłość bliźniego.

Nie знаła muzyki balowej, nie słyszała nigdy hiszpańskiej serenady, ale umiała rozróżnić przedśmiertne chrapanie od ciężkiego oddechu przesiłonej choroby.

Jaskrawe światło gazowe nie raziło nigdy jej oczu, ale zato złoty blask gromnicy płonął często rozniecony przez nią, a blade światło nocnej lampki gasło zdmuchnięte jej blademi ustami, gdy świt już przez okna słał swe szare blaski.

Jedna jej ręka ma wielki palec skrzywiony i unieruchomiony.

Czuwając pewnej nocy przy silnie obłąkanej kobiecie, starała się nie dozwolić, aby ta nieszczęśliwa w przystępie nagłej furji pogryzła swoje ręce. Obłąkana porwała rękę siostry Kaliksty

i ugryzła ją tak mocno w palec, że złamała kość.

Siostra Kaliksta nie użyła przecież brutalnej przewagi nad chorą. Mogła była ją uderzyć i bronić się siłą, — ale siostra Kaliksta wołała znieść to cierpienie, niż podnieść rękę na nieszczęśliwą a bezprzytomną istotę.

Dlatego też siostra Kaliksta z pewnego rodzaju radością przebiega myślą swe życie.

Nigdy nie zboczyła z wytkniętej sobie drogi.

Kochała ludzi — i to bez wyboru!

Kochała wszystkich tych, którzy cierpieli; im większe było ich cierpienie, tem byli jej sercu bliżsi.

Chory poruszył się niespokojnie.

Widocznie gorączka wzmagala się z coraz większą gwałtownością.

Oczy otworzył szeroko i znów zaczął niespokojnie wodzić niemi dokoła.

— Spalę się! — jęczał przyciszonym głosem — zmienilem się w piec gorący... chleb się we mnie pieczel Chleb dla mnie... dla moich dzieci!

Podniósł się nagle i usiadł na łóżku, wołając coraz głośniej:

— Niestety!... nie starczy!... inni zabierają!... ha! łotry! dajcie i mnie choć okruszynę!... Wszak to z mego serca chleb zrobiony!... z mej krwi!... z mego potu!... z ciężkiej pracy mojej!...

Obejrzał się dokoła i zamilkł na chwilę.

Siostra Kaliksta podeszła do posługacza, aby go obudzić.

Nadchodziła chwila, gdy należało ciało chorego wytrzeć letnią wodą, a wreszcie czuła, że, zwyczajem tyfusem dotkniętych ludzi, ten człowiek stanie się coraz gwałtowniejszym i będzie usiłował powstać z łóżka.

Ale stary Jan spał bardzo twardo.

Miał tę jedną wielką wadę, że gdy zasnął, nie go rozbudzić nie mogło.

Siostra Kaliksta pochyliła się nad śpiącym i usiłowała wszelkimi sposobami przerwać mu sen prawdziwie kamienny. Ale trud jej był bezskuteczny. Jan chrapał ciągle, odtrącając od siebie zakonnice.

Chory tymczasem rozpoczął znów swoje majaczenie.

I ciągle powracał do tego chleba, który powstał z jego potu, a innym za pożywienie służył.

Dla niego nie było nawet okruszyny.

I nie musiało jej być rzeczywiście, skoro napół umarłego z głodu i osłabienia podniesiono wśród szumiącej zieleni miejskiego ogrodu.

— Precz, kruk!... nie szarpicie mnie tak strasznie!... och!... gdy mi ręce pokrwawicie, czem pracować będę?... Nikt nie da jałmużny!.. i roboty nie da... Tylko chleb ten piec muszę, tak że aż luna bije!...

Ukląkł na łóżku, straszny swem wyniszczeniem, podobny do upióra, do widma, któremi niańki dzieci straszą.

Było to widmo... nędzy.

Siostra Kaliksta zbliżyła się cicho i stanęła tuż przed bezprzytomnym człowiekiem.

On na jej widok cofnął się przerażony w głąb łóżka, powoli przecież ochłonął z przestachu i począł bacznie wpatrywać się w twarz zakonnicy.

— To ty? — wyrzekł nareszcie ze smutkiem — pocios wstała z grobu i dzieci zostawiła same? Czy ci tam niedobrze?... Wszak tu na świecie było ci źle... Piekłaś chleb także dla innych... a ja ciebie biłem!..

Wyciągnął ramię i odepchnął silnie siostrę Kalikstę, która pochylała się ku niemu, pragnąc zwilżyć rozpalone skronie.

— Idź!... idź!... będę znów musiał dla ciebie kraść!... idź spać!... na cmentarz!... nie przychodź tu już więcej!... Precz! precz!

Siostra Kaliksta ujęła jego rozpaloną rękę.

— Połóżcie się, mój przyjacielu, proszę was w imię Boga! — wyrzekła słodkim głosem.

Chory ścisnął jej palce konwulsyjnie i wstrząsnął nią całą.

— Jeszcze tu stoisz?... jeszcze mnie o chleb prosisz?... wszak widzisz, że nie mam dziś nic!... zimno... fabryka ustała... jutro! jutro!

Przyciszył głos i, patrząc ponuro przed siebie, dodał:

— Wiesz!... jak jutro roboty nie będzie, to kogo... zabiję!..

Zakonnica mimowoli drgnęła.

Spokojne jej oczy zwróciły się ku ścianie, na której czerniał wielki krucyfiks.

— O! Chryste! — wyszeptała, — Chryste!... jakże strasznie ci ludzie cierpieć muszą, gdy takie słowa wymawiać mogą!..

Teraz wyrobnik porwał się nagle i wyskoczył z łóżka.

Długa szpitalna koszula zwieszała się na jego wychudłych ramionach jak całun grobowy.

— Schwytali nas!... schwytali! — wołał z rozpaczą — zamkną nas na całe życie!... uciekać! uciekać na cmentarz!... Chodź!... chodź!..

I porwał zakonnice za suknię, ciągnąc ją za sobą.

Coraz większy obłęd go opanowywał.

Drżał cały, a zęby dzwoniły jak kości szkieletu!..

Siostra Kaliksta starała się stawić opór i pragnęła wprowadzić szaleńca do łóżka.

Ale napróżno!

On ciągnął ją za sobą pomiędzy rzędami łóżek.

— Chodź!... chodź!... prędejl!... już idą po mnie! kajdanami brzęczą...

Zakonnica upadła na kolana, czepiając się krawędzi łożek, pościeli, ale chory włókł ją za sobą, rwąc na niej odzież, kalecząc jej ramiona.

Nagle puścił ją na kant łożka, tak iż pociemniało jej w oczach i uczuła ból przejmujący w skroniach.

— Kiedy nie chcesz się ratować — zawołał, — to gin!... ja uciekać muszę!... czas jeszcze!...

I, wydostawszy się z pomiędzy łożek, poskoczył ku oknom.

Jedno z nich było nawpół uchylone, gdyż noc była dziwnie ciepła, prawie gorąca.

Silnem pchnięciem ręki otworzył je i już gotował się do śmiertelnego skoku, gdy ktoś uczepił się jego odzieży.

Była to siostra Kaliksta.

W jednej chwili porwała się z miejsca i pobiegła za nieszczęśliwym.

Pokrwawiona, z poszarpaną odzieżą, czepiała się szaleńca z całą siłą, na jaką się zdobyć mogła.

Inna na jej miejscu, uniknąwszy prawie śmierci, byłaby pobiegła budzić dozorcę, lub wołać o ratunek.

Ona nie obliczała następstw.

Widziała tylko życie ludzkie w niebezpieczeństwie i pragnęła zapobiec katastrofie.

On tymczasem z podwójną wściekłością zwrócił się ku niej, starając się z rąk jej uwolnić.

Słabe światelko dogasającej lampki oświecało tę straszną scenę, rzucając chwilowe błyski na wykrzywioną twarz szaleńca i krwią oblane, ale anielskim wyrazem rozjaśnione oblicze zakonnicy.

Wielki, niekształtny czepiec, zmięty i porwany, spadł na ziemię, a jasne krótko ostrzyżone włosy otaczały głowę kobiety jakby złotą aureolą.

Walka trwała krótko.

Siostra Kaliksta dwukrotnie upadła z jękiem na podłogę, odepchnięta z nadludzką siłą, i dwukrotnie podniosła się, czepiając się rozpaczliwym wysiłkiem rąk i odzieży szaleńca.

— Ach! przeklęta! — zawołał wreszcie chory — więc chcesz mnie zgubić!... dobrze, więc uciekajmy razem!

I pochwycił osłabioną kobietę w ramiona.

— Nol idź ty pierwsza!... ja za tobą!

Przechylił się jeszcze i rzucił okiem w ciemną przestrzeń.

— Nikt cię nie zobaczy!... leć tylko szybko!...

Siostra Kaliksta instynktownie poczęła się bronić przed śmiercią.

Ale napróżno!

Chory, któremu gorączka sił chwilowo dodawała, podniósł ją i z całą mocą cisnął w przepaść.

Jeden jęk tylko, jedno słowo wyrwało się z ust nieszczęśliwej:

— O! Chryste!

I ciało z głuchym łoskotem upadło na wybrukowany w tem miejscu dziedziniec.

Jęk ten pomieszał się z krzykiem Jana, który, przed kilkoma sekundami ocknąwszy się ze snu, porwał się z ziemi i ku oknu poskoczył.

Na jego widok chory upadł na posadzkę, jęcząc przeraźliwie:

— Zapóźno!... policja!... policja!...

Poczem uspokoił się prawie zupełnie i, położony przez Jana do łóżka, nie stawiał żadnego oporu, mrużąc tylko:

— Poszła na cmentarz!... poszła!..

\* \* \*

Gdy przerażeni ludzie nadbiegli na miejsce wypadku, znaleźli już tylko trupa zakonnicy, oblanego strugami krwi.

Głowa jej, nieochroniona niczem, nawet dłuższymi włosami, roztrzaskała się na miejscu.

W całym szpitalu zapanował żal wielki, jeden płacz serdeczny.

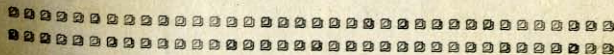
Dobry anioł tych murów uleciał, pozostawiając po sobie pamięć i miłość w sercach nieszczęśliwych.

Chory, bezwiedny zabójca, powoli przyszedł do zdrowia i poszedł dalej pędzić to życie, pełne trosk, udręczeń i nędzy, jakie włókł dotychczas.

Ale siostra Kaliksta swą własną śmiercią opłaciła jego istnienie, krwią swoją przedłużyła jego życie o lat kilka, może kilkanaście.

I do ostatniej chwili, do ostatniego tchnienia była wierna swym obowiązkom, nieskalana, czysta, biała, podziwienia godna — nie usunęła się ze swego stanowiska nawet wobec śmierci.

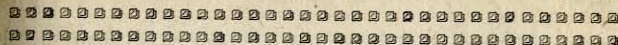
Zginęła jak żołnierz — na posterunku!





**POCIEMKU!**

DROBNOSTKA



Stanowczo Malcia była zakochana.

I to zakochana do szaleństwa.

Wszystkie symptomy tej strasznej przypadłości, jako to: bezustanne i również bezpodstawne rumieńce, brak apetytu, bezsenność, przypatrywanie się częściej swojej twarzy w zwierciadłach, chowanie się po kątach dla swobodnego dumania, czytanie poezyj Rossowskiego, skłonność do astronomji, karbowanie i przypalanie grzywki, wstręt do matematyki i geografji, zużywanie większej ilości mydła dla wywabiania plam atramentowych z paluszków, a czasem noska — oto były dostateczne dowody, które Malcie postawiły odrazu w oczach jej sióstr i przyjaciółek na wysokiem stanowisku... zakochanej panny.

Te dwa słowa miały niemałe znaczenie w wesolej i ruchliwej drużynie dziewczątek, szeleszczącej od rana do nocy krótkimi, krochmalonemi

spódniczkami i gryzącej wiecznie kredę, ołówki lub inne przysmaki.

Przełożona pensji miała niemały kłopot z tą całą gromadką. Różnice temperamentów były tam tak silne jak kolory włosów, jak barwa zrenie, otwierających się co rano ciekawie i spoglądających z poza białych firanek na światło dzienne z figlarnem zapytaniem, z nigdy niezaspokojoną chętką poznania... nieznanego.

Były tam dziewczątka ciemnowłose, czarnookie, o cerze smagłej, rysach ostrych, wysmukłe, pełne samowoli, nieugiętej dumy, szlachetnych instynktów, pragnień nieokreślonych. Te rwały się do pracy, do życia, do samodzielności jak orły do słońca. Inne znów — blondynki płaskie, o jasnej cerze, różowem ciele, przyjmowały spokojniej wszystkie wrażenia, nie gorączkując się zbyt; szatynki z czarnemi oczami, rozmarzone, tchnące zdaleka poezją, błąkały się po salach, kryjąc pod fartuszkami maleńkie książeczki, z których czytały melancholiczne strofy, odbierające im apetyt i przyprowadzające o bezsenność.

Na dwóch punktach godziły się przecież wszystkie.

Nie lubiły chleba z powidłami i płonęły chęcią zakochania się w kimkolwiek.

Niewinne ich serca pragnęły miłości, bojąc się jej instynktownie. Czyż jest przecież coś pię-

kniejszego, coś bardziej uroczonego, jak ta tęsknota kobieca, to dążenie dziewczęcia do swego przeznaczenia, to rwanie się cmy do światła, w którym choćby splonąć miała, a przecież dąży doń, spieszy naoslep — bo tak być musi! tak sądzono!

I dziewczątka marzy, płacze wśród szarej godziny, wpatruje się w gwiazdki i całuje kwiaty...

Śmieszne to, a przecież tak pięknie! tak czyste!

Z całego szeregu dziewczątek, szepczących w kącikach lub w cieniach drzew o miłości, Malcia najpierwsza zrozumiała istotne tego słowa znaczenie.

Był to fakt ważny, doniosły.

Pensja cała wzburzyła się w sposób niezwykle.

Przypatrywano się Malci z podziwem, z szacunkiem prawie, otaczano ją podczas rekreacji i starano się badać, co myśli, co czuje. Pytano, czy jej serce nie urosło i dziwiono się, że powoli mizernieje. Według nich, miłość powinna nadawać cerze kolor prześcieradła, a całej postaci pozór złamanej brzozy. Malcia uczyła się wprędce bohaterką dnia. Zaczęła odgrywać swą rolę stosownie do okoliczności.

Nie jadła podwieczorku i drugiego śniadania, a pokryjomu zapychała się figami i chlebem świętojańskim. Udawała, że szuka samotności i wznosiła często oczy ku niebu. W nocy wzdychała ciężko, a nawet nosiła się z myślą zemdenia kiedy-

kolwiek dla wzbudzenia sensacji. Będąc okrągłą, pulchną szatynką, pragnęła zeszczuplec do możliwych granic. Piła ocet i kwas ogórkowy, który jej sprawiał dotkliwe boleści. Wszystkie jednak oczy były na nią zwrócone, nie mogła cofać się lub zadawać kłamu głosem, jakie koło niej kłazyły:

— Malcia się kocha! Malcia zakochana!

I był to jeden wielki szept mniejszych i większych kobietek, szept, krążący wzdłuż ławek, czepiający się tablic, rajsbrętów, wymykający się z podnoszonych pulpitów, skrzypiący w pociągnięciu kredą, mieszający się do pacierzy wieczornych, odmawianych u stóp Marji, wznoszącej swe białe, nieskalane linje wśród półcienia pensjonarskiej sypialni.

I jeszcze drobne, małe główki, pokryte białymi czepeczkami, kręciły się niespokojnie wśród nocnej ciszy, budzone ze snu echem tego szepotu, który dzień cały drżał w przestrzeni:

— Malcia zakochana!

Na pensji, wzorowo strzeżonej z trudnością wielką, stał się fakt podobnego rodzaju. Ale dziewczęta! — ach! miły Boże! kóż je od miłości ochronić potrafi?

W tym samym domu mieszkali studenci..

*Voilà le mot de l'enigme.*

Mieszkali dopiero od dwóch tygodni.

Siedzieli jednak po całych dniach w oknie

i pilnie wpatrywali się w białe firaneczki, poza którymi kręciły się jasnowłose lub ciemne główki.

Panienki uchyliły firaneczki — studenci posłali cały grad zabójczych spojrzeń.

Na drugi dzień zasypali okna pensji deszczem fjołków i jaśminu.

Panienki, uszczęśliwione, nie zrobiły dnia tego zwykłego alarmu o kompot ze śliwek, który bywał w innych okolicznościach powodem buntu całej pensji.

Powoli sytuacja się wyjaśniła.

Studenci, znudzeni, cofnęli się ze stanowiska; pozostał tylko jeden wytrwały, kierujący swe uczucia ku... Malci

Dziewczątka jak muszka na lep dało się złać w zastawione siatki. Student był ładnym chłopcem, mającym najwyżej sześćnaście lat, jasne kręcone włosy i błękitny krawat.

Od tej chwili Malcia zaczęła nosić błękitne wstążki u warkoczów i długie lejce, spadające z pod kołnierzyka. Nazywało się to kokieterijnie: „*Suivez moi!*“

Niewinny ten romansik trwał kilka letnich tygodni. Zamieniano spojrzenia, uśmieški, zwracano się profilem, *en face*, posyłano sobie nieme wyznania na promieniach słońca, które jasno świeciło, śmiejąc się z tej miłości dziecięcej, nieśmiałej, zarumienionej jak zorza poranna.

Rzecz cała przeszłaby bez żadnych następstw, gdyby nie szatanek w osobie panny Olgi Hałasiewicz, przyjaciółki Malci.

Panna Olga Hałasiewicz, słusznie w ten sposób przezwana przez swoje koleżanki, była postrachem całej pensji. Wysoka czternastoletnia dziewczyna, chuda, czarna, o włosach krótkich, sterzących w dziwacznych kosmykach, kręciła się cały dzień po lokalu pensyjnym, napelniając go dzikimi krzykami, które wydawała, i wrzawą swych pomysłów, jakie co chwila rodziły się w jej rozbujanej fantazji. Mołdawianka, a więc rozwinięta wcześniej od innych dziewcząt tak fizycznie jak umysłowo, objęła w jednej chwili ster rządów i zamianowała się naczelnym wodzem wszystkich panien. Ona to cofała zegary, wlewała atrament do kapeluszy profesorów i przywiązywała do krzeseł koleżanki, drzemiące na lekcjach, lub organizowała bunty z wprawą renomowanych spiskowców. Żadna wrażeń i niezwykłych przygód, zachwyciła się wiadomością o zakochaniu się Malci.

Dawszy swą aprobatę, gorliwie zajęła się zakochanymi. Zacerwieniona, z rozczochraną głową, stała na straży koło okna, aby w razie nadejścia przełożonej lub damy klasowej ostrzec Malcię o niebezpieczeństwie.

Dobre jej chęci odniosły wręcz przeciwny skutek.

Nie mając już komu zwierzyć się z tajemnicą, dotyczącą swej przyjaciółki, pod najwyższym sekretem wyznała wszystko pannie Delfousse, sentymentalnej nauczycielce literatury francuskiej, która, posłyszawszy, co się święci, porwała ze stołu nieodstępnego Larousse'a i pobiegła uwiadomić przełożoną.

Ta ostatnia przywołała Malcię i odbyła się konferencja przy drzwiach zamkniętych.

Malcia wyszła z niej zapłakana, a okna, wychodzące na dziedziniec, zamknięto i zamalowano białą, nieprzepuszczającą zewnętrznych obrazów, kompozycją.

Wzburzenie wszystkich pensjonarek doszło do punktu kulminacyjnego.

Miłość z przeszkodami!

Malcią z bohaterki przemieniła się w męczennicę. Litowano się nad jej złamanem życiem, nad zdruzgotaniem sercem, pisano wiersze na cześć tego uczucia, poprzysięgając zemstę tyranom. Panna Delfousse doznała błogich skutków tej zemsty, znalazłszy pewnego wieczora żywego raka w swym łóżku. Poszukiwano nawet żaby, aby z niej uczynić podobny użytek, ale z powodów niezależnych żaba nie mogła objąć tak zaszczytnej roli i rak pomścił sownie złamaną miłość Malci i studenta.

Olga Hałasiewicz była w rozpacz.

Upadłszy na kolana, wyrwała sobie przedewszystkiem pęk włosów, rozdarła — na wzór starożytnych niewiast — szatę, a właściwie fartuch, poczem, zalewając się łzami, wyznała Malci swą winę. Przez nią to bowiem przełożona dowiedziała się o wszystkim.

Malcia, pełna melancholji, uśmiechnęła się smutnie i dobrotliwie uspokajała przyjaciółkę. Ta szlachetność Malci przyprowadziła Olgę do ostateczności; postanowiła zle naprawić i... dopięła celu.

Zapomocą pieniężnych datków omyliła czujność przełożonej i guwernantek i zawiązała korespondencję z wielbicielem Malci.

Pieniądz — to rzecz bardzo, niezmiernie pożądana, a kucharki i pokojowe pensjonatów żeńskich nie są ukute ze stali.

Mimo to jednak sprawa znów się wydała.

Przełożona podwoiła straż i napisała do rodziców Malci i Olgi Hałasiewicz.

Malcia zbladła ze strachu, dowiedziawszy się o tym fakcie. Hałasiewiczówna, przeciwnie, rozwinęła dopiero teraz całą energję.

Między nami mówiąc, Malcia była bardzo znuzona rolą, która jej przypadła w udziale. To ciągle pozowanie na ofiarę, przymusowa powaga i melancholja, dobrowolny głód, a raczej post, zmęczyły biedne dziecko, zdrowe, uśmiechnięte,

pełne życia i wesołości. Chwilowa dziecinna fantazja przemineła, pozostał więc niesmak i gwałtowna chęć wypoczynku po tylu przeżytych wrażeń...

Ale napróżno! tak łatwo niemożna abdykować z podobnego dostojeństwa. Olga zgorączkowana, rozczochrana, z sukniami w nieładzie, biegła po całym lokalu, zawracając oczami i uśmiechając się złośliwie na widok granatowej sukni panny Delfousse, lub *grisperle* samej przełożonej. Odbывała długie konferencje z koleżankami, a Malci rzucała w przelocie te słowa:

— Odwagi! będziecie szczęśliwi!

Malcia opuszczała głowę na pulpit, aby ukryć łzy, cisnące się jej do oczów. Biedne dziecko, przygniecione ciężarem wielkości wmawianego w nią uczucia, nie miało odwagi zaproponować i wobec wszystkich koleżanek zawołać: „Dajcie mi spokój! przestałam się kochać...“

Cierpiała więc... *pro honore domus*.

Nakoniec — w kilka dni po opisanych wypadkach Olga Hałasiewicz wbrew swemu zwyczajowi zaczęła chodzić na palcach, przestała trząskać drzwiami i raz jeden tylko położyła zmoczoną gąbkę na krześle profesora historii naturalnej. Miała minę niezmiernie tajemniczą, ale dochowywała tajemnicy, nie zwierając się nikomu. Pewnego letniego ranka wsunęła się cichutko do ga-

bineciku, przylegającego do sypialni przełożonej. Tam z rozkazu najwyższej władzy przebywała teraz najczęściej Malcia, szczególnie podczas rekreacji. I teraz biedna ofiara miłości siedziała samotnie, skubiąc jakąś patarafkę i spoglądając z żalem w okna, poza którymi świeciło słońce, szumiały drzewa małego ogródka i dobiegały śmiechy wesoło bawiących się, niezakochanych panienek.

Malcię dławili łzy nie na żarty. Czują, że lada chwila wybuchnie płaczem spazmatycznym, tak ją trawiła tęsknota za swobodą dziecięcą.

Tymczasem z sypialni przełożonej dolatywał szmer przewracanych kartek i szelest jedwabnej sukni samej Madame czytającej w tej chwili jakies dzieło pedagogicznej treści.

Olga Hałasiewicz nie traciła czasu.

Przysunawszy się do przyjaciółki, szepnęła cicho w różowe uszko Malci:

— Wszystko przygotowane.

Malcia podniosła głowę.

— Do czego?

— Do naszej ucieczki!

Malcia zbladła i porwała się z miejsca.

Ale Olga szybko i zwięźle wyłożyła jej plan cały.

Porozumieć się muszą prędko, bo później Olga wróci do klasy i nie znajdzie dobrej sposobności. Stanowcza chwila oznaczona dziś w no-

cy. Wszystko przygotowane. O północy zamówiona karetka czeka opodal, student zaś, chodzący koło domu, połączy się z niemi, aby już nie opuścić więcej swej ubóstwionej. Muszą uciekać! — innego wyjścia z tej sprawy niema. Olga im będzie towarzyszyć w roli matki i opiekunki.

— Nie pójde już za mąż — szepce sentymentalnie, — poprowadzę cię do ołtarza, a potem zajmę się wychowaniem twych córek! Poświęcę się dla was!

Malcia drży cała jak w febrze.

Uciekać? poco? dlaczego? — ona nie chce, przeraża ją ta myśl. Ale Olga przekonywa ją o smutnej konieczności. Przedstawia jej gniew rodziców, wzdarcie świata, który odwróci się od panny, wpłatanej w podobną skandaliczną sprawę, nienaprawioną... małżeństwem!

— Moja droga! będziesz zgubioną, jeśli się oprzesz moim rozsądnym radom. Wierz mi, nikt ci ręki nie poda!

Malcia ze łzami poddaje się tej konieczności.

Ma minę prowadzonej na rzeź ofiary.

Olga, zgorączkowana, cała przejęta swym projektem, który ją animuje w niezwykle sposób, przykłęka na ziemi i, szepcąc, opowiada całą marszrutę.

— O północy wstaniemy obie i, zabrawszy co mamy kosztowniejszego, zejdziemy cichutko do

kuchni przez klasy, które nie będą tego dnia na klucz zamknięte dla tej prostej przyczyny, że sama klucze powyciągam. W kuchni jest przez sięn prosto zejście do piwnicy, której okienko niezakratowane wychodzi na ulicę. Przez to okienko wydostaniemy się na wolność i połączymy się z twoim narzeczonym. Zaleciłam mu, aby kupił świeżej szynki i masła. My bułeczki schowamy od kawy i herbaty. Jeśli można, schowaj dziś kotlet z obiadu, bo jeść się będzie w drodze chciało. Wezmę z sobą także talję kart, ażebyś w drodze mogła ze swym mężem grać w „wózka“... On zapewne zna tę grę, bo wydaje mi się wcale inteligentnym chłopakiem!...

Malcia siedzi cicho, tylko nerwowe dreszcze wstrząsają nią całą. Ta ucieczka wbrew jej woli, a tak konieczna jak zbawienie duszy, spadła na nią jak uderzenie gromu. W nocy schodzić do piwnicy, gdzie może są żaby, albo trupie głowy! Och! Malcia jeszcze nigdy w piwnicy nie była. To musi być coś strasznego — coś podobnego do grobu.

— Świecy nie biorę, bo mogłoby się wydać... musimy zejść do piwnicy pociemku...

Nagle krzyk Malci przerywa szept Olgi.

— Jakto? pociemku? ja nie chcę!... ja się boję!..

I całe rozdrażnienie nerwowe wybuchło w tym

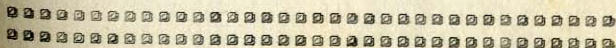
placzu dziecięcym, który sympatycznym łkaniem napełnia maluchny pokoik.

Przełożona rzuca pedagogiczne dzieło i jest tuż przy Malci.

Biedna „zakochana panna“ tuli się do Madame jak małe dzieciątko i, drżąc całą, powtarza wśród łez:

— Pociemku! nie chcę! boję się! boję się!... Sytuacja się wyjaśnia.

Plan uciezki wykryto — student zmienił mieszkanie, a Malcię ocaliła od fałszywego kroku wiadomość, że pociemku musi przebyć drogę do szczęścia. Olga Hałasiewicz w zbytnej gorliwości zapomniała, że Malcia przedewszystkiem boi się.. ciemności.





W SPRAWIE  
EMANCYPACJI  
SZKIC



— „Kobieta jestem — i tylko...  
kobieta chcę zostać do zgonu.“  
(Moje *Credo*).

W ięc czarna toga, unieśmiertelniona na szpal-  
tach francuskiej ilustracji, a okrywająca  
jak poła surduta ramiona kobiety, prze-  
wróciła ci naprawdę w główce? Od tygodnia  
prześladujesz mnie swemi listami, drażnisz, wy-  
zywasz... Chcesz wiedzieć zdanie moje, podsuwasz  
myśli, jakich nie mam wcale! I wszystko poszło  
w zapomnienie, nawet „on“ — twój mążś kocha-  
ny, nawet ta kołyska, białemi firankami jak skrzy-  
dłami anioła okryta, nawet te śliczne czepeczki  
jak mgły z iluzji utkane.

I te wszystkie cuda, rozkosze, uśmiechy, szep-  
ty, pocałunki, nadzieje — pokrywa jedna wielka  
czarna plama!

Toga!... toga doktorska.

Ależ, jasnowłose dziecię, ty, która kąpiesz się  
w elegancji jak ptaszek w piasku, ty, która egret-

ty tiulowe wycinasz na figury Counters Sarah i debatujesz długo, czy „palone“ dzety noszone będą jeszcze tego roku, — wierz mi, taka „toga“ tylko na ilustracji ładnie się przedstawia. W rzeczywistości jest obrzydliwym workiem i zupełnie nie ma trenu... Ach! już się krzywisz? Zapal twój emancypacyjny ostyga powoli..

Widzisz, każda z kobiet... ma swą czułą stronę. I ty, której sukcesy panny Schultze przewróciły w główce, lubisz powłóczyście sukienki, zwłaszcza że wzrost twój troszkę pozostawia do życzenia... Jeden punkt więc zwalczony.

Jakto? — pytasz mnie — więc *ty* walczyć będziesz... przeciw?

Niestety, piękne moje dziecię... tak!

Tak jest, jestem przeciwna wdzieraniu się kobiet na stopnie dotychczas przez mężczyzn zajmowane, przeciwna zapamiętała.

Otwierasz szeroko swoje błękitne oczęta. Jakto? — mówisz — *ty* postępową, realistką, ty... — już nie wiem, jak mnie tam świat przeżywa, — ty nie chcesz widzieć kobiety-doktora, kobiety-weterynarza, kobiety-adwokata i t. d.? Nie chcesz widzieć nas w togach na katedrach pogłębiających ogłupiały tym potokiem wymowy mężczyzn? Nie chcesz widzieć wspaniałego urzędzenia naszych gabinetów, gdzie zastąpimy karbol wykwiętym ylangiem lub corytopsisem, ku pożytkowi

chorych i zdumieniu kolegów? Nie chcesz nas widzieć, z jakim szykiem i gracją wbiegać będziemy do stajni, do obór pomiędzy bydło, zarazone karbunkulem? Jak „logicznie“ odpowiadać będziemy na zarzuty przeciwnika przy kratce sądowej? Nie chcesz tego wszystkiego... ty, postępowcze?

Nie! nie chcę i powtarzam to po raz setny.

A dlaczego?

Zaraz ci to opowiem.

Bóg, gdy wypędzał jasnowłosą Ewę z raju, powiedział do niej tylko: „Matką będziesz“. Adamowi włożył na barki inny obowiązek: „W pocie czoła ziemię uprawiać będziesz.“ Oto Stwórca i z poza mgły i w świetle słonecznym wydał wszechpotężny wyrok, od którego cię żadna toga doktorska uwolnić nie zdoła. Matką-żoną będziesz, choćbyś dziesięć rozpraw z chwałą i swadą wypowiedziała! Matką-żoną być musisz, bo inaczej jak gałęź nieużyteczną odtrąca cię ze społeczeństwa Matką-żoną zostaniesz, choćbyś całe stado wołów od księgosuszu uratowała!... Cóż począć? — spadł ten wyrok jeszcze przed potopem na złotą głowę Ewy, gdy swe ranne sploty rozwiewała w słońcu porannem, i wyrok ten trwa już wieki całe, przechodzi z pokolenia na pokolenie — i żadna, najśmielsza emancypantka znieść go niepotrafi.

I wyrok ten odbiera ci wprawdzie możliwość

zostania doktorem, prawnikiem, weterynarzem, nie pozwala ci stać na katedrze i chlubić się wspa-  
niałością gabinetu, ale za to na czoło tve mar-  
murowe, na czoło Afrodyty kładzie jakiś nimb,  
jasność, świętość nieledwie. I wyrokiem tym wtrą-  
cona, znajdujesz się nagle w ciszy domowego  
ogniska, przy którym królujesz niepodzielnie,  
uśmiechnięta, różowa od męzowskich pocałunków.  
od pieaszot twej córki! Czy czujesz się pokrzyw-  
dzoną? — powiedz! Czy część twa nie wspaniał-  
sza, nie bogatsza, nie rozkoszniejsza? Ty przede-  
wszystkiem należysz do rodziny, do męża... do  
twego dziecka. I od nich to, od twych ukecha-  
nych, odrywać się masz, porzucać ich bez opieki,  
bez twego uśmiechu, aby biec bronić złodzieja,  
który ukradł kawałek płotu, lub puszczać krew  
chorej krwi? Nie z zamięłowania to robić bę-  
dziesz, — jedynie dla bytu, dla... pieniędzy. Ależ,  
na Bogal! mąż twój lepiej rzecz taką wykona.  
Adam miał uprawiać rolę w pocie czoła. A na-  
tomiasz czyż mąż twój potrafi wystudzić i przece-  
dzić rumianek, który właśnie dziecko twoje wypić  
potrzebuje?

Nie gniewaj się, nie marszcz czoła! ja na  
kwestję emancypacji zapatruję się po swojemu,  
zdrowo, trzeźwo, realistycznie.

Odpowiesz mi na to: „ależ ja znajduję czas na  
zajęcie się domem, mężem, dzieckiem.“

Nie! — po tysiąc razy nie!

Weźmy mężczyznę doktora, ten nam za przy-  
kład posłuży.

Wiedza jest morzem niezgłębionem. Chcieć  
posiąść to, co tyle tysięcy umysłów odkryło, jest  
chęcią bardzo zuchwałą.. Lecz wiedza nie stoi  
na miejscu. Idzie coraz wyżej, w świetlane prze-  
stworza, a człowiek, który wiedzę umiłował, musi  
dążyć za nią, nie chcąc czynić krzywdy sobie  
i tym, którzy z ufnością życie swe w ręce mu  
składają. Pomyśl tylko, co wypełnia dzień cały  
lekarzowi: Rano, skoro świt, przegląda stopy me-  
dycznych dzienników, później biegnie do chorych,  
wstępuje do szpitali, do prosektorjum, do teatru  
anatomicznego, wraca na obiad, który ledwo  
przełknąć może, bo w przedpokoju szeregi pacjen-  
tów niecierpliwą się i domagają śpiesznej porady.  
Po domowej konsultacji znów chorzy pozadomo-  
wi — do późnej nocy, a w nocy długo, długo  
czytanie medycznych dzieł nowych i wertowanie  
starych..

Tyle tylko ma zajęcia lekarz i on wydołać  
temu jest w stanie, bo.. mężczyzna w porówna-  
niu z kobietą jest lwem i kilka godzin snu pokrzepi  
go zupełnie.

Teraz ty postaw się w podobnym położeniu  
Spędź dzień cały na nogach, przebiegnij dziennie  
pięćdziesiąt pięter, a zobaczysz, czy, powróciwszy

do domu, będziesz miała siłę utulić płaczące dziecko, uśmiechnąć się do męża, policzyć bieliznę... i pogderać na służące. Ty, wychowanko murów szkolnych, anemiczna i wybladła, ty stworzenie niższego rzędu, którego ustrój fizyczny nie dozwala wyniszczać sił swoich, — skąd weźmiesz tyle *sił fizycznych*, aby przetrwać dzień taki? Czy potem sądzisz, że w ciszy nocnej zdołasz studjować i czytać dzieła poważnej treści?...

O! kobietol jakże śmieszną jest pretensja twój!

Dodaj jeszcze, że podobne nocne studja przerywać ci co chwila będzie krzyk twego dziecka, które „dostaje ząbki“. Czy nie rzucisz wtedy księgi na ziemię i nie pośpieszysz do kołyski żalącego się maleństwa?...

O! i studja przerwane, a pani doktor grzechocze blaszaną zabawką i śpiewa o „zajacu, co w zbożu spał“.

A gdybyś ty wiedziała, jak ci z tem do twarzy! Synek twój biały, różowy jak cherub w ramionach twych się śmieje, na progu mąż z miłością na was spogląda...

Nie wracaj do tej wielkiej medycznej księgi — wierz mi, dziecko, mąż — to księgi twoje..

Powiesz mi: „zbijasz wszystko komunalami, nie wykazujesz, dlaczego kobieta naprzykład doktorem być nie może...“

Być może, że to, co mówię, są proste komu-

nały, lecz rozprawy tu pisać nie mogę. Wierz mi jednak, droga moja, że właśnie w tej samej medycynie czerpiąc, wykazałabym ci punkt po punkcie niemożliwość powierzania kobietom przewodnictwa w kuracji. Wezmę fakt drobny, jeden z całej setki.

Kobieta ma objęcie niezmiernie bystre, łatwe, prawdziwie zastanawiające. Chwyta wszystko jak gąbka, lecz jak gąbka nie zatrzymuje długo wiedzy w sobie. Mężczyzna uczy się wolniej, tępiej, ale to, co umysł jego przyjmie, przechowuje się do lat najpóźniejszych jak w kasie ogniotrwałej. Kobieta więc łatwo na razie w zdumienie wprowadzić może swych kolegów i profesorów, ale zapytaj ją o to samo w lat parę, — nie odpowie już z tą samą pewnością. Nowe wrażenia zatarły dawne, a z podręcznikiem ciągle spacerować trudno.

Umysł kobiety jest tak dziwny, mieszanina takich dziwactw — obok najszczytniejszych pomysłów, najgłębszych poglądów, przemykają się tam nagle najbłahsze kombinacje i płaskie, codzienne śmieszności przycmiewają chwilowo wyniki poważnych studjów.

Co począć? — kobieta odmienić się nie może, razem z togą nie zmieni swego usposobienia i tej jakiejś ptasiej ciekawości, z którą główkę na wszystkie strony wykręca. Ona nie potrafi skupić się, stać się myślą jedną, nakazać nerwom spokoju, nie przyjmować zewnętrznych wrażeń. Umysł

jej — to zwierciadelko, w którym naprzemian migocą promienie słoneczne i chmury deszczowe. Chyba pokryć zwierciadło zasłoną... ale wtedy i słońce odbijać się w niem przestanie.

Wracam jeszcze do twoich sił fizycznych. Wykonywać operacje może tylko mężczyzna. Dla czego? zaraz ci to wytłumaczę.

Ty jesteś jednym kłębkim nerwów, w środku tego kłębka mieści się u ciebie jeszcze... serce!

Jęk kobiety, rozciągniętej na marmurowej płycie, jęk straszny, okropny, przenikający do głębi, czy nie wstrząśnie tobą? nie zadrza w twej ręce nóż i drgnięciem tem o włos nie zanurzy się głębiej, niż powinien?

Od tego czasem zawisa życie i śmierć operowanej. I dnia tego masz migrenę, jesteś zdenerwowana, spędziłaś noc bezsenną, dziecko twe usnąć ci nie dało, mąż cię zdradza, zazdrość ci krew do serca napędza...

I patrz: ręka twa drży, natrętnych myśli odpędzić nie możesz, system twój nerwowy podrażniony, napróżno chcesz silną wolą się uspokoić... moralna walka odbiera ci fizyczne siły; osłabiona, drżąca, widzisz jak przez mgłę otaczające cię przedmioty...

A w rękę twem nóż, ostry, straszny, a przed tobą konająca kobieta, która duszę twą jękiem swym rozdziera, jej oczy patrzą w twarz twoją

tak łzawo, tak rozpaczliwie, że i twoje napozór opancerzone serce litością drgać zaczyna...

Napróżno mówisz sobie: „to dla jej dobra!“ napróżno ściskasz nóż i do czynu się gotujesz. Ty sama wzroku jej znieść nie możesz, odwracasz głowę..

Ach! pani doktor, podnieś-no powieki! płaczesz? ty płaczesz? lzy ci oczy zasłaniają?... Wstydzisz się?

O! nie wstydz się łez twoich! To przyjsz musiało! Kobieta jesteś — czyż możesz *takiego* jęku słuchać spokojnie? Kobieta jesteś i w łzie twojej kobiecość się kryształy. Tygrysić musiałabyś być, tygrysić, zwierzęciem, nie istotą, złożoną z nerwów i serca, ażebyś nie drgnęła na widok takiego cierpienia, ażebyś nie zapłakała, słysząc jęk tak okropny! Połóż nóż, odpasz fartuch, ustąp miejsca *mężczyźnie*, chyląc głowę przed *nią* zimną krewią i brakiem serca, usuń się na bok i zejdź do skromnej roli pomocnicy. Weź w rękę szarpie, bandażę i stań w szeregu istot, które nie w togach pomiędzy studentami, lecz w atmosferze wyziewów szpitalnych jak szare duchy życie swe trawia...

Cześć im, cześć wielka a zasłużona!

Schyl głowę... to Siostry Miłosierdzia!

Te anioły poświęcenia, miłości bez granic, anioły zawsze ciche, ginące nieraz na posterun-

kach, uwielbiane przez chorych, pochylone nad łożem konających, tulące w swych objęciach nowonarodzone dziecię i zamykające równocześnie powieki stygnącemu trupowi matki, — te kobiety, które wyrzekły się rozkoszy rodzinnych i umiływały czystem i nieskalanem sercem cierpiącą ludzkość całą, — te kobiety, które nie na uniwersyteckich ławach z dziką bezczelnością badały anatomję, lecz w ciszy nocnej same starały się, nie tracąc wstydu, zrozumieć to, co dla ulżenia cierpieniom jest konieczne, — te kobiety pierwsze podniosły sztandar emancypacji.

Lecz cicho, bez krzyku, bez entuzjasmów weszły jak dobre duchy i siadły u wezłowania chorych, otarły pot z czoła, łagodnym słowem uśmierzyły gorączkę. Idą odtąd wytrwale, odważnie, nie bojąc się zarazy, opatrując rany, kochając cierpienia, szmerem modlitwy szeptanej łagodnie uśmierzając moralne niepokoje. Wchodzą do cel obłąkanych, narażając często swe życie, kochane, uwielbiane, czczone. Oto emancypantki w całym słowa tego znaczeniu! Lecz o „todze“, profesorach Charcot i innych nie mają wyobrażenia...

Powiedz takiej dobrej siostrze, że są młode kobiety, studjujące z całą masą studentów anatomję, a twarz jej zapłonie jak róża i ukryje się w białych skrzydłach kaptura...

Ta rozumie emancypację!

„Jednak — powiesz mi na to — sama twierdzisz, że kobieta może ulgę przynieść chorym?“

Bezwarunkowo! Jako dozorczyńni, jako wreszcie asystent doktora kobieta jest niezastąpioną. Jej delikatna ręka, jej ezulość wrodzona, chęć poświęcania się — są tu ważnemi, dodatkniemi czynnikami. Prowadzić jednak kuracji, wykonywać operacji — nie powinna.

Słyszałam zdanie: „kobieta-lekarz może nie być chirurgiem“.

Piękny to zaprawdę lekarz! Przy łożu chorego zająć może komplikacja, wymagająca operacji natychmiastowej. Dalej więc bieganie za chirurgiem, bo pani tego zrobić nie może... A tymczasem pacjentka umiera!

Rzeczywiście wspaniała pomoc i warto trudzić kobietę-lekarza i żądać jej pomocy!

A właśnie ta gałęź, której się chcą poświęcić kobiety lekarze, miewa często tak niespodziewane komplikacje, powikłania straszne, najczęściej śmiercią dwojga istot groźące! Gdzież kobieta znajdzie *siłę* do wykonania operacji, która oblewa potem mężczyznę-lekarza i wymaga, oprócz zręczności, olbrzymiej nieraz siły fizycznej?

Pozostają więc dla kobiet jedynie leczenia „dzieci“, ale i tu operacje są konieczne. Wszystko więc zatamowane. Praktyka kobiety-lekarza jest bardzo ograniczoną, wyjątkową, śmieszoną. Sale

szpitalne po największej części są przed nią zamknięte, choroby płci przeciwnej okryte zasłoną tajemnicy...

A przecież, zdaje mi się profance, że lekarz, aby mógł *leczyć*, musi znać dolegliwości obu płci bez wyjątku.

Odpowiesz mi: „znać je mogą w teorji...”

Piękne słowo, niema co mówić! Czy ty wiesz, u fryzowana Eskulapko, co to jest medycyna w teorji? To ładna księga i okazy z *papier-maché*. Ale praktyka uczy wszystkiego. Bo choć ci w prosektorjum pokazali, że człowiek miewa tu żyłkę, tu gruczołek, a tu kosteczkę, znajdziesz tysiące żywych ludzi, którzy mają o cal dalej tę kosteczkę, gruczołek lub żyłeczkę...

Paf!... cały twój człowiek z *papier-maché* okazuje się oszustem, a twoja teorja bańką mydlaną. Praktyka! praktyka! to wielkie słowo! Teorja — to krucha podstawa! Na żywych okazach mężczyźni-lekarze kończą swe studja, a siwy lekarz budzi w nas wielkie zaufanie.

Dlaczego?

Bo ma za sobą długie lata... praktyki!

Zresztą jest jeszcze jeden punkt ważny, którym chcesz mnie pobić jak wielką maczugą:

Kobiety nie mają zaufania do mężczyźni-lekarzy, przed drugą kobietą wyjawiają swe dolegliwości chętniej i otwarciej.

Nie! — po tysiąc razy nie!

Pomijam tu kobiety kokietki, które nawet w czasie choroby mają pod poduszką lusterko i puszkę z pudrem,—te kobiety rzeczywiście widzą w lekarzu mężczyznę i nawet w cierpieniu nie zapominają o zalotności swojej.

Nie musi jednak być wielkie to cierpienie — i takie chore najlepiejby zrobiły, lecząc się fiołkami, w cukrze smażonemi; kobieta jednak prawdziwie chora, kobieta w całym słowa tego znaczeniu, to jest nie kokietka, inteligentna, uczciwa i rozsądnie pojmująca granice wstydu, z całym zaufaniem spowiada się przed lekarzem. Mężczyzna dla niej wtedy nie istnieje, jest to istota bezpłciowa, która winna wiedzieć wszystko, aby ulgę przynieść mogła.

Wierz mi — na szczęście, tego rodzaju kobiet jest liczba przeważna i te w ręce kobiety życia swego nie powierzą. W dziale tego rodzaju cierpienia praktyka gra olbrzymią rolę — praktyka ogólna, nie specjalna—i to wiecznie kobiety wstrzymać będzie. Mężczyzna wreszcie—czy słusznie, czy niesłusznie — posiada większe zaufanie, powierza mu się tajemnicę, licząc na jego honor; daj mi w kobiecie widzi się zawsze małą plotkarke. No! co chcesz! to już nasza wina! Dlaczego lubimy plotki?



Prosisz mię teraz, abym ci streściła mój cały pogląd na tę sprawę.

Raz jeszcze zastrzegam się, że muszę tu liczyć się ze słowami, i że to, co pozornie wygląda na komunał, jest głębszą myślą poparte; sędzę, że inteligencja twoja dopomoże ci czytać pomiędzy wierszami.

A więc tak!... Śmiało i otwarcie wypowiadam zdanie moje.

Nie chcę kobiet-lekarzy, prawników, weterynarzy i t. d.

Ale chcę pomocnic lekarzy, pomocnic wykształconych gruntownie, pomocnic inteligentnych jaknajwięcej. Dla takich kobiet powinny być utworzone osobne zakłady, w których one studja swe poważnie, spokojnie kończyłyby mogły. Niech kobiety takie, na wzór Sióstr Miłosierdzia, nie wstępują w związki małżeńskie, lecz już życie całe poświęcą na usługi cierpiącej ludzkości. Dla nich mąż, dzieci — już istnieć nie mogą... Rodzina ich — to chorzy, uśmiech, wywołany na usta konającego, zastąpić im winien spokój domowy...

To będzie prawdziwe zamiłowanie, poświęcenie, czci i szacunku godne...

Rozumiem pobudki, jakie niejedną kobietę skłaniają do chęci zagarnięcia stanowisk, wyłącznie zajmowanych przez mężczyzn. Mówisz mi ty naprzykład: „dlaczego mąż mój pracować ma dzień

cały, a ja w niczem się do tej pracy przyczynić nie mogę?“

Słusznie. Minęły te czasy, gdy żona była ciężarem mężowi. Dziś oboje powinni, wedle sił, pracować na utrzymanie domu i dzieci.

Zakres prac domowych jest wielki — i kobieta, nie przeciążająca budżetu domowego zbytnią ilością służby, wiecznie coś ma do czynienia. Jeżeli nie ma dzieci, lub te dziwnym zbiegiem okoliczności nie zajmują jej wiele czasu — może zająć się tysiącami zyskownych nawet sposobów pracy, które dla kobiet obecnie stoją otworem. Wyliczać je byłoby śmiesznością — znamy je wszystkie i coraz więcej widzimy kobiet, pracujących jak mrówki, cicho, lecz wytrwale, bez rozdrabniania sił swoich, bez krzywdzenia dzieci i opuszczania domowego ogniska...

Pracuj więc, niedoszły Eskulapie! pracuj i zarabiaj spokojnie, uśmiechając się do twej dzieciny, porzucając pędzel, dłutko, pilniczek, dratwę, żelazko od kwiatów, szydełko, druty, bał co chcesz nawet, byle nie skalpel, aby nalać herbaty swemu mężowi, gdy spracowany do domu powróci. Uchylaj troski z jego czoła! bądź mu aniołem, kochanką, niewolnicą — bądź żoną, matką! bądź tem, czem Bóg ci być rozkazał. Nie marz o triumfach wśród grona studentów, bo przyjdzie chwila, w której cichy kąć domowy miłszy ci będzie, niż

oklaski, jakiemi cię „z grzeczności“ obsypywać będą!... Nie wdzieraj się na wyżyny, bo Bóg, dając ci urok miłości i macierzyństwa, wzniósł cię na takie wyżyny, że żaden lekarz cię tam osiągnąć nie zdoła!

Nie filozofuj!.. nie kraj trupów!.. nie ztracaj swej godności niewieściej. To czar! to twoja władza! to twoje królestwo! Nie abdykuj! korony dla biretu nie składaj!.. nie wnosz zarazy w fałdach swej sukni i ręką, przesiąkniętą wonią trupa, nie gładź czoła swego dziecka!

Nie bądź lalką bezmyślną! ale nie bądź istotą bezpłciową! Nie bądź czułą nad miarę, lecz nie wmawiaj w siebie, że krajać ciało możesz!.. Jeżeli masz dziecko swoje, tul je w objęciach i wstuchuj się w jego oddech! bądź mężowi pomocą, nie ciężarem, lecz nie osieracaj domowego ogniska! W uśmiechu twoim niech mąż znajdzie siłę do pracy, ukojenie w bólu, tarczę przeciwko pokusom. W tobie samej jest szczęście twoje, szczęście prawdziwe, spokojne, trwałe..

Kochaj! pracuj! kształć się, ażebyś mogła siebie samą i dzieci swe zdrowo wychowywać, — wiedz tyle z medycyny, ile każda matka wiedzieć powinna, nieś ulgę swoim najbliższym wiedzą nabytą, — nie odmów pomocy cierpiącym, — lecz, na Boga! kobietą jesteś i kobietą musisz zostać do zgonu!..

Takie jest moje zdanie.

Z góry się zastrzegam, że nie chcę wywoływać polemiki; wiem, że źle pojęta emancypacja jest silnie zakorzeniona w niektórych główkach... lecz wiem to także, że ustrój fizyczny kobiety nigdy nie ulegnie zmianie...

Gdyby się to stało — al wtedy i ja zdanie moje zmienię. Teraz na wszystko odpowiem: „Kobietą jestem i tylko kobietą pragnę zostać do zgonu!..“

KONIEC.



268953



# DZIEŁA GABRIELI ZAPOLSKIEJ

PIERWSZE WYDANIE ZBIOROWE  
NAKŁADEM ODDZIAŁU WARSZAWSKIEGO  
INSTYTUTU LITERACKIEGO „LEKTOR”



## RAJSKI PTAK

POWIEŚĆ

Zejdźcie się na wąskiej drodze życia dwu pierwiastków, pogody i wiecznie uśmiechniętej dobroci z żywiołowym płomieniem żaru, namiętności i zła — dziwne i tragiczne wywołać musi zdarzenia. Takie właśnie zejdźcie się dwu sprzecznych z sobą elementów jest tłem powyższego dzieła znakomitej autorki. Bohaterka powieści jest osobnikiem, na którym, jak pod szkłem mikroskopu, po mistrzowsku wyświetliła Zapolska ześrodkowanie się w głębiach duszy elementu nie tylko zła — ale i wrodzonego wszystkim ciężenia ku moralnemu dobru, ku uszlachetnieniu się.

## SZALEŃSTWO

POWIEŚĆ

Przez znawców i smakoszy literackich wyżej ceniona z wielu dzieł swoich jako przedstawicielka naturalizmu, niż Zola, poruszyła Zapolska w „Szaleństwie“ temat nigdy dotąd w literaturze nie poruszony, choć w życiu jakże zapewne częsty. Jeden krok fałszywy, a raczej właśnie w kobiecie naturalny, krok dyktowany żądzą macierzyństwa, mści się na niej, mącąc na zawsze jej myśli i odbierając spokój.